

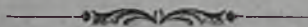
De. II 1-
Tom CXCVII.

Zeszyt 591.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, PRZEMYSŁOWI I SPRAWOM SPOŁECZNYM.



ROK PIĘDZIESIĄTY.

SERYA V.

MARZEC.

1890.

TOM I.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

1890.

T R E Ś Ć.

| | strona |
|---|--------|
| I. O konieczności odróżniania uczuć wyższych od niższych. (Studjum psychologiczne). Napisał Zdzisław Dębski. | 323 |
| II. Serpa Pinto. (Przyczynek do dziejów kolonizacji portugalskiej). Przez Eugeniusza Lipnickiego. | 330 |
| III. Wystawa sztuki starożytnej i nowożytnej stosowanej do przemysłu, urządzona w Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie 1889-o roku. Opisał Tadeusz Dowgird. | 356 |
| IV. Wojna Rzeczypospolitej polskiej z Turcyą w latach 1672 i 1673-im. (Z mapką). Przez Konstantego Górskiego. | 367 |
| V. O miastach i mieszczaństwie w Królestwie Polskiem. (C. d.). | 385 |
| VI. Z krwawych dni. Nowela. (Dok). Przez K. G. | 400 |
| VII. O drogach bocznych pod względem ekonomicznym. | 427 |
| VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. | |
| Doetyma. Branki w jasyrze. Tom I—III. Warsz. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o w. str. 213, II; 422 i II; 448, II i 1 nl. z ilustracyami E. M. Andriollego. Przez J. K. Dworzaczka. | 427 |
| Rodziewiczówna Marya. „Kwiat Lotosu“, powieść. Warszawa. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o min. str. 328. Przez J. K. Dworzaczka. | 438 |
| „Kwestya mieszkań“. Napisał Adolf Suligowski. Warszawa 1889 r. 8-o m. str. 86, nl. | 445 |
| IX. Kronika miesięczna. — Wystąpienie cesarza Wilhelma II-go z projektem reformy stosunków ekonomiczno-socyalnych. — Reskrypty cesarskie z dnia 5 lutego r. b. a) do ks. Bismarcka, b) do bar. Berlepscha, ministra handlu, robót publicznych i przemysłu. — Pogląd na ogólne znaczenie tego wystąpienia cesarskiego. — Zagajenie przez Wilh. II-o posiedzeń pruskiej „Rady Stanu“ (dn. 14 lutego), zwołanej dla wypracowania szczegółowego programu wprowadzenia w wykonanie zamiarów cesarskich. — Przygotowania dyplomatyczne do zwołania konferencyi międzynarodowej do Berlina. — Spisek bułgarskiego majora Pauicy w celu wywrócenia rządów ks. Ferdynanda Koburskiego w Bułgarii. — Wystąpienie Filipa ks. Orleańskiego jako „rekruta“ do wojska republikańskiego. — Ponowny wybór bulantyz- | |



De. II. 1.

O konieczności odróżniania uczuć wyższych od niższych.

(Studyum psychologiczne).

Napisał

Łdźisław Dębski.

Według rozwielmożnionej dziś w dziedzinie filozofii szkoły pozytywistów, wszelkie uczucia moralne, w zasadniczych swoich podstawach, gruntują się na pragnieniu przyjemności, szczęścia, dobrobytu, a z takiego kielkując źródła, urabiają się pod wpływem koniecznych warunków społeczno-życiowych. Dla usprawiedliwienia swojego poglądu, pozytywwiści posiłkują się już to rozumowaniem, rozpatrującem ogólne właściwości natury ludzkiej, już też powołują się na fakta antropologiczne, poczerpnięte ze spostrzeżeń nad ludami, które jeszcze nie zaznały cywilizacji lub znajdują się dopiero na pierwotnych jej szczeblach. Sama zasada pozytywistów nie jest nowa, znana ona była już w starożytności, a Epikur przez jej psychologiczne rozwinięcie, zyskał sobie dobrze zasłużoną sławę, nie dla tego, ażeby miał słuszność, ale że potrafił okazać przytém nie pospolitą siłę rozumowania i znajomość głębin natury ludzkiej. Na szczęście znaleźli się myśliciele, którzy zdołali w świecie uczuć naszych dostrzedz pewne właściwości, wyraźnie zdradzające odmienne od źródła egoistycznego pochodzenie, — a nawet jeden z najznakomitszych pozytywistów, Stuart Mill, nie może się obronić od wypowiedzenia tego, co mu do świadomości własna jego zawartość moralna przynosi. „Przyjemności, mówi on, różnią się nie tylko ilościowo, ale i jakościowo, a to, co najlepiej zdradza wstręt do uczuć niskich, możnaby najtrafniej nazwać poczuciem — godności.“ Gdy badawczo my-

ślimy, gdy się napawamy pięknem, gdy jesteśmy usposobieni moralnie, gdy się staramy zbliżyć do ideału etycznego — doznajemy tego poczucia. Wypełnia ono to, co się nazywa szlachetnością, nadobnością charakteru i stanowi rzeczywisty cel każdej jednostki, prawdziwy probierz praktyczny każdego czynu. Żaden mędrzec nie zgodziłby się zostać głupcem, żaden człowiek wielkiego serca i prawdziwie olśniewającego czystością sumienia nie przeobraziłby się w niegodziwca, gdyby im nawet obiecano wszelkie życia rozkosze, wszystkich pragnień zaspokojenie — a nie pozwala im na to, owo poczucie godności, niewątpliwie ¹⁾. Przedstawiciel wręcz przeciwnego w filozofii kierunku, bo Emmanuel Kant, utożsamia to poczucie moralnego dostojęstwa ²⁾ z człowieczeństwem, ulegającym prawom obyczajowości ³⁾. Hartmann czyni tedy zarzut królewickiemu mędrce, że on bierze za jedno istotę rzeczy i zjawisko: samo poczucie moralne i jego zewnętrzne oddziaływanie; to pierwsze natomiast — samoistne, pierwotne (poczucie) — stanowi świadomościowe odzwierciedlenie człowieka, jako istoty moralnej, — odruch obyczajowości w samopoznaniu. Gdy człowiek samego siebie, jako obyczajową osobistość uznaje, gdy swój etyczny charakter za najczystszy i najbezwzględniejszy probierz swojej osobistej wartości uważać poczyna, przebudza się w nim chwalebne pragnienie strzeżenia i rozprzestrzeniań tej najwyższej godności człowieczeństwa wśród wszelkich życia okoliczności ³⁾. „Godności natury ludzkiej — mówi francuzki filozof Paweł Janet — o ile się ją posiada, i o ile się ma świadomość jej posiadania, towarzyszy uczucie przyjemności, najczystsze i najdoskonalsze“. Moralność — twierdzi ten sam myśliciel podobnie jak Stuart Mill — rozróżnia przyjemności nie tylko, ze względu na ich ilość, ale na ich jakość, i w ten sposób wznosi się ona po nad przyjemność i dosięga samej idei bezwzględnego dobra.“

Zdolności ludzkie różnią się między sobą stopniem doskonałości, która powinna służyć za podstawę przy szacowaniu stanów duchowych przyjemnych. „Niedorzecznością byłoby utrzymywać — są słowa Pawła Janeta, — że czyn heroiczny nie jest lepszy od postąpienia samolubnego; nie można nie zgodzić się na to, że umysł, wolność moralna, dobroć, stanowią to, co może być najlepszego, działalność zaś zmysłów o tyle nabiera blasku wyższości, o ile je przenika świadomość“ ⁴⁾. Jakoż istotnie pozytywiści za naj-

¹⁾ O utylityzmie — rozdział II-gi.

²⁾ „Grundlegung zur Metaphysik der Sitten“, rozdział II-gi, stron. 56, 61, wydanie Kirchmana 1870 r.

³⁾ „Phänomenologie des sittlichen Bewusstseins“ stron. 171—182 wydanie 1877 r.

⁴⁾ „La Morale“ stron. 58, i w ogóle od stron. 55 do 85 i od str. 151 do 169.

wyższe zmysły uważają słuch i wzrok, gdyż są one najbardziej odtwarzające, co w języku pozytywistów znaczy — idealne, duchowe, bo najsilniej posiłkujące się świadomością, największe w jej życiu przyjmujące udział, najbliższe jej.

Nasuwa się jednak obecnie pytanie, skąd pochodzi owo poczucie g o d n o ś c i w ł a s n e j, jak wytłumaczyć jego istnienie w ustroju świadomościowym człowieka? Stuart Mill chcąc pozostać wiernym swojej zasadzie użytecznościowej, stara się przypisać owo poczucie, już to dumie, już też pragnieniu wolności, niezależności osobistej, władzy lub wzruszeń — okazuje jednak przytem autor „Logiki“ widoczną niepewność siebie i źle tajone przeświadczenie o konieczności wyższego ideału, — tak, że wreszcie wrywa się angielskiemu myślicielowi wyznanie, — iż jakoś uczuć wyższych, którym towarzyszy owo poczucie godności, wynika z samej istoty działalności władz duchowych ¹⁾. Jakoż rzeczywiście, możliwie najdokładniejszy rozbiór uczuć pychy, próżności, nawet szlachetnej dumy, dopełniony przez Baina ²⁾ i Hartmanna wykazuje dostatecznie, że powyższe stany psychologiczne nie wyczerpują poczucia godności własnej, wyrastającego na podścielisku uczuć wyższych. Według Janeta też, samo istnienie tak zrozumianej g o d n o ś c i nie potrzebuje przyczynowego wytłumaczenia, stanowi ono bowiem fakt p i e r w s z y, mówiący sam za siebie, bezpośrednio udzielający się świadomości. Poznaliśmy już odnośnie pod tym względem tłumaczenie Hartmanna, a pośrednio i Kanta, który tyle razy omawiane przez nas poczucie g o d n o ś c i uważa za uzewnętrznienie najczystszej osnowy ducha, niezależnie od treści pojęć i uczuć, zapożyczonych ze świata zewnętrznego, byle treść owa właśnie ze względu, że tak powiem, na bezcielesność, niematerialność, idealność swoją, dawała możliwość d u c h o w o ś c i przejawiania się w n a j b a r d z i e j z a s a d n i c z y c h j e j f o r m a c h. Kto się na podobny pogląd zgadza, to jest na zupełną odrębność, niezależność, pierwotność „ducha“ w całokształcie bytu, temu łatwo będzie zrozumieć istotę i niepoходność poczucia g o d n o ś c i w ł a s n e j, jako prze-

¹⁾ O utylityzmie. rozdział III.

²⁾ W dziele „Uczucia i Wola.“ („Emotions and Will“ stron. 200—214 wydanie 1870 r.) Psycholog angielski rozważa tu poczucie „poszanowania dla samego siebie“ (Self-estimation) „samo — wartości“ (Self-Worthy), sprowadzając je do pierwiastku samolubnego, ale też cechy tych uczuć, jak je podaje Bain, są zupełnie różne od poczucia „godności własnej“, pojętego w znaczeniu powyżej wyłuszczoneń. Przeciwnie Hartmann w dziele, poprzednio powołanem, z wielką plastycznością przeprowadza linią rozgraniczającą te zbliżone, na pozór, co do sposobu swojego powstawania, stany psychologiczne.

jawu psychologicznie samoistnego. Zresztą, z tego stanowiska rzecz biorąc, nie przedstawiałoby to zbyt wiele trudności i dla Milla, który, jak wiadomo, uważa *duchowość* za siłę pierwszą, ale ujawniającą się zawsze w przyrodzie w zupełnej zależności od materialnej strony danych form bytu ¹⁾. Bain, rozpatrując proces wytwarzania się pojęć i uczuć pod wpływem oddziaływań zewnętrznych, nie dwóznacznie się wyraża, że pomiędzy materialnym a duchowym tego procesu momentem, istnieje łącznia tylko w *czasie*, to jest, że bezpośredniego przeobrażania się niema, lecz tylko uwarunkowanie powstawania zjawisk psychologicznych, istotowo różnych od pobudek zewnętrznych ²⁾. W ogóle pozytywiści w zapatrywaniach swoich na istotę świadomości, znacznie się różnią od materialistów, nie mniej jednak i oni, a szczególniej wyznawcy Darwina jak np. Spencer, najpodnioslejsze stany psychologiczne uważają za pochodzące od najpierwotniejszych, nacechowanych zupełnym materializmem i fizycznością instynktów ogólnie — zwierzęcych. Słusznie wszakże sądzą: Paweł Janet i znakomity angielski historyk — moralista — Lecky ³⁾, że zwolennicy zasady rozwoju (ewolucyoniści) nie są w możności wytłomaczyć ani stopnia natężenia uczuć wyższych, ani zupełnej istotowej odrębności, jaką się uczucia te odznaczają w ostatecznym swém ukształtowaniu; — przy rozstrząsaniu zaś odnośnych zjawisk, pozytywiści ograniczają się na łatwym orzeczeniu: „uczucie to może dojść do takiej skali rozwinięcia, jaką obecnie spostrzegamy“ i t.p. Współuczucie np. według Spencera, wytworzyło się z egoizmu, dzięki pamięci przeżytych cierpień, — ale dla czego ono w tém swoim przetwarzaniu tak rdzennie się różni od samolubstwa i jednocześnie nabiera owęj cechy *szlachetnej* — wytłomaczenia tego zjawiska nie znajdujemy. Gdyby nawet można było zgodzić się na teorię Spencera, należałoby przypuścić, że przy takim przeobrażeniu dane uczucie

1) „System Logiki“. Tom I stron. 438 (w przekładzie rosyjskim).

2) W dziełku „Umysł i ciało“. Zresztą ta strona zapatrywań pozytywistów została uwzględnioną przez naszych swojskich wyznawców tego kierunku z ostatnich czasów; przekonują nas o tém artykuły filozoficzne, pojawiające się w pismach odnośnego obozu. Jako na typowy przykład takiego zwrotu możemy wskazać na pracę p. Henryka Silbersztejna, „Zmartwychwstały witalizm“, pomieszczoną w dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego“ (za drugie półrocze 1887 r.), w której autor wyraźnie zaznacza niemożliwość wytłomaczenia zjawiska „świadomości“ „mechaniką atomów“.

3) W dzieło „Historia Moralności w Europie“. Ocena tej pracy, pomieszczona w „Historii pojęć moralnych“ P. Świętochowskiego nie daje przybliżonego nawet pojęcia o całej wartości powyższego studium.

istotowo się zmienia, to jest, że powstaje zupełnie odrębne psychologiczne zjawisko. Jeżeli zaś Bain z całą stanowczością wskazuje na pierwotność, nie pochodność poświęcenia, jako stanu moralnego, ¹⁾ to nie rozumiemy dla czegoby, nawet ze stanowiska pozytywnego, nie można się zgodzić na taką samą pierwotność jakości uczuć, która w odbiciu świadomościowem daje się poznać jako poczucie godności. Rzecz tę gruntownie tłómaczy przenikliwy angielski myśliciel Murphy, w dziele swoim „Zwyczaj i Inteligencya“ (rozdział XXXII). „W jaki sposób“ mówi on, nabralibyśmy świadomości, że pewne przyjemności niezależnie od ich natężenia, są podnioslejsze, niż inne, i bardziej godne tego, aby ich poszukiwać. W jaki sposób nauczyliśmy się uznawać cele obowiązku za tak wysokie, że nawet najżywsze przyjemności obecne i przyszłe, w porównaniu z tamtymi, okazują się niższymi? Sądzę, że to poczucie świętości, że ten zmysł moralny, nie może być przypisany pierwiastkowi materialnemu życiowemu, lub zmysłowemu, lecz jedynie może być wytłómaczony jako moment samowiedzy, samowiedzy nie praktycznej jednak, ale przeciwnie — *c z y s t o d u c h o w é j*“. Wprawdzie historia badań etycznych zna myślicieli, którzy utrzymują, że to uczucie „Świętości“, a jak my nazywamy „*w y ż s z é j j a k o ś c i*“, nie istnieje w całokształcie duchowej istoty człowieka, a z pomiędzy tak sądujących, w ostatnich czasach wyróżnia się niepospolitą siłą argumentacyi, angielski moralista Sigdwick; metoda jednak logiczna, przez Milla dla tego rodzaju badań wskazana, osłabia jak najzupełniej zdanie powyższe wyznawców bezwzględego egoizmu, czy to indywidualnego, czy też nawet ogólnie — społecznego. „Gdy idzie o to — orzeka autor „Utylitaryzmu“ — jak poznać, która z dwóch przyjemności jest lepsza i bardziej pożądana, lub jaki z dwóch rodzajów istnienia przedstawia więcej uroku, bez względu na ich właściwości moralne i skutki, — sąd o rzeczy — tych, którzy się znajdują na obu rodzajach, a w razie niezgodności zdań, większości z pomiędzy nich — powinien być uważany za rozstrzygający“. Zresztą i sam Sigdwick przyznaje, że „uczucia moralne, w jakikolwiek bądź one powstały sposób, stanowią w obecnej naszej świadomości czynniki niezależne, sięgające po palmę pierwszeństwa, w wyższości — nad temi pragnieniami i niechęciami pierwotnemi, od których jakoby pochodzą“. Wreszcie tenże sam myśliciel utrzymuje, że teoria stopniowego rozwoju (ewolucjonizmu) bardzo łatwo da się pogodzić z zasadami szkoły „intuicyjnej“ a badania antropologiczne, według Sigdwicka, w niczem nie przyczyniają się do rozwiązywania zagadnień etycznych ²⁾.

¹⁾ W dziele powyżej wspomnianem „Uczucia i Wola“ stron. 294, 295, 296.

²⁾ „O metodach w badaniu moralności“ stron. 387.

Zdanie podobne już znacznie wcześniej wygłosił Emmanuel Kant, ¹⁾ wyjaśnienie wszakże tego poglądu przechodziłoby zakres niniejszej pracy naszej.

Przedstawiciele francuzkiego pozytywizmu August Comte i Littré, nie zastanawiali się pilnie nad obchodzącem nas tu zagadnieniem, niewątpliwie z powodu zupełnego w ich badaniach braku pierwiastku psychologicznego ²⁾. Niemniej jednak, w fantastycznym zresztą systemacie religijnym Comta, ujawnia się widocznie konieczność czci dla wielkości człowieka, dla ludzkości, a przez ludzkość jeden z uczniów „mistrza” ³⁾ rozumie całość wszystkich myśli wzniosłych, wszystkich uczuć szlachetnych, wszystkich usiłowań wielkich“.

Doniosłe zaś słowa Littrého „nie przystępne, nie znaczy to samo, co nie lub nie istniejące“, wybornie dopełnia głęboką uwagą swoją zasłużony nasz badacz na niwie filozoficznej ⁴⁾, że „jeżeli metoda psychologiczna odsłoni substancją jakąkolwiek, pozytywizm okaże się mistyfikacją smutną, opierającą się na dogmacie niedowiedzionym“ zupełnej nie przystępności istoty rzeczy dla umysłu ludzkiego. — Filozofowie niemieccy, wyznający w zakresie etyki zasady naturalistyczno-antropologiczne, podobnie jak angielscy pozytywiści, zmuszeni są również uznać różnice wartości, jakie zachodzą pomiędzy rozmaitemi czynnościami psychicznymi. I tak np. Ueberweg wyraża zdanie że „przez rozkosz i boleść objawia się różnica pomiędzy tём, co korzystne, a tём, co szkodliwe, przez uczucie poważania i wstydu, różnica pomiędzy niższemi a wyższemi funkcjami“. Albert Lange, znany autor „Historji filozofji materialistycznej“, z której powyższe autentyczne słowa czerpiemy ⁵⁾, dodaje do nich ze swój strony uwagę, że „jeśli istnieje takie pierwotne uczucie różnicy pomiędzy funkcjami niższemi a wyższemi, tedy istnieje także naturalne sumienie, i łatwo następczy się zapytanie, czyli nie dałby się upatrzeć jakiś związek pomiędzy podmiotowém źródłem sumienia a pewnym zasadnikiem przedmiotowym“. W ten sposób, według tegoż autora, „nie tylko samolubstwo, ale i naturalna miłość bliźniego, jako zasadniki etycz-

¹⁾ Grundlegung zur Metaphysik der Sitten, Vorrede stron. od 1 — 9.

²⁾ Brak taki zaznacza Mill w swojej pracy „August Comte i pozytywiści“.

³⁾ Lonchampt. „Essai sur la prière“ powołano w poniżej wskazaném dziele d-ra Pawlickiego stron. 49.

⁴⁾ Dr. Stefan Pawlicki w swoich „Studyach nad pozytywizmem“, stanowiących prawdziwą ozdobę naszej literatury filozoficznej.

⁵⁾ Stron. 463, 464.

ne, bez uwzględnienia wyższego ideału, nie wytrzymują krytyki“¹⁾). I stąd to historyk „filozofii materjali-
stycznej“ podobnie jak Sigdwick, lecz już z całą świadomością nawraca do teorii apryorystycznych Kanta, z zastrzeżeniami naturalnie, które łatwo zrozumieć, w obec całokształtu poglądów Lange'go.

Strauss wreszcie, który w przybytku Boga tęsknił za świątynią „Rozumu“ a w tej ostatniej wzdychał do opowiadań biblijnych, Strauss, powtarzamy, zanurzając się w materjalizmie, szuka podniety dla ducha i serca „w poznaniu natury. w pismach wielkich poetów, w wykonaniu dzieł znakomitych muzyków“. Gdyby się jednak myśliciel ten zapytał sam siebie dla czego w podniosłej apoteozie uczuć i umysłu, orle odzyskuje skrzydła, i był zdolny na to bezstronnie odpowiedzieć. musiałby niewątpliwie, śladem Milla i innych głębszych angielskich i niemieckich pozytywistów, uchylić czoła przed ideałem²⁾.

1) Tamże stron. 477.

2) Taką właśnie konieczność ukorzenia się przed ideałem, wykazał Seweryn Smolikowski w starannej swój charakterystyce etyczno-religijnych wierzeń Milla, pomieszczonej w dziele „Filozofia wyzwolenia“ (str. 156 do 166).

SERPA PINTO.

Przyczynek do dziejów kolonizacji portugalskiej)

PRZEZ

Eugeniuszu Lipnickiego.

„Nieprzemienne obowiązki,
Odziedziczone z pamiętnej
Krwi przodków i utwierdzone
Przez boskie i ludzkie prawa,
Wzywają mię w ową stronę,
Gdzie w pokoju gnuśnym leży
I więdnie dziedziczna sława“...

Kalderon: „Tajna krzywda — skryta
[zemsta“.

Powyższe słowa, które w jednej z najbardziej wzruszających tragedyi Kalderona wypowiada Portugalczyk Almeida, zamierzający opuścić nadobną żonę, aby towarzyszyć młodemu królowi Sebastyanowi na wojennej wyprawie do Afryki, stosują się ze wszech miar na motto, gdy mamy powiedzieć dzieje majora Serpa Pinty. Dziedziczna sława Luzytanów, zdobyta odkryciem Indyi i brzegów Afryki, sięgnąwszy do najwyższych szczytów w czynach takich bohaterów, jak Vasco de Gama, Almeida i Albuquerque, obniża się, blednie i więdnie od kilku wieków. Nie tylko Portugalczycy stracili Indyę, ale nawet w Afryce, choć tam długo nie byli narażeni na żadną prawie konkurencyą, nie umieli rozszerzyć swoich dzierżaw, które dziś niemal w tych samych zamykają się granicach, co na początku XVI-go stulecia. Inne mocarstwa, które zaledwo w ostatnich kilkunastu latach wstąpiły na drogę kolo-

nizacyi w Afryce, już wyprzedziły Portugalczyków, osiedlonych tam od 4 wieków.

Dopiero przed kilku laty przypomnieli sobie „nieprzemienne obowiązki“, odziedziczone po sławnych przodkach, dopiero teraz zabierają się do naprawienia niedbałości i błędów wiekowych. Najświetniej na tém polu patriotycznój pracy, zajaśniał dzielny major Serpa Pinto. Pomiedzy tymi licznymi konkwistadorami nowoczesnymi, którzy, jakby błędni rycerze Ariosta, przebiegają ciemny kontynent afrykański na wszystkie strony, w szerz i w dłuż, od brzegu do brzegu, major portugalski odznacza się powagą, bezinteresownością, czystością zamiarów i tym gorącym patriotyzmem, tą dokładną świadomością narodowych celów, która dopiero uświęca podobne „awantury“. Z narodowym sztandarem w ręku, przebiegał Afrykę od morza do morza; z żołnierza podróżnik, z podróżnika znowu żołnierz, na czele wojska portugalskiego prowincyi Mozambiku staczał w roku zeszłym krwawe walki, aby zabezpieczyć zagrożone chciwością sąsiadów dzierżawy narodowe. Veto przemożnego Albionu wprawdzie mężnego majora zatrzymało w zwyciężkim pochodzie, ale zapewne nie zakończy patriotycznego zawodu męża, który stał się najpopularniejszym śród narodu swego.

I.

Gdyby sam fakt odkrycia dzikiego kraju zabezpieczał prawo jego posiadania, to cały zachodni, południowy i wschodni brzeg Afryki, byłby dziś własnością Portugalczyków. Oni bowiem pierwsi, szukając drogi do Indyi, w XV-tém stuleciu zwiedzili te brzegi afrykańskie. Już w r. 1445 Dyonizy Diaz, okrążywszy przylądek zielony, „Cabo verde“, na którym zastał najbujniejszą roślinność, przez co od razu obalił całą teorią starożytnych geografów, według którój w miarę zbliżania się do równika wszelka wegetacya ustawała: „w cieniu wysmakłych palm przylądka zielonego jest pochowana geografia średniowieczna“.

W 40 lat później Diego Cao, w którego orszaku znajdował się sławny kosmograf Marcin Behaim, wyruszył celem odkrycia i zajęcia dalszego brzegu zachodniego; przy ujściu rzeki Kongo wznosił jeden z zabranych z Portugalii słupów kamiennych z napisem łacińskim i portugalskim, drugi zaś taki kamień ustawił u przylądka Agostino, trzeci u przylądka Negro (w styczniu r. 1485-go). Ta część zachodniego brzegu Afryki na północ od ujścia rzeki Kongo do Atlantyku należy dziś do Francyi.

Dalój ku południowi posunął się niebawem Bartłomiej Diaz, który zbadał brzeg zachodni od Kongo, aż do przylądka „Dobrój nadziei“. To jest początek dzisiejszój prowincyi portugalskiej An-

goli, która się rozpościera od ujścia Kongo (6-ty stopień połud. szerokości) aż do przylądka Trio (18-ty stopień połud. szerokości) i obejmuje 3 gubernie, Angolę w ścisłej znaczeniu, Benguelę i Mossamedes. Stolicą całej prowincyi Angoli jest Loanda przy ujściu rzeki Kwanzy do Atlantyku. To miasto powstało na początku XVI-go wieku, w r. zaś 1578 zostało zabezpieczone szeregiem fortów, które dotąd istnieją. Europejski cyrkuł, wystawiony na skale, do której wiodą szerokie kamienne wschody, mieści pałace gubernatora i biskupa, kilka kościołów, wielki szpital, domy władz portugalskich, konsulów i kupców. Na wschodniej stronie przytyka doń cyrkuł murzynów, ozdobiony szerokimi alejami, ale przy nędznych chatach z gliny. Ponieważ Loanda na zachodnim brzegu, jak Zanzibar na wschodnim, jest główną stacją wszystkich podróżników po Afryce, posiadamy mnóstwo opisów tego miasta. Ostatni, majora Wissmana ¹⁾ opiewa: „Miasto, otoczone półkołem portu, spoczywa częścią na płaskim brzegu, częścią amfiteatralnie na skalistej wyżynie. Portu bronią dwa nowe forty, gdy dawne na dwóch wyspach, przy zachodnim i południowym krańcu zatoki, zapadają się w gruzy. Ulice prawie wszystkie są brukowane, atoli bruk pokrywają grube zasy piasku, który deszcze zmywają z wyżyn, otaczających miasto. Deportowani tu przestępcy portugalscy wprawdzie ciągle wywożą piasek z ulic, ale nie znać skutków tej pracy. W ulicach wałęsa się mnóstwo kaleków, mianowicie niewidomych; zresztą murzyni sprawiają wrażenie dobre, zwłaszcza plemię Kabindów odznacza się czystością białej koszuli, stanowiącej cały ubiór. Nowo wybudowany szpital odpowiada wszelkim wymaganiom europejskim“...

W najnowszych czasach Portugalczycy usilnie starają się naprawić, czego zaniedbali przez wieki. Jeszcze w r. 1877, gdy Serpa Pinto przybył do Bengueli, tamtejszy gubernator Pereira de Mello tak był ogołocony z wszelkich środków i wygod, że nie mógł zaprosić nikogo na obiad, ponieważ mu nie dostawało najpotrzebniejszych naczyń. Trzy listy do rządu, w których prosił o pewne reformy, pozostały bez odpowiedzi. Przeglądając dokumenta w archiwie rządowym, Serpa Pinto znalazł kopie listów z r. 1790, w których ówczesny gubernator Bengueli upominał się o lafety dla dwóch swych dział. Wreszcie nadszedł rozkaz odpowiedniej reparacyi; ale w r. 1877 armaty jeszcze stały przed pałacem rządowym bez lafet!

Północna i południowa granica prowincyi Angoli jest ściśle określona, bo tam posiadłości portugalskie przytykają do wolnego państwa Kongo, tutaj do posiadłości niemieckich. Nie tak wyraźną jest granica wschodnia, w głąb Afryki. Stanowi ją mniej więcej płynący ku północy Kwango, niżej kraj Bihé, a jeszcze dalej

¹⁾ „Im Inneren Afrika's“ von H. Wissmann, Lipsk 1888.

na południe kraj Owampo. W tych granicach prowincya Angola, zajmuje obszar 14,000 mil kwadratowych, t. j. więcej niż cesarstwo niemieckie, a liczy około dwóch milionów ludności.

Na przeciwległym, wschodnim brzegu Afryki leży druga główna prowincya portugalska Mozambik, pomiędzy 10½ a 26 stopniem południowej szerokości. W styczniu r. 1498 na pierwszej wyprawie do Indyi Vasco de Gama dotarł do ujścia rzeki Zambezy, którą nazwał Rio dos bonos sinaes—rzeką dobrej wróżby, ponieważ spotkał tu mieszkańców jaśniejszej cery, niż tubylcy afrykańscy, i utrzymujących związki handlowe z Arabami. Tu sławny konkwistador zabawił miesiąc, wznosił kamień z herbem portugalskim i napisem: „Do Senhorio de Portugal Reino de Christaos“; następnie odpłynął do Mozambiku, którego szejk był lennikiem arabskiego władzcy Kiloj. W Mozambiku rozpoczęło się pasmo zdrady, krwawych walk i trudów, od których opisu rozpoczyna się epopea Camoensa: „Luizyady“. Wracając w roku następnym (1499) z Indyi, Vasco de Gama zatrzymał się ponownie przy wyspie Mozambik i 2 lutego wystawił tam ostatni z zabranych z domu słupów kamiennych, które miały oznaczać okupacją portugalską.

Na drugiej wyprawie, którą Vasco de Gama podjął w lutym roku 1502, na wyspie Mozambik założono faktoryą i do jej obrony, jako też do utrzymania komunikacyi z stałym łodem wybudowano na miejscu z zabranego z domu materiału karawelę, ochrzczoną „Pompoza“. W czasie gdy Gama płynął dalej do Indyi, jeden z oficerów Pero Affonso d'Aguiar udał się na stały ląd i z kacykiem plemienia Zofala zawarł braterstwo i ugodę handlową. Odtąd Mozambik był główną stacją wszystkich wypraw portugalskich do Indyi. Na ciasnej, koralowej wysepce, zaledwo 7 kilometrów dłużej, od stałego lądu oddzielonej wązkim kanałem, w roku 1506 dowódzca portugalski Tristan de Cunha założył miasto,—stolicę dzisiejszej prowincyi Mozambik. W r. 1508 za rządów sławnego wicekróla Albuquerque na północnym krańcu wyspy wystawiono ogromnym kosztem warownię San Sebastian; kamienie numerowane przywieziono z Portugalii.

Dziś stolica Mozambiku liczy około 6,000 mieszkańców, z tych 150 białych, którzy mieszkają w wązkich i krętych, ale czystych ulicach, tudzież około 5,500 murzynów plemienia Makwa, Arabów, i Chińczyków. Spaniały pałac generalnego gubernatora, starożytna katedra, rozległy arsenał, faktorye handlowe różnych narodów i domy konsulów świadczą o ważności miejsca; cała prowincya Mozambik obejmuje 18,000 mil kwadratowych i liczy około 2 milionów ludności.

Od samego początku XVI-go stulecia Portugalczycy usiłowali osiedlić się w górę rz. Zambezy, zakładając stacye w Kwilimanie nad ujściem jednego z ramion wymienionej rzeki, dalej w Senna,

w Tete a nawet w odległym Zumbo. Ta ostatnia stacya nad Zambezą znajduje się w pobliżu 30 stopnia wschodniej długości, a zatem Portugalczycy wówczas posunęli się bardzo śmiało w głąb stałego ładu. Równocześnie mnożyły się misye portugalskie, zawierano traktaty z ościennymi plemionami; nabyte dobra korony, tak zwane *p r a z o s*, wydzierzawiano przedsiębiorcom portugalskim, którzy osiadając nad rz. Zambezą, szerzyli tam wpływ portugalski i cywilizacyą europejską.

Pracując w ten sposób zarówno w Angoli, jako też i w Mozambiku, Portugalczycy byliby niezawodnie opanowali całą południową Afrykę. Niestety połączenie Portugalii z Hiszpanią (1580 - 1668) nie tylko naraziło Luzytanów na utratę najważniejszych kolonii, ale nadto zwichnęło na bardzo długo ich dawną przedsiębiorczość, tak że nie umieli zużytkować i ubezpieczyć należycie nawet tych osad, które im z dawniejszych czasów pozostały jeszcze w Afryce.

Połączenie kolonii na zachodnim i wschodnim brzegu Afryki, czyli Angoli z Mozambikiem, a przynajmniej utworzenie drogi z jednej do drugiej prowincyi, był to cel, który sam się narzucał. Z początku, t. j. w XVI-tém stuleciu zmuszała Portugalczków pomyśleć o tém ogromna długość podróży z Portugalii w koło Afryki do Indyi. Odszukania Indyi podjęli się byli jedynie w rozpowszechnioném wówczas mniemaniu, że Afryka kończy się u równika. Gdyby nie ten błąd w geografii średniowiecznej, może nie byliby się nigdy odważyli na tak ogromne dzieło. Powoli dopiero odsłaniała im się odmienna rzeczywistość. Na długiej podróży do koła Afryki, po morzach „po których przedtém nie przesunął się żaden statek“, co chwila rozbijały się słabe „karawele i galiony“, ścieląc bezdenną drogę trupami odważnych żeglarzy i skarbami Indyi. Już z tego względu trzeba było gorąco pragnąć skrócenia niebezpiecznej drogi do Indyi. Istotnie też już za króla Jana II dwaj odważni eksploratorowie Covilha i Paiva podjęli się odszukania drogi w poprzek Afryki, ale nie zdołali dokonać dzieła. Również nie dopisała, wysłana w r. 1520 przez króla Emanuela ekspedycya pod dowództwem Grzegorza de Quadra, który miał płynąć rzeką Kongo na wschód, aby przez kraj „sławnego króla Jana Abisynii“ dotrzeć do przeciwnego brzegu Afryki.

Późniejsze wyprawy w celu odszukania drogi lądowej do wschodniego brzegu, wyruszały najczęściej z Bengueli i usiłowały korzystać z biegu rzeki Zambezy; wówczas bowiem wystawiano sobie południową Afrykę znacznie węższą, niż jest rzeczywistość, jakoż jeszcze sławny eksplorator Franciszek de Lacerda e Almeida przypuszczał, że Angola na wschodzie przytyka do Mozambiku, a nadto mniemano, że rzeka Kuuewe, wpadająca do Atlantyku, pozostaje w związku z Zambezą, że zatem drogą wodną będzie można dotrzeć aż do drugiego brzegu. Z Bengueli zatem wyruszył na czele nowej wyprawy Baltazar Rebello de Aragao, który jednak

dotarł tylko do kraju Malów. Tak samo nie dopisała wyprawa, podjęta w r. 1676 przez Ayresa de Saldanhe, ani też różne, sporadyczne wyprawy XVIII-go stulecia.

Wystarczy porównać te niedołęzne usiłowania z bohaterskimi czynami Diaza, Vasco de Gamy, Cabrala i t. d., aby zrozumieć przepaść, dzielącą słabowitych potomków od sławnych i dzielnych przodków. Do ostatnich lat pracowano daremnie nad rozwiązaniem zagadki, stosunkowo tak prostej, jak przeprawa z Bengueli do Mozambiku. Na nowszych kartach afrykańskich spotykamy naznaczoną w poprzek Afryki podróż Antoniego Franciszka Fereira de Silva Porto, który z Bengueli wyruszył 20 marca 1852 roku. Rzeczywiście Silva Porto, kupiec osiadły w Bengueli, dotarł tylko do Bihé, gdzie spotkał się z Livingstonem i założył stacją handlową. W dalszą podróż na wschód nie wybrał się sam, lecz wysłał swych niewolników, którzy istotnie w sierpniu r. 1853 dotarli do Delgado na wschodnim brzegu Afryki. Taka wyprawa murzynów, nie mających żadnego pojęcia czasu, przestrzeni, ani geografii, co najwięcej świadczy, że można przebiec Afrykę od jednego brzegu do drugiego, o czem i tak nikt nie wątpił; nie wzbogaciła przecie nauki

Czarny dowódzca tej ekspedycji Domingos Charabanga, w r. 1877 był naczelnikiem siola Kakwenka w kraju Bihenów, kiedy tam dotarł major Serpa Pinto. Oczywiście młody eksplorator usiłował wybadać starca, który jeden przeżył swych towarzyszy podróży, nie zdołał się jednak dowiedzieć żadnych ważnych szczegółów. jak chyba tylko, że owa podróż odbyła się więcej w kierunku północnym, aniżeli nakreślona jest na kartach.

Rzeczywiście więc od początku XVI-go wieku aż do r. 1878 wszystkie usiłowania portugalskie, zmierzające do odszukania komunikacji lądowej pomiędzy zachodnimi a wschodnimi portugalskimi prowincjami afrykańskimi, spelży na niczem. Podjęte o środkach niedostatecznych, bez systemu, dorywczo i w zbyt długich przestankach, świadczyły tylko, że polityczna myśl nie wygasła, ale że nie dostawało dawniejszej energii i wytrwałości w dobijaniu się do zamierzonego celu. Rząd portugalski raz po raz przypomina swym gubernatorom Angoli konieczność odszukania drogi lądowej do Mozambiku; niektórzy też gubernatorowie zapalają się tą myślą, ale każdy zawód odstrasza ich, zamiast skłonić do podwojenia pracy. Działo się z temi wyprawami tak, jak z owemi armatami w Bengueli, dla których lafet domagał się gubernator w r. 1790, a które w r. 1878 były dopiero—zamówione!

Tymczasem metodyczna, anglo-germańska wytrwałość, powoli od południa klinem się wbiła pomiędzy portugalskie posiadłości pomiędzy dwoma brzegami Afryki. Od przyładka dobrej nadziei Anglicy systematycznie, powoli, ale ustawicznie postępują na północ. Odkąd zajęli rzeczpospolitą Transwalu, stali się sąsiadami

wielkiego państwa Matabellów¹⁾, które na południu rozdzielone od Transwalu przez rzekę Limpopo, ku północy sięga aż do rzeki Zambezy. Pomiędzy srogim władzcą Matabellów, Lobengulą, a rządem angielskim dnia 11 lutego r. 1888 stanął układ, na mocy którego władca ten odstąpił prawa eksploatacyi wszystkich, pono bardzo bogatych, min swego kraju nowo utworzonemu Towarzystwu „South African Company“. Zważywszy, że w dyrekcyi nowego towarzystwa angielskiego zasiadają lord Fife, zięć księcia Wallii, tudzież inne bardzo wybitne osobistości, łatwo się domyśleć, że ten układ handlowy ma być tylko wstępem do aneksyi. Rząd portugalski, skoro mu ów układ został urzędownie zakomunikowany, stanowczo zaprotestował, wykazując, że wschodnia część kraju Matabellów, czyli tak zwane przez Anglików „Maczonaland“, gdzie właśnie znajdują się owe kopalnie, od dawna należy do kolonii portugalskich. O ile w tych stronach panuje Lobengula, władza jego opiera się jedynie na przemocy—a to wykonywaną w sposób tak okrutny, że nawet (angielski) biskup Bloemfonteinu niedawno wniósł protest, gdy się dowiedział, że pomimo blokady Zanzylbaru i Mozambiku,

¹⁾ Plemię Matabellów ze szczepu Zulów, uchodząc przed srogim naciskiem kacyka Chaki w dzisiejszym Transwalu, przepравиło się około r. 1840 przez rzekę Limpopo, pod wodzą dzielnego Mosilikacego, podbiło plemiona Maczona i Makalaka i utworzyło ogromne państwo pomiędzy Limpopo (północna granica Transwalu) a rz. Zambezą. Po śmierci Mosilikacego (r. 1869) wybranym został królem syn jego Lobengula i zwyciężywszy w marcu r. 1870 spółzawodnika Umbiga, zasiadł na tronie, przeniósłszy stolicę do Gubulawajo. Przebywający wówczas w kraju Matabellów podróżnik niemiecki Edward Mohr zapisał kilka szlachetnych rysów charakteru Lobenguli. Tak np. gdy pewien łowca słońców, który przedtém doznał był przyjaznego przyjęcia ze strony kacyka Umbiga, ofiarował Lobenguli wależyć po jego stronie przeciwko pierwszemu, młody władca Matabellów odparł: „Czy mięso i piwo u mego przeciwnika nie smakowało ci tak dobrze, jak u mnie? Ponieważ ci nie wyrządził krzywdy, zostań tutaj i czekaj, aż powrócę; ludzic moi też powinni poznać, że jak ojciec, o własnych siłach zdołam pokonać wrogów moich“. Na koronacyę Lobenguli przybyło do Gubulawajo 50,000 Matabellów, 10,000 wojowników defilowało przed nowym królem, zabawy i ucztę, na które zabito 100 wołów, trwały kilka dni. (Edward Mohr: „Nach den Viktoria-Paellen des Zambezi“, Lipsk 1875 t. II.). Kiedy w r. 1878 major Serpa Pinto przybył do Szoslong, stolicy przytykającego na zachodzie do Matabellów państwa Bamangwato, opinia o Lobenguli była mniej korzystną, aniżeli w czasie podróży Mohra. W roku 1877 udał się do władcy Matabellów kapitan Paterson w missyi od władz angielskich w Pretorii. Załatwiwszy swą missyą, kapitan angielski wyruszył z stolicy Lobenguli celem zwiedzenia kataraktów Wiktoryi. Na tój wyprawie z całą świtą znikł bez śladu. Powszechnie w Szoslong i w Transwalu przypuszczano, że zginął z rozkazu Lobenguli. Pomimo tego rząd angielski nie wahał się w 10 lat potem zawrzeć z nim traktat handlowy.

Lobengula otrzymał z Cape-Town 1,000 wydoskonalonych karabinów i odpowiednią amunicją. Zresztą pomimo przemocy Lobenguli, nie wszystkie plemiona kraju Maczona uznają jego władzę. Stwierdza to nawet angielski podróżnik Selous (z którym się spotkał także Serpa Pinto w centralnej Afryce) i który powiada, że jest błędem przypuszczać, aby całe plemię Maczonów było podwładne Matabellom. Niektóre gminy Maczonów płacą wprawdzie Lobenguli haracz i strzegą jego trzód, ale wiele innych wcale nie uznaje jego władzy, nie płaci mu podatków: a napadnięte przez jego żołnierzy, kryje się do jam lub na wierzchołki gór i jak może, broni i życia i własności przeciwko napastnikom. „Domniemanym prawem, które sobie Anglia przypisuje na podstawie układu z Lobengulą, Portugalia przeciwstawia odkrycie, okupacją rzeczywistą przez kilka wieków, misyje, zabiegi handlowe, stacje wojskowe, których ślady widne w tym kraju na każdym kroku. Prawo historyczne Portugalii względem tych stref opiera się mianowicie na układach z cesarstwem Monomotapa, które zostały zawarte w r. 1630 za rządów generalnego gubernatora Mozambiku Alvareza Pereiry“...

W ten sposób minister portugalski Barros Gomez w depeszy z 29 listopada r. 1889 uzasadnia pretensje Portugalii do zagrożonego aneksją angielską kraju na południowym (prawém) brzegu Zambezy. Równocześnie Anglicy zagnieździłi się na północnym brzegu tej rzeki. Za misyonarzami, osiedli na brzegu jeziora Nyassy, w Blantyrze, w pobliżu rzeki Szyre kupcy angielscy. Ztąd podburzają osiedlone pomiędzy Zambezą a jeziorem Nyassą plemię Makololów, które od dawna uznawało zwierzchnictwo Portugalii. Rzeczywiście Portugalczycy już w XVII-tym wieku dotarli aż do Zumbo na północnym brzegu Zambezy (w pobliżu 30 stopnia dług.), Oni też już bardzo dawno przed misyonarzami angielskimi, bo w r. 1624 odkryli jezioro Nyassę i od końca zeszłego wieku przebiegali często przestrzeń pomiędzy tém jeziorem a rz. Zambezą. Stwierdzają to nawet angielscy misyonarze i podróżnicy. Livingston przyznał, że pierwszych wiadomości o jeziorze zacerpnął od Portugalczyka Cardozo de Costa, i że równie od władz, jako też od osadników portugalskich w tych stronach doznał wszelkiej pomocy. Znany podróżnik angielski Montagu Kerr opowiada, że straciwszy w tych strefach pomiędzy Nyassą a rz. Zambezą już wszelką nadzieję, odżył dopiero, gdy go Portugalczyk, polujący na słonie, Eustaquio de Costa przywitał wyrazem „ami“ i wyzwolił z rąk kacyka Szykussa. Istotnie żadnej nie ulega wątpliwości, że Portugalczycy pierwsi osiedli w tych stronach.

Aby osłabić te argumenta, któremi Portugalia uzasadnia swe tytuły własności w tych stronach, rząd angielski starannie rozróżnia pomiędzy okupacją rzeczywistą a pozorną, i powołuje się na konferencją berlińską (r. 1885), która wygłosiła zasadę, że tylko rzeczy-

wista (efektywna) okupacya tworzy międzynarodowy tytuł własności. Zasada ta odnosi się jednak tylko do brzegów Afryki i nie może żadną miarą być zastosowaną do głębi kraju ¹⁾. Tak np. na mocy uchwał owej konferencji berlińskiej, powstało ogromne państwo Kongo, sięgające od Atlantyku, aż do jeziorównikowych, chociaż o rzeczywistej okupacyi tej olbrzymiej przestrzeni, ani mowy być nie może. W środkowej Afryce zasadę okupacyi rzeczywistej zastępuje zasada tak zwaną „sfery interesów“, a na mocy tej zasady, którą się posługują zarówno Anglicy, jak Niemcy i inni, kraj pomiędzy jeziorem Nyassą a rz. Zambezą, tworzący zachodni bok prowincyi Mozambiku, niezawodnie należy do Portugalczyków.

Osiadając na południowej stronie rzeki Zambezi w kraju Matabellów, a na północnej w kraju Makalolów, Anglicy odcinają Mozambik od wszelkiego związku z środkową Afryką i udaremniają raz na zawsze wszelkie zabiegi Portugalczyków, zmierzające do połączenia z czasem wschodnich i zachodnich swych prowincyi Afrykańskich.

Niebezpieczeństwo to, grożące od inwazyi angielskiej, pojał natychmiast najdzielniejszy z nowoczesnych konkwistadorów portugalskich, gorący patriota major Serpa Pinto. On to pierwszy w głównej rzeczy dokonał dzieła, nad którym darennie pracowali przez trzy wieki poprzednicy jego, odkrył najkrótszą komunikacyą pomiędzy Benguelą a Mozambikiem, choć zdrada i przemoc nie pozwoliły mu odbyć całej tej drogi. On też, skoro się zaznaczyły nieco wyraźniej owe dążenia Anglików do usadowienia się na zachodniej granicy Mozambiku, z niepospolitą energią zabrał się do pokrzyżowania tych zabójczych dla posiadłości portugalskich w Afryce planów, i to wybudowaniem kolei żelaznej od Chibisy nad rzeką Szyre do Tete nad rzeką Zambezą. Właśnie kiedy, w lipcu roku zeszłego inżynierowie majora Serpa Pinty byli zajęci trasowaniem odpowiedniej linii, zostali napadnięci przez podburzonych przez konsula angielskiego Johnstona, Makololów. Dzielny wódz portugalski natychmiast zebrał w porcie Kwilimanie oddział 900 żołnierzy, popłynął w górę rzeką Szyre i ukarał plemię Makololów, które od dawna pozostawało pod zwierzchnictwem portugalskim, choć teraz Anglicy twierdzą, że to plemię uznało protektorat angielski.

To energiczne wystąpienie majora Serpa Pinty sprowadziło znany zatarg, którego pierwszy akt skończył się 11-go stycznia ultimatum angielskim i zmianą gabinetu w Lizbonie. Oczywiście, małeńki kraj, jak Portugalia, nie może się oprzeć przemocy potężnej Anglii; zachodzi jednak jeszcze pytanie, czy Anglija zechce

¹⁾ Zob. Bild. Warsz. 1886. T. I. str. 329—352. („Kongo“ p. E. Naganowskiego).

istotnie nadużyć swój przemocy wobec dawnego, wiernego sprzymierzeńca portugalskiego? Tymczasem zaś zatarg ten poświadczają, że wreszcie za inicjatywą ludzi przezornych i światłych, jak major Serpa Pinto, Portugalia budzi się z długiego uspienia i pragnie naprawić w swych posiadłościach afrykańskich, czego zaniedbała przez 3 wieki.

II.

Aleksander Wojciech de la Roche de Serpa Pinto urodził się 20 kwietnia r. 1846 w zamku Polchras nad Duero, w r. 1848 z ojcem przeniósł się do nowego świata, gdzie spędził lat 10. W roku 1858 powrócił do Portugalii. Ojciec sławnego podróżnika, z zawodu lekarz, w chwilach wolnych oddawał się namiętnie pracom mechanicznym i także z syna zrobił zdolnego ślusarza i puszkarza. Major skorzystał z tego w jednej z najgroźniejszych chwil niebezpiecznej przeprawy w poprzek Afryki i przy tej sposobności przypomniał sobie następujące zajście z swjej młodości: „Dnia pewnego — opowiada ¹⁾ — obcy gość przybył do ojca w odwiedzinę do naszej willi nad Duero, a słysząc z ościennego budynku huk młota, wstąpił, aby się zapytać o właściciela. W obszernej kuźni ujrzał dwóch mężów o podkasanych rękawach, w trzewikach drewnianych i czerwonych czapkach, z długimi skórzanymi fartuchami, z twarzami poczernionymi od pyłu węgla i żelaza, potężnie tłuczących młotami rozpalone żelazo. We drzwiach gość zapytał: „Czy doktor jest u siebie?“, na co ojciec mój, jeden z dwóch kowali, odparł: „Proszę, czegoż pan życzysz sobie od niego?“ Oburzony tą poufałością domniemanego robotnika, gość szorstko oświadczył, że przybył, aby złożyć jego Excelencyi ²⁾ wizytę, ale nie pozwoli służbie obrażać siebie. Gdy ojciec oświadczył, że doktor a kowal jest jedną osobą, porywczy gość uważał to jako nową obrazę; ztąd wywiązała się namiętna sprzeczka, aż czeladnik, którym byłem ja skonstatował identyczność właściciela domu“. Już J. I. Rousseau w „Emilu“ radzi, aby dzieci, choć przeznaczone do wyższych zawodów, nauczyć pewnego rzemiosła; majorowi naszemu znajomość puszkarstwa wielce się przydała.

Od powrotu do ojczyzny uczęszczał do szkoły wojskowej, w r. 1864 jako porucznik wstąpił do wojska i został wysłany do

¹⁾ „W poprzek Afryki“, t I.

²⁾ Zapewne był tajnym radcą.

Mozambiku, gdzie odbywał liczne, mniejsze wycieczki naukowe i wziął udział w kampanii przeciwko plemieniu Massangano (1869). Gdy się ta krwawa wojna skończyła, minister marynarki Coelho zalecił gubernatorowi Mozambiku zaopatrzyć porucznika Serpa Pintę w środki, celem zbadania górnego biegu rzeki Zambezy. Podobnie jak tyle innych rozkazów rządu centralnego, tak i ten nie został wykonany. Napróżno dopominał się chciwy czynów oficer, wreszcie zniecierpliwiony powrócił do Europy, ale nie przestał gorąco pragnąć zbadania nieznanych dotąd, a ważnych dla Portugalii stref afrykańskiego kontynentu. Jako kapitan, stojąc załogą w małych miasteczkach, wszystkie wolne chwile poświęcał studjom Afryki, astronomii, meteorologii i innych nauk, potrzebnych eksploratorom. W r. 1875 z swą kompanią przebywał na wyspie Madeirze, gdzie wypracował projekt dokładnego zmierzenia kolonii afrykańskich. Projekt ten przesłał rządowi; później dowiedział się, że nie dotarł do rąk ministra marynarki. Jakkolwiek już żonaty, i ojciec nadobnej córeczki, młody kapitan nie przestał marzyć o wyprawie afrykańskiej. Gdy w r. 1876 nowo utworzona „centralna komisya geograficzna“ poruszyła myśl zbadania południowej Afryki, kapitan Serpa Pinto wystarał się o posłuchanie u ministra kolonii, Jana d'Andrada Corvo. „Jeżeli nie jest bardzo łatwo zbadać Afrykę, to jeszcze trudniej, uzyskać audiencyą u ministra Corvo; jego Excelencya piastował dwie teki spraw zagranicznych i marynarki, a zatem można sobie wyobrazić, że nie miał wolnego czasu dla byle kogo. Przez cały tydzień daremnie dobijałem się do sali ministra, dopiero 8-go dnia, w wigilią mego wyjazdu z Lizbony dostąpiłem posłuchania“. Minister przyjął gościa bardzo chłodno, ale natychmiast stał się uprzejmym, skoro się dowiedział, że kapitan pragnie wziąć udział w wyprawie do Afryki; oświadczył tedy, że zamierza wysłać wielką ekspedycyą i że nie zapomni o kapitanie. Z tą odpowiedzią odjechał Serpa Pinto do prowincyi Algarbii, gdzie wtedy stał jego pułk 4-ty strzelców.

Znowu mijaly miesiące bez żadnej wieści o zamierzonej ekspedycyi. Wreszcie dnia pewnego zniecierpliwiony kapitan wyczytał w gazetach, że minister Corvo zażądał od parlamentu kredytu 30 kontos (około 135,000 marek) na wyprawę do południowej Afryki. Wprawdzie w kilka dni potem nastąpiła zmiana gabinetu, atoli nowy minister kolonii de Mello Gouvea ponowił projekt poprzednika swego i uzyskał odnośny kredyt od parlamentu. Było to już na początku r. 1877. Przebywając jako dowódzca kompanii w uroczym, otoczonem palmami, m. Faza, przy boku kochanej żony i nadobnej córeczki, utrzymując nader miłe stosunki towarzyskie, kapitan, z nadejściem gorącego maja, przemyślał o usunięciu się w chłodne góry, gdy dnia pewnego otrzymał depeszę, wzywającą go do stawienia się przed ministrem kolonii. W 4 dni potem 25 maja, kapitanowie Serpa Pinto i Capello byli obecni na zwołanej do mi-

nisteryum spraw kolonialnych konferencyi. na której ułożono plan ekspedycyi, i zobowiązali się, wyruszyć już 5 lipca. Tyle trzeba było czasu i pracy, zanim rząd portugalski zdobył się na wyprawienie ekspedycyi afrykańskiej!

Odnosna instrukcyja zalecała podróżnikom zbadanie hydrografii pomiędzy rzekami Kongo a Zambeza, względnie krajów pomiędzy zachodnimi a wschodnimi koloniami portugalskimi; dodatkowa zaś instrukcyja odnosiła się do zbadania Kuango i Kongo.

Zakupiwszy w Paryżu i Londynie potrzebne instrumenta, czółna z gutaperchy, broń, konserwy i t. d., dnia 5-go lipca dwaj podróżnicy na parowcu „Zaira“ odplynęli z Lizbony do Loandy, dokąd przybyli 6 sierpnia r. 1877.

Zanim streścimy ważniejsze wypadki pamiętnej pogroźy majora Serpa Pinto, trzeba nieco uwydatnić sympatyczny charakter tego konkwistadora, różniącego się od niektórych innych przez swój gorący patriotyzm i całkiem bezinteresowny zapał. W przedmowie do dzieła swego oświadcza: „Nie podjąłem się wyprawy do Afryki, aby się z bogacić; poprzestawałem na mojej skromnej pensyi oficerskiej. Opuściłem drogą rodzinę, ojczyste strony z wszelkimi wygodami i przyjemnościami, aby dokonać ciężkiej pracy i przyczynić się według sił do wyjaśnienia tajemnic afrykańskich. Sumienie powiada mi, że spełniłem obowiązek... Jedynem życzeniem mojem jest, aby to dzieło także innych zachęciło do wzniosłej krucyaty XIX-go wieku,—krucyaty cywilizacyi i postępu na czarnym kontynencie“.

Istotnie na każdej stronie zajmującego opowiadania dzielnego majora przebija gorąca miłość ojczyzny, tęsknota za żoną i córeczką, tudzież silne przekonanie o ważności swego zadania, które w najtrudniejszych chwilach pokrzepia go i nie pozwala mu upaść pod brzemieniem trudów i niebezpieczeństw.

Nie ten zasługuje na sławę szlachetnego syna narodu, który zawsze gotów tłómaczyć i uniewinniać wszystkie błędy i wady, lecz ten, co z szczerą miłością ojczyzny pragnie i zaleca naprawę zlego. Do rzędu takich prawdziwych i świątłych patriotów należy major Serpa Pinto. I tak, wyłuszczając stosunki w prowincyi Bengueli opowiada ¹⁾: „Handel znajduje się w ręku Europejczyków i Kreolów. Miałem sposobność zaznajomić się z kilku takimi odważnymi ludźmi, którzy przybyli w te odległe strefy, aby szukać szczęścia. Także niektórzy przestępcy, wysłani za mniejsze ciężkie winy do tych stron, zajmują się handlem. Ale także najcięższych zbrodniarzy, skazanych na dożywotnią deportacyą, przysyłają do Bengueli. Skutkiem czego spotyka się tutaj wielu tych wyrzutek

¹⁾ Tom I-szy, str. 34.

społeczeństwa, jednakże trzeba się wystrzegać pomieszania ich z wielu zacnymi i honorowymi ludźmi, którzy tu mieszkają. Policją wykonywają żołnierze, odkomenderowani od pułków z Portugalii, ponieważ zaś z załogi miejscowej licznych żołnierzy wysyłają w głąb kraju, załoga Bengueli jest bardzo szczupła. Liczymy podwójne wojsko; jedno w Portugalii, drugie w koloniach, pomiędzy którymi nie ma żadnego związku. Wojsko w kraju jest dobre, bo portugalczyk jest dzielnym żołnierzem; wojsko kolonialne jest nędzne, ponieważ murzyni nie są zdolni na żołnierza, a nieliczni biali, którzy się znajdują w szeregach, w podłości przewyższają nawet murzynów. Degradados, t. j. ludzie deportowani z powodu przestępstw, które ich w Europie wykluczyły z społeczeństwa i pozbawiły praw obywatelskich, poświęcają się rzemiosłu wojskowemu. Wskutek tego autonomia i bezpieczeństwo naszych kolonistów zależy od ludzi, których jedyną rękojmnią jest... życie pełne przestępstw i zbrodni. To jest powodem bezwstydných scen, które się tam odgrywają. Za mego pobytu w Bengueli zabrawano kasę w pałacu wojskowym. Nadzwyczajnej energii gubernatora udało się odkryć łupieżców i to w osobie podoficera, który należał do straży kasy, tudzież kilku żołnierzy, których skłonił do udziału w zbrodni.

„Jeżeli nasze wojsko domowe nie wywoła nagany nawet najsurowszego krytyka, to wojsko nasze kolonialne wyzywa po prostu szyderstwo wszystkich cudzoziemców, którzy się z niem spotkali. Im więcej nad tem rozmyślam, tem mniej pojmuję cel utrzymania wojska kolonialnego, jak nasze, niezdolnego ani do służby policyjnej, ani do wojny; oddział ochotników portugalskich w wojnie więcej dokaze, niż cały pułk tak zwanego wojska regularnego w koloniach“.

Uwagi te znakomitego podróżnika i gorącego patrioty wyjaśniają jedną z głównych przyczyn, które przez całe wieki wstrzymały należyty rozwój kolonialnej polityki Luzytanów.

Inną nie mniej ważną przyczynę stanowią nieczne rywalizacye i intrygi, z którymi także dzielny major musiał walczyć od samego przybycia do Bengueli, intrygi, które prześladowały go i narażały na straty jeszcze w samym środku Afryki. Że w Lialui wszyscy nosiciele opuścili Serpa Pintę, zabrawszy broń i towary i tym sposobem zwichnęli właściwy zamiar majora wyruszenia z tego miejsca wprost na wschód (o czém poniżej), to pono całkiem słusznie przypisuje intrygom rodaków. Jako herszt spisku wystąpił zabrany w drodze murzyn, czarodziej i „doktor“ Czajumbuko. Nie działał jednak z własnego popędu, bo takim zachowaniem się nie mógł odnieść żadnych korzyści.

„Nie, otrzymał oczywście instrukcyę w Bihé a murzyni Silva Porty byli tylko emisaryuszami, którzy przywieźli owe rozkazy z Bengueli, wykonane przez Czajumbukę. Na Silvę Portę nie pa-

da ani cień podejrzenia. Jestem przekonany, że główny autor intrygi znajdował się bardzo daleko, i że powodem jej było moje energiczne występowanie przeciwko handlowi niewolnikami. Niektórzy podróżnicy, zwłaszcza Livingston i Kameron opowiedzieli straszliwe szczegóły o portugalskich handlarzach niewolnikami. Opinia publiczna w Portugalii głośno protestowała przeciwko tym wywodom obcych, które się zdawały zbyt ohydne, aby można w nie uwierzyć. Niestety w głównej rzeczy te opisy, choć niekiedy grzeszą przesadą, odpowiadają rzeczywistości. Jednakże ztąd nie ciąży żadna wina na Portugalii, bo handlarze, docierający do środka Afryki, przestają być portugalczykami. Są to zbrodniarze, którzy się wylamali z więzień osad naszych, zabójcy i łupieżcy, nacechowani znakiem Kaina, którzy się schronili pomiędzy dzikich, aby tam rozpocząć na nowo życie zbrodnicze. Tacy ludzie nie mogą zniesławiać ojczyzny, bo jej nie mają. Czynień odpowiedzialną Portugaliją za zbrodnie tych afrykańskich handlarzy, byłoby równie niesłuszną, jak zrzucać odpowiedzialność za komunę na Francją, za zabójstwo Linkolna na Amerykę, za bandytów w Abruzzach na Włochy. We wszvstkich częściach świata są ludzie podli, ale nie mogą zożydzić społeczeństwa, które ich wyrzuciło z pomiędzy siebie. Pomiędzy europejskimi handlarzami, którzy osiedli w Bihé, znam tylko dwóch, którzy się stanowczo różnią od tój klasy niecnej: jednym jest Silva Porto, drugim Guilherme José Gonzalves, powszechnie szanowani przez europejczyków i tubylców i zasługujący na szacunek swą szczerością i uczciwością. Imię Silva Porty jest znane w całej centralnej Afryce i nieraz za pomocą tego imienia udało mi się usunąć największe trudności.

„W Kasandze i w Tete, dwóch innych ważnych stacyach, skąd wiedzie droga w głąb Afryki, mieszkają inni szlachetni portugalczycy, którzy uczciwym handlem przyczyniają się do rozszerzenia cywilizacyi wśród murzynów. Trzeba starannie rozróżniać pomiędzy tymi ludźmi zacnymi a podłymi katorznikami, i niewolno też zapomnieć, że Portugalija pierwsza porozumiała się z Anglią względem usunięcia handlu niewolnikami, że jako jeden z najwolniejszych narodów, wszystkie swobody obywatelskie nadała także swym osadom. Portugalija nie potrzebuje żadnej obrony, broni się bowiem swemi czynami i prawami, jako też energią (?), którą rozwinięła w dziele cywilizacyjnem. José Alver, Coimbras i t. p., choć z urodzenia portugalczycy, nie mają przymiotów portugalczyka, są to ludzie bez wychowania i obyczajów, barbarzyńcy w ubiorze europejskim.

„Proszę mi wierzyć, że trudniej zwiedzać strefy Afryki, w których przebywają ci ludzie, niż kraje, zamieszkałe przez ludożerców, którzy nigdy jeszcze nie ujrzeli cudzoziemca. Chociaż

ci nienawidzą przybysza, pokazują to otwarcie, gdy ze strony tamtych zawsze wślad za podróżnikiem postępuje podstęp i zdrada“¹⁾).

Względem zadania misyonarzy, major Serpa Pinto innego jest zdania, niż Stanley. Gdy Stanley zaleca przedewszystkiem nawracanie możliwych naczelników miejscowych, major portugalski przeciwnie sądzi, że skuteczniej pracować będą, nawracając głównie mniejszych kacyków. „W wielkim kraju Matabellów od 25 lat pracują misyonarze, ale nie ma tam chrześcian. Po nawróceniu władcy poddani idą za jego przykładem i pozornie spełniają przepisy chrześciańskie, skoro jednak umrze a następca jego pragnie powrócić do słodczyh haremu, cały mozolnie wzniesiony gmach zapada się, cywilizacya upada—a wczoraj jeszcze tłumnie zwiedzany kościół, świeci pustkami. Natomiast wielcy potentaci murzynów zwykle sprzyjają handlowi, ponieważ ciągną z niego korzyści. To też w kraju Matabellów usiłowania misyonarzy były daremne, ale kupcom udało się poniekąd rozszerzyć cywilizacya.

„Może, aby zbić moją teorią, przytoczą przykład Bamangwato. A toli jestem przekonany, że skoro umrze nawrócony król Kama, a następca jego będzie przeciwny chrześcianstwu, wszyscy nawróceni nagle znikną, jak mgła przed słońcem: kupcy i nadal będą tam prowadzili handel, a kościoły misyonarzy wypróżnią się. Natomiast pomiędzy drobniejszymi kacykami Transwalu znajdują się niektórzy, co wyznawają wiarę chrześciańską, w kraju Basutów są nawróceni chrześcianie, choć ich kacykowie wytrwali w pogaństwie.

„Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem misyi. Mojem zdaniem nie tylko misya sama przez się, lecz także każdy misyonarz, żyjący niejako na wygnaniu pomiędzy barbarzyńskimi plemionami, zasługuje na najwyższy szacunek, jednakże często po stronie misyonarzy spostrzegalem skłonność do wejścia na fałszywą drogę. Starają się oni przedewszystkiem o to, aby nawrócić jak najwięcej osób, nie badając należycie gruntu, w który zasiewają słowo Boże. Mojem przekonaniem rozum murzyna nie jest dosyć rozwiniętym, aby pojąć pewne rzeczy, przystępne ludom, stojącym na wyższym szczeblu oświaty. Teoryi oderwanych murzyn nie rozumie, wykladać mu teologią, byłoby równie daremnem, jak tłómaczyć zebraniu chłopów rachunek różniczkowy. Nie zdolny zrozumieć wielkich prawd religii chrześciańskiej, murzyn, posiada jednak poczucie tego, co dobre a co złe, i pojmuje zasady zwykłej moralności. Misjonarze zatem powinni z początku zaniechać wszystkich abstrakcyi, a poprzestać na wpajaniu w murzynów moralności i to przedewszystkiem za pomocą przykładu, powinni wśród murzynów obudzać potrzeby,

¹⁾ „W poprzek Afryki“ T. II str. 86.

które są główną dźwignią postępu; słowem, zanim go nawrócą do chrześcijaństwa, powinni go zrobić człowiekiem, inaczej dom swój zbudują na piasku ¹⁾“.

Oczywiście, aby murzynów nawracać przykładem, misyonarze powinni przedewszystkiem pozbyć się sami wszelkich drożnych namiętności. Pod tym względem dotąd nie ze wszystkim odpowiadają zadaniu swemu. „Niektórzy protestanscy misyonarze opowiadają murzynom, że ich koledzy katolicycy są tak ubogimi, że ani sobie nie mogą kupić żony; w ten sposób usiłują ich zniesławić, bo w Afryce tak samo, jak w Europie, ubóstwo jest wielką zbrodnią. Na odwrót misyonarze katolicycy nie wzdrygają się także przed zdyskredytowaniem kolegów protestanckich (?). Ta ustawiczna walka pomiędzy misyonarzami różnych wyznań jest jedną z głównych przyczyn udaremnienia ich pracy“.

Wypowiadając bez odródki podobne zdania, dzielny major mógł się tu i owdzie narazić na niechęć. Kiedy przebywszy Afrykę, w stolicy Transwalu, Pretorii, spotkał się z przebywającym tam przypadkiem biskupem Natalu, ks. Jolivetem, tenże twierdził, że portugalczyki nie są gorliwymi katolikami, a nawet w końcu oświadczył, że są najgorszymi w świecie frank-masonami. Major Serpa Pinto przypomniał sobie, że stara ciotka jego po zniesieniu kongregacyi, twierdziła to samo i dodaje:

„W rzeczywistości Portugalia jest krajem najbardziej religijnym, który znam, jest gorliwie katolicką; sądzymy jednak, że religia a polityka są różne rzeczy i od czasu margrabiego Pombala zawsze doznaje porażki, kto usiłuje zatrzeć tę różnicę. Ks. Jolivet przebaczy, gdy powtórzę, że należymy do najlepszych katolików w świecie, choć opieramy się stanowczo tym kapłanom, którzy rozwijają propagandę na korzyść obcych i na ujmę własnego kraju“.

Gdy odważny podróżnik, ogołocony z wszystkiego, dotarł do pierwszej kolonii angielskiej Szoshong w kraju Mangwato, doznał tam najserdeczniejszego przyjęcia i wszelkiego poparcia, aby się mógł dostać do brzegu. Równie gościnnie przyjęli go Anglicy w Pretorii, stolicy Transwalu. Każdy tu chciał zobaczyć sławnego podróżnika. Co go najbardziej gniewało, a jako gorący choletryk major Serpa Pinto często się gniewa, to właśnie to, że wszyscy dziwili się jego niskiemu wzrostowi i delikatności członków.

„To samo przytrafiło mi się niejednokrotnie w Europie, slyszalem w Lizbonie, Paryżu i Londynie wyrazy rozczarowania z powodu postawy mojej, jak gdyby byli spodziewali się ujrzeć Goliata lub jakiego innego olbrzyma“. Ze potężny duch, niepospolita odwaga i wytrwałość mieszkają czasem w drobnem ciele, świadczą

¹⁾ „W poprzek Afryki“ T. II str. 96.

o t \acute{e} m dostatecznie nadludzkie trudy, jakie przewyci \acute{e} żył mały major portugalski. S \acute{a} dz \acute{a} c zreszt \acute{a} z fotografii, twarz jego wyrazi-
sta o dystyngowanych rysach odznacza si \acute{e} biał \acute{a} cer \acute{a} , któr \acute{a} uwy-
datnia tem wi $\acute{e$ cej czarny w \acute{o} s i zarost.

B \acute{a} d \acute{z} jak b \acute{a} d \acute{z} , ze strony anglik \acute{o} w, zar $\acute{o$ wno w \acute{l} adz cywilnych,
jak zw \acute{l} aszcz \acute{a} i wojskowych, przyszły wr $\acute{o$ g zaborcz \acute{e} j polityki angielskiej
doznał w $\acute{o$ wczas najserdeczniejszego przyj \acute{e} cia. Dnia 19 lutego
r. 1879-go oficerowie stoj \acute{a} cego w Pretorii 80-go pu $\acute{l$ ku wydali na
cześć jego uczt \acute{e} . „Byłem w wyborn \acute{e} m usposobieniu i bawilem si \acute{e}
opowiadaniem anegdotami, gdy huk kork \acute{o} w zapowiedzia \acute{l} szampa-
na. Skoro złoty p $\acute{l$ yn zaszumia \acute{l} w wysmuk \acute{l} ych kielichach, powsta \acute{l}
major Tyler i zawo \acute{l} ał: Panowie! Za zdrowie kr $\acute{o$ la Portuga-
lii! Wszyscy z zap \acute{a} łem zawo \acute{l} ali: „Niech żyje!“ po cz \acute{e} m wuroczy-
st \acute{e} m milczeniu wys \acute{l} uchali narodowego hymnu portugalskiego „El
Rei Dom Luiz“. Nie jestem zdolnym opisa \acute{c} uczucia, kt $\acute{o$ re mn \acute{a}
ow \acute{l} adn \acute{e} ło, gdy w tych dalekich strefach us \acute{l} yszałem ten hymn oj-
czysty. Majorowi Tylerowi za wiele przys \acute{l} ug jestem zobowiazany
do wdzi \acute{e} czności, ale t \acute{a} niespodziank \acute{a} zgotowa \acute{l} mi najwi \acute{e} ksz \acute{a} ra-
dość. Codziennie potem zwiedzałem ob \acute{o} z angielski. Wszyscy
oficerowie odznaczali si \acute{e} wzgl $\acute{e$ dem mnie t \acute{a} sam \acute{a} grzecznośc \acute{i} i ser-
decznośc \acute{i} , z jednym, kapitanem Allanem Saundersem, zawi \acute{a} załem
najściślejsz \acute{a} przyjaźń.

I znowu w obec tych dowod \acute{o} w przyjaźni ze strony obcych,
dzielny major z smutkiem przypomina sobie odmienne zachowanie
si \acute{e} w \acute{l} asnych ro \acute{l} ak \acute{o} w w Kakondzie i Bih \acute{e} . „Por \acute{o} wnanie pomocy,
jaki \acute{e} j doznałem w tych dalekich strefach ze strony anglik \acute{o} w i por-
tugalczyk \acute{o} w, z przeszkodami, kt $\acute{o$ re mi stawiali w s \acute{r} odku Afryki
w \acute{l} asni rodacy, utwierdzi \acute{l} o s \acute{a} d m \acute{o} j o t \acute{e} j klasie ludzi, kt $\acute{o$ rzy z Por-
tugalii udaj \acute{a} si \acute{e} w g \acute{l} ab Afryki. Podr $\acute{o$ zowałem wiele i styka-
łem si \acute{e} z wszystkimi narodami, ale nie poznałem grzeczniejszego
i gościnniejszego nad portugalczyk \acute{o} w. Cz \acute{e} sto na polowaniach w
g $\acute{o$ rach ojczystych byłem zmuszony zastuka \acute{c} do chat ubogich, kt $\acute{o$ -
re zawsze otwierały si \acute{e} przed gościeniem. Ubogi w \acute{o} ścianin dzieli
sw \acute{a} wiecz \acute{e} r \acute{e} z przybyszem, oddaj \acute{a} c mu lepsz \acute{a} po \acute{l} ow \acute{e} , z sta-
r \acute{e} j skrzyni rodzinnej wydobywa ko \acute{l} dr \acute{e} , aby us \acute{l} ac ł \acute{o} ze dla gościa.
Czy wejdziesz pod ubog \acute{a} strzech \acute{e} wyrobnika, czy do chaty zamoż-
nego w \acute{o} ścianina, czy do pa $\acute{l$ acu magnata, wsz \acute{e} dzie spotkaj \acute{a} ci \acute{e} te
same dowody gościnnosci portugalskiej. Kiedy portugalczyk budu-
je dom, nie poprzestaj \acute{e} nigdy na izbach dla rodziny, pami \acute{e} ta o go-
ściach, kt $\acute{o$ rzyby mogli potrzebowa \acute{c} schronienia, i do tego si \acute{e} sto-
suje. Przychodzień doznaj \acute{e} serdecznego przyj \acute{e} cia w ka $\acute{z$ dej rodzi-
nie portugalskiej. To te \acute{z} twierdz \acute{e} , że to nie byli prawi portugalczy-
cy, kt $\acute{o$ rzy si \acute{e} obszeli ze mn \acute{a} tak brzydko w Kakondzie i w
Bih \acute{e} . I protestuj \acute{e} uroczycie przeciwko systemowi wys \acute{l} ania do
kolonii najgorszych i najpodlejszych okaz \acute{o} w sto \acute{l} ecznego mot \acute{l} ochu.
W \acute{l} asnie ten system zawini \acute{l} upadek naszych najbogatszych kolonii

i stał się szkopułem, o który nieraz rozbijała się nasza łódź państwowa.

„W Kakondzie napotkałem na znaczne trudności i przeszkody, które miały udaremnić moją wycieczkę; w Bihé zwiększyły się jeszcze i towarzyszyły mi aż do rzeki Zambezy. Natomiast w Mangwato (kraj przytykający od północy do Transwalu) byłem przyjęty po przyjacielsku, każdy pragnął mi dopomóc i wszyscy spóźnowodniczyli w chęci usłużenia mi. Podobne sprzeczności nie potrzebują komentarza“.

Rzeczywiście nie potrzebują go, tłumaczą zaś po części, dla czego żadna z dawniejszych ekspedycyi portugalskich w głąb Afryki nie dopisała, ale też tém wyżej podnoszą zasługę majora Serpa Pinty, który zdołał przewyciężyć nie tylko grozę klimatu i dzikość tubylców, lecz nadto podle intrygi występnych rodaków, towarzyszących mu w podróży.

III.

Przybywszy 6 sierpnia r. 1877 do Loandy, major Serpa Pinto nazajutrz przedstawił się generalnemu gubernatorowi Albuquerque, który go przyjął laskawie, zapewnił, że mu dostarczy wszelkiego poparcia, ale w końcu oświadczył, że mu niepodobna wystarać się o nosicieli. Major wyjechał przeto na parowcu „Tamega“ do Kongo, aby się tam o nich wystarać. Właśnie wtedy Stanley, odbywszy sławną przeprawę po rzece Kongo, zbliżał się, wycieńczony i ogołocony z wszelkich zasobów, do brzegu Atlantyku. W Kabenda przyjmował go Serpa Pinto i następnie odwiózł do Loandy, gdzie Stanley z karawaną swą, liczącą 114 osób, miał poczekać na parowiec, wracający do Europy. W Loandzie Stanley mieszkał w domu Serpa Pinty i ze strony władz portugalskich doznał najlepszego przyjęcia.

Nie znalazłszy nosicieli ani w Loandzie, ani nad rzeką Kongo, Serpa Pinto dnia 6 września wyjechał do południowej prowincyi Bengueli, aby ich tam wyszukać. Więcej niż 2 miesiące upłynęło na tych zabiegach. Rozłożona na brzegu morza u podnóża góry i otoczona gęstym lasem, Benguela, stolica prowincyi tejże nazwy, odznacza się malowniczością położenia. Domy europejskich, otoczone przestronnymi ogrodami i chatami służby czarnej, pokrywają bardzo wielką przestrzeń. Obszerne patios czyli dziedzińce w środku pokrytych galerii służą ku umieszczeniu przybywających z zachodu karawan handlowych. Proste, szerokie ulice zdobią dwa rzędy sykomorów, rynki targowe odznaczają się przestronnością i czystością. Głównymi przedmiotami handlu są tutaj воск, kość słoniowa, gutaperka, roślina Orchila, przywożone przez karawany bądź to agentów portugalskich handlarzy, bądź tubyl-

ców. Ci ostatni płody swe sprzedają za różnego koloru bawełnę, którą potem znowu zamieniają na inne wyroby europejskie. I tak tubylcy np. za kość słoniową biorą tyle a tyle bawełny, którą potem płacą za broń, proch, arak, perły i t. d. Materye bawełniane zastępuje więc w tych stronach brzęcząca moneta.

Czekając ciągle na nosicieli, trzech naczelnicy wyprawy w ten sposób rozdzielili pomiędzy siebie role, że porucznik Ivens miał objąć departament geograficzny, kapitan Capello meteorologiczny i przyrodniczy, zaś major Serpa Pinto dowodzić oddziałem w marszu. Układ ten nie dopisał, bo wkrótce wyprawa rozpadła się na dwie: w inną stronę poszedł major Serpa Pinto, w inną Capello z Ivenssem. Był to nowy błąd rządu portugalskiego, że nie wyznaczył z góry jedynego wodza ekspedycyi, lecz Serpa Pintę i Capello postawił na równi. Błąd ten mógł łatwo zwichnąć całą wyprawę, chociaż dzięki energii majora i przezorności kapitana ostatecznie obie ekspedycye wydały poważne owoce.

Dopiero 12 listopada karawana z 80 nosicielami wyruszyła z Bengueli, resztę ładunków Silva Porto miał wysłać wprost do kraju Bihé, gdzie w Belmonte posiadał stacyą. Postępując w kierunku południowo-zachodnim, nazajutrz przybyła ta karawana do Dombe. Tu znowu z powodu zatargów z nosicielami trzeba było zatrzymać się aż do 4 grudnia. Tegoż dnia karawana w południowo-wschodnim kierunku wyruszyła do Kwilenger, dokąd po ciężkiej przeprawie przez pustynię, przybyła 11 grudnia. Tamtejsza stacya portugalska, którą dowodził wtedy porucznik Rosa, tworzy rozległy czworobok, ogrodzony palisadami i obwarowany czterema, do połowy murowanemi basztami. Ościenni kacykowie nominalnie uznają zwierzchnictwo Portugalii, ale pomimo tego ustawicznie walczą pomiędzy sobą. Tubylcy, mieszkający w okrągłych chatkach z drzewa i gliny, odznaczają się wysoką, mężną postawą i wojowniczym charakterem, chodują wielkie trzody bydła, uprawiają maniok, ale nader są skłonni do pijaństwa.

Odesławszy starych nosicieli do Dombe i najawwszy nowych, zaopatrzona hojnie w żywność karawana 1 stycznia r. 1878 wyruszyła z Kwilenges w kierunku wschodnim, 2 stycznia dotarła do Ugoli, potem przebywszy wysokie góry i liczne strumienia, maszerując w kierunku północno-zachodnim do Kakondy (7 stycznia). Jest to najdalej posunięta na wschód rządowa stacya portugalska, obwarowana głębokim rowem i palisadami a zabezpieczona kilku mosiężnemi działami. W chwili przybycia Serpa Pinty naczelnikiem stacyi był porucznik Agujar. Wszelkie usiłowania wystarcenia się o nosicieli okazały się daremnemi, jak przypuszcza major Serpa Pinta, wskutek intryg kilku handlarzy portugalskich i złożonego niedawno z urzędu naczelnika stacyi. Zniecierpliwiony wreszcie podróżnik sam z 8 murzynami dnia 8 lutego wyruszył w dalszą drogę, pozostawiwszy kolegów i towary w Kakondzie, i 13-go dotarł do siola kacyka Kapoko. Tu od Capella i Iwensa

otrzymał Serpa Pinto doniesienie, że zamierzają dalszą drogę odbyć sami i że z ładunków wydzielili dla niego trzecią część. Bądź, że ich do tego pobudziły, jak się domyślał dzielny major, intrygi handlarzy portugalskich, bądź też, że przyczyną była tylko ambicya, dość że położenie majora stawało się teraz nader trudnem. Czy o tak słabych siłach mógł ruszyć naprzód? W trzech dniach mógł wrócić do Kakondy i ztamtąd łatwo dostać się do Bengueli; natomiast do Bihé było 20 dni marszu i groziło nieustanne niebezpieczeństwo. Ale czyż dla tego podjął się wyprawy afrykańskiej, aby ją przerwać na samym wstępie? „Audaces fortuna juvat”, zawołał śmiały konkwistador i postanowił iść naprzód, aby odszukać prostęj drogi do wschodnich dzierżaw portugalskich.

Skoro nadszedł z Kakondy wysłaniec Capella i Ivensa z 40 ładunkami, major Serpa Pinto, najawszy za pośrednictwem kacyka Kapoka 40 nosicieli, wyruszył 21 lutego w dalszą drogę na wschód. Wysławszy naprzód towary, pomimo gwałtownej febrы postępował za karawaną, ale już pierwszego dnia nosiciele, złożywшы ładunki w siole kacyka Kwimburga, pierzchli. Ponieważ kacyk ten zdołał dostarczyć majorowi tylko kilkunastu nosicieli, trzeba było pozostawić część towaru pod strażą murzyna Barroza w Kwimburgo. Odtąd, walcząc ciągle ze zdradą i niesformością nosicieli, z podstępem kacyków, ulewnym deszczem i gwałtowną febrą, major Serpa Pinto maszerował w północno wschodnim kierunku przez kraje Sambo, Moma, Kakwinga, zamieszkałe przez szczep Gangwellów, przebywając góry i wezbrane rzeki, aż wreszcie 17 marca stanął w Belmonte. osadzie Silva Porta w kraju Bihé, gdzie się raz jeszcze spotkał z dawnymi towarzyszami swymi Capellem i Ivenssem, i dokąd niebawem przybyły pozostawione w drodze towary.

Podróż z osady Dombe, która znajduje się blisko brzegu zachodniego, do Belmonte w kraju Bihé trwała więc blisko 3½ miesiąca, od 4 grudnia r. 1877 do 17-go marca r. 1878. Znaczna część tego czasu spędza jednak na przymusowych przystankach, spowodowanych koniecznością starania się o nosicieli: rzeczywisty marsz trwał 42 dni, a w korzystniejszych warunkach wystarczałoby na tę przeprawę dni 30.

Przebywszy ciężką chorobę, dzielny major zabrał się z zwykłą energią do złożenia oddziału, z którym zamierzał dotrzeć do wschodniego brzegu Afryki, i zapisywał sumiennie każdego dnia swe spostrzeżenia meteorologiczne, astronomiczne, jako też dotyczące kraju i ludzi. Według obliczeń majora państwo Bihé obejmuje około 2500 angielskich mil kwadratowych i liczy około 100,000 ludności, czyli około 38 mieszkańców na milę kwadratową, co na Afrykę oznacza gęste zaludnienie. Nazwę swą kraj wywodzi od syna kacyka Humby, dzielnego Bihégo, który osiadłszy w tych stronach, założył obwarowane siole Kabongo, dzisiejszą stolicę, i powoli podbił ościenne plemiona Gangwellów. W chwili przyby-

cia majora Serpa Pinty panował w Bihé wnuk założyciela Kwilemo. Bihenowie uprawę roli zdają na kobiety, sami zaś podejmują dalekie wyprawy handlowe zarówno w głąb kraju, jako też i do Bengueli. Major zapoznał się z niektórymi kupcami czarnymi, którzy rozporządzali kapitałami około 25,000 marek, a były niewolnik Silvo Porto Szakwinqunde dorobił się nawet okazałej sumki 70,000 marek; zdolni, odważni i wytrwali w podróży, Bihenowie przewyższają inne plemiona okrucieństwem i obludą.

Dopiero 6 czerwca, po nadejściu reszty ładunków z Bengueli i zebraniu potrzebnej liczby nosicieli, Serpa Pinto mógł wyruszyć w dalszą podróż na wschód i 9 czerwca stanął nad brzegiem płynącej ku północy rzeki Kwanzy, która tworzy wschodnią granicę kraju Bihé. Czekając tutaj na obiecanych nosicieli, dnia 12 czerwca rozbroił karawanę niewolników. Związawszy naczelnika i stróżów, podróżnik oświadczył niewolnikom, że są wolni. W mgnieniu oka wszyscy znikli, tylko młoda dziewczyna prosiła majora, aby jej pozwolił pozostać u niego, ponieważ nie wie, dokąd się udać. Dziewczę to, Mariana, w dalszej podróży wyświadczyło majorowi wielkie przysługi i była jedną z tych 9 osób, które dotarły z nim do brzegu wschodniego i do Lizbony.

Przeprawiwszy się 14 czerwca przez rzekę Kwanza i maszerując w wschodnim kierunku przez kraje Kwimbandów i Luchazów, dnia 25 lipca karawana stanęła nad rzeką Kuhibi, w kraju gościnnych Ambuelów. i postępując dalej nad brzegiem tej rzeki dnia 29 lipca zatrzymała się przy siole kacyka Kahu-heu-ue. Kacyk ten natychmiast przysłał dużo żywności mianowicie kukurydzy, nazajutrz zaś przybył do obozu majora. Mąż podeszłego wieku o sympatycznych rysach twarzy, kacyk Kabu-heu-ue, miał na sobie stary mundur portugalski. szyć obwiniętą chustką, na głowie czerwona czapkę, w ręku gitarę, z której wydobywał szkaradne jęki. Po wymianie podarków, kacyk oświadczył majorowi, że jest wasalem państwa Barozy nad rz. Zambezą, dokąd dążył nasz podróżnik; atoli o świeżo zaszłej tam rewolucji, o której major dowiedział się od wracających z Barozy Bihenów, kacyk nie miał żadnych wiadomości. Kiedy wieczorem major Serpa Pinto wracał z polowania do obozu, zastał swych murzynów wesoło tańczących ze zgrabnymi dziewczętami Ambuelów. Jest tam zwyczaj przysyłać kobiety i córki do obozu przybywającej karawany, gdzie po tańcach i po oddaleniu się mężów i ojców, pozostają przez noc. W imię tego zwyczaju sędziwy kacyk przysłał też majorowi dwie córki, z których młodsza 16-sto letnia, Kapeu, odznaczała się przyjemnymi rysami twarzy i niepospolitą zgrabnością. Jednak dzielny major, stały i wierny żonie, oparł się pokusie, po czém pomiędzy nim a królewnami wywiązał się stosunek szczerzej przyjaźni, tak że mu towarzyszyły w dalszej podróży przez kraj Ambuelów.

Dnia 4 sierpnia karawana ruszyła z miejsca i 24-go, przeprawiwszy się przez rzekę Zambezę, która się tutaj nazywa Liambai, dotarła do Lialui, stolicy państwa Barozy. Nowy król, 20 letni, Lobossi, który jednak, jak się pokazało później, zasługiwał na nazwisko Łobuza, przygotował podróżnikowi uroczyste przyjęcie. Szpalerem, utworzonym przez 1200 żołnierzy i otoczony dostojnikami króla, major Serpa Pinto udał się do wyznaczonego mu domu. Pod baldachimem, umieszczonym przed domem, major przyjmował ministrów i wysłańców króla, przy czém wymieniano komplimenta i zapewnienia przyjaźni. Nazajutrz odbyła się recepcya u króla Lobossi, który zapewnił majora, iż mu dostarczy wszelkiej pomocy do odbycia dalszej podróży. Serpa Pinto zamierzał bowiem wyruszyć z Lialui wprost na wschód do Kainzo nad rzekę Loengiem (138 mil angielskich, czyli 7 do 10 dni drogi), ztamtąd wymienioną co tylko rzeką popłynąć do rzeki Zambezy, na téj rzece płynąć aż do Tete, ztamtąd ładem dotrzeć do Chibisy nad rzekę Szyre (5 dni drogi), wreszcie rzeką tą do brzegu wschodniego. Jest to najkrótsza droga pomiędzy Angolą a Mozambikiem i najwygodniejsza, ponieważ 792 mil można przebyć drogą wodną. Że jednak, przybывая do Lialui, Serpa Pinto był już ogołoco ny z wszelkich środków dalszej podróży, jedynie energiczne poparcie ze strony króla Barozy byłoby umeźbniło wykonanie tego planu.

Zanim zobaczymy, o ile król Lobossi spełnił nadzieję podróżnika, trzeba nam przytoczyć kilka szczegółów o kraju Barozy. Państwo to założył Chibitano, który przybył w te strony z południa z wojskiem Basutów i Beczwanów, do którego wcielał młodzież pobitych plemion. Wojsko to nazwał Kololos, z skąd powstała więcej znana dziś w centralnej Afryce nazwa Makololo. W Barozy jednak z czasem nad tą wojskową kastą Makololów uzyskało przewagę miejscowe plemię Luina. Już za rządów Szykreta wielkie państwo, utworzone żelazną wolą ojca jego Chibitana, zaczęło podupadać. Po jego śmierci rozpoczęły się krwawe wojny domowe i rewolucye pałacowe. Ostatnia taka rewolucya w r. 1878, krótko przed przybyciem majora Serpa Pinty, wyniosła na tron 20 letniego Lobossiego, który z kolei w rok potem stracił koronę i życie. Zamiast dzielnego narodu, utworzonego przez Chibitana, podróżnik nasz zastał w Barozy mieszańców, osłabionych moralnie i fizycznie pijaństwem, nadmiarem w użyciu tytoniu (konopi) i chorobami wenerycznymi. W żadnym innym kraju afrykańskim wielożeństwo nie jest tak rozwinięte, jak tutaj. Tak np. minister Gambella miał 70 żon. Majątek Luinów oblicza się według ilości żon i wołów, żywią się głównie mlekiem, serem i słodkimi ziemniakami, z kukurydzy wyrabiają piwo, zwane kapata. Jakkolwiek nie mają nożów, z nadzwyczajną zręcznością dokonywają robót snycerskich na ławach i naczyniach; odzienie ich składa się z skóry, przymocowanej do pasa i sięgającej aż do kolan, tudzież z długiego kozucha,

który pokrywa barki i sięga aż do łydek; kobiety noszą spódnice ze skóry, sięgające za kolana, biodra opasują rzemieniem, ozdobionym muszlami, rzędy pereł na szyi, naramienniki i futerko na plecach, zastępując te miejscowe wyroby często materiami europejskimi. Niewiasty wyższych stanów nacierają ciało tłuszczem wołowym, zmieszany z prochem lakowym, co nadaje ciału czerwoną cerę, ale razi brzydkim zapachem. Oprócz miejscowych dzid i motyk, Luinowie używają wprowadzanych z południowych kolonii angielskich karabinów. Kraj ten, 30 do 35 mil szeroki, 180 do 200 mil długi, pierwszy jeszcze przed inwazją Chibitana, zwiedził wymieniony już kilkakrotnie kupiec portugalski Silva Porto; za rządów drugiego władcy Szykreta. W r. 1855 sławny Livingstone dotarł do Lialui i od tego króla otrzymał środki do kontynuowania podróży ku północy.

Król Lobossi, którego na tronie Barozy zastał Serpa Pinto, liczył około 20 lat. był wysokiej postawy i dobrej tuszy. Na kolorowej koszuli miał płaszcz z bawelny, zamiast krawatu mnóstwo amuletów, pantalone z różnobarwnej materii, białe długie pończochy, połyskujące trzewiki i miękki kapelusz, przyozdobiony strusimi piórami, w rękę trzymał narzędzie drewniane z grzywą, którego używał jako wachlarza przeciwko natrętnym muchom. Przyjmując podróżnika, król Lobossi siedział na wysokim krześle; na niższych krzesłach do koła zasiedli ministrowie i doradcy. Ministerjum w Barozie składało się z dwóch wydziałów wojny i spraw zagranicznych, które znowu dzieliło się na dwie sekcye, zachodnią, przeznaczoną do traktowania z portugalczykami w Bengueli, i południową do traktowania z anglikami w Kaplandzie. W chwili przybycia Serpa Pinty ministrem spraw zagranicznych był Malagja, ministrem wojny a zarazem kierownikiem sekcji dla spraw południowych Gambella. Pomędzy doradcami młodego króla znajdował się także jako komenderujący generał sędziwy Maczawana, który towarzyszył Livingstonowi w podróży od rz. Zambezy do Loandy i opiekował się też majorem portugalskim.

Jak wspomnieliśmy powyżej, doznał on zrazu ze strony króla Barozy wielce przyjaznego a nawet uroczystego przyjęcia. Ale niebawem nastąpiła stanowcza zmiana w zachowaniu się króla. Stawiał naprzód wymagania, o których doskonale wiedział, że ogołocony z towarów major spełnić ich nie mógł, wreszcie coraz wyraźniej zdradzał zamiary nieprzyjazne. Serpa Pinto domyślał się, że zmianę w postępowaniu króla spowodowały intrygi portugalczyków, którzy się posługiwali należącym do orszaku majora czarodziejem, wróżbitą i „doktorem“ Czakojobmą. Tym samym intrygom przypisuje dezercyą Bihenów, którzy 30 sierpnia opuścili Lialui. Przy majorze pozostało jeszcze 58 osób, pomiędzy nimi wymieniony Czakojobma. W dwa dni potem zjawił się u majora minister Gambella z rozkazem króla, aby natychmiast opuścił Lialui i to w zachod-

nim kierunku (do Bihé). Major odpowiedział, że tego rozkazu nie spełni, wojsk króla się nie boi, napadnięty będzie się bronił, a gdyby poległ, król portugalski pomści śmierci jego. W nocy po tej rozmowie Maczawana przybył do majora i ostrzegł go, że Gambella radził królowi, sprzątnąć go potajemnie. Dnia 4-go września, wracając od króla do domu, Serpa Pinto stał się celem zamachu pewnego murzyna, który rzucił za nim dzidą; dzielny major, dobywszy rewolweru, zranił uciekającego mordercę i zaprowadził go następnie do króla, który naturalnie udał wielkie oburzenie i przyrzekł surowo ukarać więźnia. Gdy major powrócił w nocy do domu, zbliżyła się ostrożnie do chaty jego wymieniona powyżej Mariana i szepnęła: „Bądź ostrożnym. Czakojomba zdradza, powróciwszy z Tobą udał się znowu na rozmowę z Gambellą; wróciwszy zwołał ludzi Silva Porta do swęj chaty, podsłuchałam, że się naradzali, jakby cię zabić. Także Verissimo był tam. Bądź więc ostrożny, bo wszyscy oni źli, bardzo źli“.

Dnia 6-go września wieczorem kilkotysięczny tłum murzynów napadł obóz majora. Stał on z sztandarem narodowym w rękę w środku obozu, i rozpoczęła się krwawa walka. Ale czyż garstka 50 ludzi mogła się oprzeć tysiącom napastnikom? Już zbliżali się oni coraz więcej do środka obozu. W tém najwierniejszy z sług majora, Augusto, nadbiegł zrozpaczony, pokazując pęknięty karabin. Major chłopcu swemu Pepikowi rozkazał przynieść dla Augusta flintę, którą strzelał na słonie. Natychmiast Augusto wystrzelił w najgęstszy tłum napastników. W tej samej chwili śród murzynów zagrzmięło piekielne wycie i wszyscy pierzchli. Dopiero następnego dnia major dowiedział się od króla, co spowodowało ten nagły zwrot. W paczce nabojów, wręconej Augustowi, znajdowały się kule napełnione nitroglicerynem, których się używa do strzelania słoniu. Straszliwy efekt tych kul eksplodujących, w czém murzyni widzieli potężne czarodziejstwo, wywołał ich ucieczkę. W pół godziny potem nadszedł Maczawana z oddziałem żołnierzy i z zapewnieniem króla, że nie ma żadnej winy w nocnym napadzie, atoli nazajutrz przestał dostarczać majorowi żywności.

Otoczony zewsząd zdradą i zagrożony śmiercią z głodu, Serpa Pinto opuścił Lialui i udał się w pobliskie góry, gdzie osiadł opodal siola Katonga, zamierzając żywić się rybami jeziora i zwierzną z lasów. Nie skończyły się przeciw gorzkie zawody podróżnika. W nocy z dnia 10 na 11 września pierzchła reszta ludzi jego. Tylko trzej wierni murzyni: Augusto, Werissimo i Kamutombo, trzej chłopcy Katrajo, Moero i Pepika, tudzież Mariana i żona Augusta, Markolina, wytrwali przy wodzu. Co gorsza, zbiegowie zabrali wszystkie ładunki, broń, amunicją. Pozostały majorowi tylko dwa karabiny, nieużyteczne, ponieważ nie było kul. Całe mienie majora stanowiły dwa kuferki, na których sypiał. Ale — w jednym z tych kuferków znajdowała się flinta, którą mu przed

wyjazdem z Lizbony darował król Luiz, starannie przechowana w futerale skórzanym, 500 kapiszonów, dwie paczki prochu, których major użył w Bengueli celem przymocowania pudelka z sekstantem, tudzież narzędzie do lania kul. Zkąd wziąć kule? Nad jeziorem wisiała ogromna, zabrana z Londynu sieć, której wielkie ołowiane ciężary dostarczyły materiału potrzebnego na kilkaset naboju. Natychmiast major zabrał się do lania kul i sporządzenia 300 naboju. Nie było to wiele, ale przynajmniej—nie był zupełnie bezbronnym.

Katastrofa ta zwiczyła plan przeprawy w kierunku wschodnim przez więcej jeszcze niż połowę Afryki. Zambeza od Lialui płynie w kierunku południowym aż do porogów Wiktoryi (około 26-0 stopnia długości); dopiero ztamtań zwraca się w kierunku północno-wschodnim aż do Semalembe, gdzie się z nim łączy Loengwe czyli Kafuce i skąd dopiero płynie na wschód. Lialui, Semalembe i porogi Wiktoryi tworzą więc ogromny trójkąt; na linii Lialui-Semalembe major Serpa Pinta zamierzał łodem ruszyć na wschód. Teraz stało się to niemożliwem. Dowiedziawszy się zatem, że nad drogami Wiktoryi przebywa misjonarz, z 8 swymi towarzyszami i kilku przewodnikami, których wreszcie dostarczył król Labossi, dnia 24 września odpłynął na maleńkich czółenkach po Zambezie w kierunku południowym i dnia 19 paźdz. dotarł do Embarira nad ujściem rzeki Kuando do Zambezy, w pobliżu porogów Wiktoryi. Przeprawę pomiędzy Lialui a Embarirą utrudniają powtarzające się co kilkanaście mil ogromne porogi, których ostatni, najdalej na wschód tworzy niesłychanie gwałtowny i ponury wodosпад Wiktoryi, niejako Niagarę afrykańską. Przy każdym z tych porogów trzeba było czółno przemieścić po brzegu, wycinając drogę w odwiecznych lasach, przytykających do rzeki. Ogołocony z wszelkich zasobów, za któreby był mógł zamienić żywność, major Serpa Pinto jedynie „strzelbie króla“ zawdzięczał wyżywienie swęj szczupłej karawany; jako niepospolity strzelec, umiał zawsze dostarczyć swym wiernym żywności. Jako zawołany badacz nie zaniechał zapisywać suniennie każdego dnia swych cennych spostrzeżeń meteorologicznych i topograficznych, które stanowią obfity naukowy owoc tęg pamiętnej wycieczki. Jeżeli dodamy, że w zabójczym klimacie, sypiając miesiącami pod gołym niebem, pozbawiony wszelkiej strawy europejskiej, nawet soli i kawy, co chwila zapadał na gwałtowną febrę—będziemy sobie mogli poniekąd wyobrazić trudności tęg bohaterkiej przeprawy w poprzek Afryki.

Ostatnia nadzieja, że Europejczyk, z którym miał się spotkać w sercu Afryki, dostarczy mu środków na wykonanie pierwotnego planu podróży, zawiodła. Zaczny pan Coillard, protestancki misjonarz francuski, podróżujący w ogromnym wozie z żoną i siostrzenicą, przyjął dzielnego majora jaknajserdeczniej i dzielił się z nim po bratersku, czem mógł, nie był jednak w stanie, dostarczyć mu po-

trzebnych na dalszą podróż w poprzek Afryki i wzdłuż rzeki Zambezy znacznych środków. W towarzystwie więc rodziny Coillard, której obok „strzelby króla“ major przypisuje swe ocalenie, udał się przez daleką puszczybę do Szoshong, stolicy Bamangwato, gdzie wymieniony misyonarz od kilku lat mieszkał. Zarówno ze strony króla Khamy, nawróconego na chrześcijaństwo, jako też ze strony kolonii europejskiej w Szoshong podróżnik nasz doznał najserdeczniejszego przyjęcia, tudzież za pomocą weksli otrzymał środki dotarcia do południowo-wschodniego brzegu.

Zabawiwszy w stolicy Bamangwato od 31 grudnia r. 1878 do 14-go stycznia r. 1879-go, podróżnik nasz przez znaną rzeszpospolitą Transwaal, gdzie w drodze 9-go lutego umarła żona Augusta, Markolina, dnia 12 lutego dotarł do stolicy Pretorii. I tu ze strony kolonii europejskiej, jako też ze strony załogi angielskiej był przyjęty z wielką serdecznością, nawet z zapalem. Dnia 8 marca opuścił gościnną Pretoryą i spotkawszy się w drodze z przybyłym właśnie na wojnę z Zulami młodym księciem Ludwikiem Napoleonem, dnia 19 kwietnia z 7 wiernymi murzynami z portu Durban (w Natalu) na parowcu „Danubio“ odpłynął do Zanzubaru, i przez Aleksandryę, Neapol i Bordeaux, wszędzie witany z zapalem, udał się do Lizbony, dokąd przybył 5 czerwca r. 1879-go.

Opis tej podróży, przełożony natychmiast na język angielski, niemiecki i t. d., nie tylko majora Serpa Pintę postawił od razu w pierwszym rzędzie tegoczesnych eksploratorów i konkwistadorów europejskich, ale nadto w Portugalii obudził uśpioną przez kilka wieków żądzę sławy i bohaterskich czynów. Serpa Pinto stał się najpopularniejszym mężem wśród narodu swego. Tem silniejsze też wrażenie musiał wywołać w Portugalii zatarg z Anglią, który się wywiązał właśnie z powodu nowej, tym razem już czysto politycznej wyprawy dzielnego majora. Ultimatum angielskie w Lizbonie przyjęto nie tylko z namiętными protestacyami, lecz także z jednomyślnym okrzykiem: „Niech żyje Serpa Pinto! Niech żyje nietykalność ojczyzny!“¹⁾

Wiedeń w lutym r. 1890

¹⁾ W lutowym zeszycie „Biblioteki“ w artykule o Stanley'u i Eminie, na str. 213 ostatni ustęp, zaczynający się od słów: „Świeżo listy“ i t. d., mylnie został umieszczony w tekście, zamiast w przypisku; a prócz tego wiersz 12 od góry zamiast: wydanie „nie wielkie“ należy tamże czytać: „niemieckie“.

Red.

WYSTAWA SZTUKI STAROŻYTNEJ I NOWOŻYTNEJ *stosowanej do przemysłu,*

urządzona w Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie
1889-go roku.

OPISZŁ

Fadewsz Dowgird.

Z wielu wystaw, urządzanych w lokalu Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie, najbogatszą i najciekawszą była ostatnia wystawa sztuki stosowanej starożytnej i nowożytnej a już bezwarunkowo najliczniejszą z wystaw starożytnych dotychczas urządzanych w Warszawie; do tego bowiem rzędu wystawę tę zaliczyć należy, gdyż dział nowożytny w porównaniu z starożytnym nadwyzczaj ubogo jest reprezentowany.

Dość jest wziąć do ręki katalog wystawy, by się o tém przekonać.

W dziale starożytnym katalog wykazuje 1431 pozycyi; pod połową z nich zapisano po kilka lub kilkanaście przedmiotów, że zaś spotykamy pozycye obejmujące po kilkadziesiąt i po sto przedmiotów, oraz kilka mających po tysiąc okazów, jak np. kolekcją p. Samokwasowa i moję, więc nie przesadzimy, gdy w dziale starożytnym liczymy sztuk do 10,000 co najmniej.

W dziale nowożytnym znajdujemy tylko 157 pozycyi a pominąwszy to, że żadna nie zawiera tak wielkiej ilości okazów, przyjmiemy liczbę nadesłanych przedmiotów koło 1,000; ilościowe zatem bogactwo tego działu będzie mniejsze o dziesięć razy.

Czy się tego spodziewano, czy też dla innych pobudek, rozdzielono tylko dział starożytny na oddziałów siedm, a okazów sztuki nowożytnej wcale nie rozklasyfikowano.

Dział starożytny rozdzielono na: starożytności z czasów przedhistorycznych, stanowiące oddział pierwszy;—w oddziale drugim umieszczono numizmatykę, heraldykę i sfragistykę; w trzecim, rękopiśma, druki i oprawy książek; w czwartym, sprzęty i naczynia kościelne; w piątym, ozdoby stroju kobiecego i męskiego; w szóstym, uzbrojenia i narzędzia; w siódmym, sprzęty domowe.

Podział taki byłby doskonały dla wystawy tego rodzaju, gdyby była możebność ściśle go przeprowadzić, lecz tym razem to się nie dało zrobić i wątpię, by z chwilą, gdy się przyjmują na wystawę gotowe kolekcye, można o tém marzyć—chyba gdyby wszyscy kolekcjonerzy porządkowali swe zbiory systematem z góry określonym, co jest rzeczą nie podobną. Wada taka choć jest wadą, lecz jeszcze nie zbyt doniosłą i nie dającą się nigdy usunąć, a szczególnie w tak krótkim czasie, jak w dwumiesięcznym terminie, który to czas został przez muzeum naznaczony do urządzenia wystawy. Zaiste trzeba podziwiać ofiarną naszego ogółu, który w tak krótkim czasie nadesłał tyle okazów bez najmniejszego osobistego interesu, ale nawet po części z własnym uszczerbkiem, bo każde przenoszenie lub przesyłanie przedmiotów starożytnych nie może się obejść bez ich uszkodzenia.

Znacznie donioślejszą wadą tej wystawy jest katalog, który zadaniu swemu zupełnie nie odpowiadał. Przedewszystkiém numeracya ogólna, jaką przyjęto, bez względu na sale i oddziały jest nadzwyczaj utrudniająca odszukanie danego przedmiotu.

Następnie zupełna bezzasadność nierównomiernego opisu okazów, bo spotykająca się tak dobrze nietylko w tym samym oddziale, ale często na przedmiotach zupełnie jednakowego użytku i jednokowej wartości archeologicznej, jest całkowicie nie rozumiałą.

Dla dokładniejszego usprawiedliwienia wyżej wypowiedzianego zdania, pozwalam sobie zestawienia kilku objaśnień z katalogu.

W oddziale II na stronie 11 czytamy:

28.—409 sztuk monet i medali polskich, od Zygmunta Starego do czasów Stanisława Augusta, stanowiących część jednego z najpiękniejszych i najbogatszych zbiorów w kraju, tak pod względem doboru jako też ilości sztuk. Zbiór ten znany jest w całej Europie, własność hr. Emeryka Czapskiego.

na str. 15 w tymże oddziale:

66.—14 pieczęci od dokumentów od XIII do XVIII-go wieku, wł. Edw. Diehla.

zaś na stronach 13 i 14 od numeru 43 począwszy do 64 przy znakach masonskich, będących wł. p. G. Soubise-Bisier, przy każdym okazyje znajdujemy stosunkowo dokładniejsze opisanie mniej więcej takie: „Nr. 54.—2 znaki łoży kamienieckiej „Oziris“; jeden ofiarowany Gagarinowi“.

Albo w oddziale IV na stronie 28 czytamy:

160 — „Monstrancya złota w stylu gotyckim, ozdobiona wieloma kamieniami. Na wierzchu krzyżek z emaliowanym wizerunkiem Chrystusa Pana, na podstawie herb „Pomian“ emaliowany, a w pośrodku zawieszony klejnot w stylu renesansowym.

Monstrancya z XV w., dodatki atoli późniejsze.

Wł. katedry wrocławskiej;

a niżej przy numerze 162 mamy tylko taki krótki opis:

„Krucyfik z zegarem (Empir) wł. p. Trzebiński“.

Zestawiwszy te kilka przykładów, pytam się: przez co gorszy jest i mniej zasługujący na dokładny opis, zbiór monet i medali hr. Czapskiego, o którym już sam katalog wspomina, iż jest najbogatszym w kraju, ba nawet znanym w Europie od zbioru znaków masońskich p. Soubis-Bisier. Albo pieczęcie p. Edw. Diehla czy mniej mają budzić interesu od tychże znaków; lub jeden sprzęt kościelny w porównaniu z podobnym drugim jest godzien szczególnego określenia, że przy jednym znajdujemy najdrobniejszą cechę zanotowaną, a przy drugim tylko dwa, trzy słowa ogólnikowe.

Zestawiając zaś różne oddziały znajdujemy jeszcze wyraźniejsze różnice i tak przy jakiej drobnotce toaletowej znajdujemy nie tylko jak najdokładniejszy opis przedmiotu, lecz czyjś byłoby roboty oraz całą jego historią, albo przy wachlarzu mamy najdokładniejszy opis z czego jest zrobiony i jaki obrazek oraz treść tego obrazku: wymieniono wszystkie właścicielki, a niemal iż nie wymieniono na jakich zabawach był używany, a przy przedmiotach innych tak jak wyżej wskazałem przy monetach, medalach i pieczęciach,—nie nad to, co można byłoby wiedzieć i bez katalogu.

Jaki był powód dawania takich nierównomiernych opisów okarów, trudno się domyślić. Bo nie można tego złożyć na wystawców, gdyż najczęściej spotykamy ubogie, bo równające się prawie żadnym opisom przy większych kolekcjach albo przy przedmiotach, pochodzących z większych zbiorów, a właściciele onych nie tylko, sądzą, mogliby dać odpowiednie opisy, lecz takowe muszą mieć gotowe.

Choćby przy jakim okazie zbywało dokładnego opisu to przejrzawszy listę osób komitetu wystawy, komisji odbiorczej i komisji redakcyjnej (umieszczonych na wstępie katalogu) trudno wątpić, że by brakło ludzi uzdolnionych i chętnych do wypełnienia braków.

A tak jak jest obecnie z opisem w katalogu to wygląda, iż za miejsce w katalogu wystawcy płacili i ztąd powstała ta nierównomierność w opisach okazów;—tymczasem będąc wystawcą i należąc do komitetu wystawy o żadnej opłacie za miejsce ani w katalogu ani też na wystawie nie słyszałem.

Sądzę zaś, że wadliwość katalogu (bo jeszcze trzeba dodać, iż spotykamy bardzo często wielkie błędy oraz wysoką cenę katalogu) pochodzi ztąd iż, zarząd czy też komitet muzeum raz na zawsze

wydawnictwo katalogów wszystkich wystaw, odbywających się w lokalu muzeum, oddał na ryzyko sekretarza tegoż muzeum, który ma się rozumieć, musi przedewszystkiém myśleć o swój kieszeni, aby na katalogu nie stracić,—ba nawet i choć trochę zarobić.

Poznawszy się ze sposobem urządzenia wystawy i jej katalogu, przyjrzyjmy się bliżej okazom na niej się znajdującym, postępując porządkiem oddziałów.

W przedsionku, przy schodach na pierwsze piętro prowadzących, znajdujemy grupę nie odznaczającą się wdziękami estetycznymi, ułożoną z kości zwierzęcych.

Znajdujemy tu szkielet żubra oraz dwie pary rogów z częściami czaszek, które katalog uważa za rogi żubrów, lecz porównawszy je z rogami u czaszki przy szkielecie, najmniżej obeznany z zoologią musi dostrzedz, iż niemożliwą jest rzeczą, by wszystkie te rogi były żubrów i sądzę, że rogi bez szkieletu są turze a nie żubra. To jest pierwszy błąd katalogu a tuż i drugi spotykamy. Katalog zapowiada czaszkę niedźwiedzia, ale jej tu dojrzeć nie podobna, jest co prawda jakaś mała czaszka, ale sądzę, że nawet za mała, aby mogła być niedźwiedzia dziś żyjącego, nie już jaskiniowego, który był potężnym zwierzęciem, i którego kości miałyby racyą bytu na tego rodzaju wystawie równie jak i szczątki innych zwierząt dziś nie egzystujących, i to tylko w razie gdyby na nich były widoczne oznaki ręki ludzkiej, już jeśli nie jako wyrobiony przedmiot, to jako okaz, noszący ślad broni, którą dany egzemplarz został zabity.

Przedmioty tu znajdujące się mają być wł. p. M. Zawiszyny i pochodzić ze zbioru po ś. p. Janie Zawiszy, który tyle lat badał nasze jaskinie ojcowskie.

Czy też to nie jest tylko omyłką w katalogu, bo czyżby tak bogaty zbiór jak zbiór po ś. p. Zawiszy z taką blachostką brał udział w wystawie, na której znacznie uboższe zbiory tak pięknie wystąpiły. Temi przedmiotami katalog rozpoczyna oddział pierwszy, który się mieści w jednej osobnej sali na pierwszym piętrze. Tu przedewszystkiém zwraca uwagę widza ogromny i bardzo bogaty zbiór pr. D. J. Samokwasowa (który po 1 stycznia został już odebrany z wystawy). Kolekcya ta zajmowała dwa ogromne kioski, ustawione na środku sali i trzy duże gabloty, a to, co się znajdowało na wystawie jest zaledwie część bogatej kolekcyi, którą pr. S. zebrał przeważnie własnoręcznie, w południowo-wschodnich guberniach Rosyi.

Kolekcya porządkowana gniazdami t. j. iż przedmioty, pochodzące z jednej mogiły lub jednej miejscowości leżą razem i jeśli nawet w danej mogile spotkało się kilka lub kilkadziesiąt okazów zupełnie jednakowych to i te są zachowane razem i nie brak ani jednej sztuki.

Część zbioru, umieszczonego na wystawie dobrał prof. Sa-

mokwasow w ten sposób, iż dał obraz rozwoju sztuki stosowanej prawie od chwili, gdy człowiek poznał użytek metali, to jest, gdy do swych wyrobów zaczął używać bronzu, aż do XVI stulecia naszej ery i to u plemion nam najwięcej pokrewnych. Wystawione okazy rozdzielił na cztery grupy, z których pierwsza zawiera przedmioty z grobów najwięcej odległej epoki, w których spotykają się tylko wyroby z gliny, kości, kamienia i bronzu; a z żelaza brak zupełny. Groby te zalicza do epoki najdawniejszej Cymeryjskiej, której koniec odnosi do VII wieku przed Chrystusem.

W grupie tej spotykamy okazy bardzo ładne, szczególnież wykonane z kamienia oraz bronzu, z którego wyrabiano wówczas równie narzędzia domowego użytku, broń, jako też i różne ozdoby, służące niekiedy zarazem jako oręż obronny np. bransolety duże węzowate, które doskonale mogły zastępować tarczę.

Przedstawione w tej grupie okazy nie są najdawniejszymi śladami wyrobów człowieka, bo uczeni uważają, iż przedmioty wyrabiane z kamienia a nie gładzone i wyroby z kości, znajduwane w najgłębszych warstwach namulisk jaskiniowych musiały je uprzedzić.

W drugiej grupie znajdują się okazy, pochodzące z mogił, które pr. S. zalicza do epoki Scytyjsko-Sarmackiej; ich cechą charakterystyczną jest to, iż tu znajdują się przedmioty z żelaza i wyroby greków i rzymian oraz monety greckie i rzymskie jako też niekiedy i dzieła sztuki.

Tu już bronzowe wyroby są prześliczne i nadzwyczaj liczne; z żelaza zaś bardzo skąpe, występujące tylko jako ozdoby; np. na bronzowych bransoletach widzimy małe żelazne pierścienie, gdzie niegdzie porozmieszczane oraz spotykamy się z pięknymi naczyniami glinianymi, ozdobionymi malowidłami i naczyniami ze szkła.

Oprócz tego rozwój cywilizacji wyraża się również w ozdobach jak i w przyrządach toaletowych, bo mamy lustra metalowe, szpilki do włosów, grzebyki z kości i bardzo liczne z kamieni drogich, z metalu oraz szkła i bursztynu, paciorki przeróżnych kształtów. W końcu nadmienić trzeba, iż bardzo wyraźnie widać tu wpływ Grecji, Rzymu i trochę Egiptu. W trzeciej grupie znajdują się przedmioty z mogił, które prof. S. zalicza do epoki Anto-Słowiańskiej a której okres naznacza od V wieku po Chrystusie do przyjęcia chrześcijaństwa przez Słowian ruskich. Charakterystyką tych mogił jest to, iż spotykamy w nich również monety jak i wyroby bizantyjskie i arabskie od V do X wieku po Chr.

Przedmioty tu umieszczone pochodzą z Kurhanów z gub. czernihowskiej, połtawskiej i kijowskiej. Spotykamy się tu ze srebrem, złotem, bronzem, żelazem, pięknymi wyrobami z kości i ma się rozumieć z naczyniami glinianymi oraz i szklanymi. Niepodobnięstwem byłoby wyliczać wszystkie nawet wybitniejsze okazy tak czę-

sto spotykane w tym zbiorze, bo gdybym wspomniał o jednym przedmiocie, nie możnaby zamilczeć o drugim, na co rozmiar pisma nie pozwala.

W czwartej grupie umieścił pr. S. przedmioty z mogił pogańskich, z czasów panowania Mongołów i Tatarów w Rosyi, gdzie oprócz monet tatarskich, znalezionych w grobach, znajdujemy bardzo ładne przedmioty, wśród których najciekawszymi są szczątki tkanin przetykanych złotem. Przedmioty zawarte w tej grupie pochodzą z kurhanów, badanych w gub. jekaterynosławskiej i północnego Kaukazu.

Oprócz wyżej wymienionych grup czterech, należą do tego zbioru przedmioty z Czarnej mogiły w Czernichowie, wystawione w osobnej gablocie i objaśnionej trzema fotografiami zrobionemi w czasie badania tej mogiły. Gablota z naczyniami, glinianemi i gablota z historią grotów i strzał, która się rozpoczyna od przesłicznych okazów z krzemienia, znalezionych na piaskach pod Warszawą, przedstawiając w dalszym ciągu brązowe rogowe i żelazne, pochodzące z kurhanu z gub. jekaterynosławskiej.

Takiej różności form oraz stopniowego przejścia z jednego typu do drugiego, jaki w tej kolekcji strzałek dojrzeć możemy, sądzę, że nie posiada żaden zbiór dotychczasowy. Całość tego zbioru jest imponującą pod każdym względem nawet dokładne a treściwe objaśnienie dane i umieszczone w katalogu jest nadzwyczaj dobre i gdyby przy składaniu tej części katalogu wyraźniej oznaczono numera tablic i numera przedmiotów, na nich się znajdujące, nie byłoby nic do zarzucenia i każdy zwiedzający wystawę z łatwością mógłby się zapoznać z tym tak ciekawym zbiorem, ale przez niedostateczne odznaczenie numerów w katalogu bardzo dużo widz czasu tracił i nie raz czegoś nie odszukawszy, odchodził zniecierpliwiony, nie poznawszy zbioru.

Prof. J. Przyborowski dał bardzo bogaty zbiór przedmiotów z krzemienia, pochodzący głównie z cmentarzysk przedhistorycznych z nad Wisły, Bzury, Świdra, Tyśmienicy. Lwią część tego zbioru stanowi kolekcja strzałek krzemiennych, która swą ilością oraz rzadkimi i ładnymi okazami bardzo się wyróżnia i zalicza się do pierwszorzędnych kolekcji tego rodzaju w Europie. Kolekcja ta jest nadzwyczaj ciekawą, bo zaznajamia nas z okazami epoki, gdy człowiek nie znał użytku żadnych metali; wszelkie narzędzia mu potrzebne, jako też broń, wyrabiał z kamienia, przy pomocy najprimitywniejszych narzędzi. Pomimo to uwydatnia się już wyraźnie gust do ładnych kształtów i linii symetrycznych.

Przypatrując się tym drobnym strzałeczkom wykonanym z tak twardego i nie sposobnego do wyrobu materiału trudno nie uwielbiać pracowitości, zręczności i cierpliwości naszych przaszczurów. Mamy tu jeszcze z téjże epoki i przedmioty większe rozmiarami,

jak np. śliczne dwa groty krzemienne od dzid, noże duże krzemienne, będące wielką rzadkością, dłuta, kliny, toporki i siekiery z kamienia już gładzonego oraz kilkanaście naczyń grobowych glinianych, między którymi wyróżnia się bardzo ładna urna z cmentarzyska z Grochowa pod Warszawą. Urna ta dość duża o ładnych kształtach z czarnej gliny i gładkiej powierzchni, opatrzona zgrabnymi uszami i ozdobiona wklęsłym ornamentem, który i dziś bardzo często na przedmiotach przez lud nasz wyrabianych i ozdobionych spotykamy, nie tylko na domach (na okienicach, szczytach, odrzwiach i ramach okien), ale i na pisankach.

Oprócz wyżej wymienionych przedmiotów w zbiorze tym spotykamy i przedmioty z brązu w naszym kraju znalezione, nie liczne, ale bardzo ładne, z nich zaś najciekawszymi są brązowe zausznice, w liczbie kilku sztuk, ozdabiające jedno ucho, i parę ładnie ornamentowanych bransolet.

Po wycofaniu zbioru prof. Samokwasowa, prof. Przyborowski wraz z ordynacją Zamoyskich nadesłał na wystawę większą ilość okazów z tychże czasów równie z brązu jak i kamienia; ordynacja zaś sama przysłała mumię egipską bardzo dobrze zachowaną. Z rzeczy krajowych, wówczas przybyłych, wyróżniają się duże szpilki brązowe i brązowe ozdoby, które się zdają być ozdobami pochodzącymi z jakiegoś rzędu końskiego lub może z jakiejś wspaniałej uprzęży.

W szafie, częściowo zajętej przez zbiory pr. Przyborowskiego, pomieściły się przedmioty nadesłane przez wystawców w mniejszej ilości.

Z pomiędzy tych przedmiotów na szczególną uwagę zasługują: hełm brązowy z wsi Krzemiennej i miecz takiż z Zawadyńców, wykopane przez pana Kazimierza Pułaskiego i będące jego własnością, odznaczające się oryginalnymi formami nadto śliczna patyna. Miecz ten ma wszelkie cechy rzymskiego pochodzenia. Naczynia greckie i rzymskie, na miejscu znalezione, nadesłali p. H. Grant, p. St. Cybulski i K. hr. Przeździecki.

Państwo Wolibner nadesłali dobrze zachowane przedmioty z krzemienia, brązu i żelaza; z żelaza: dwie bardzo ciekawe „fibule“ (zapinki); wielka szkoda iż nie oznaczono miejsca pochodzenia tych przedmiotów. Pan Wojciechowski, p. Sokołowski, p. St. Kłossowski nadesłali po kilka okazów znalezionych w kraju.

Pan G. Saubise-Bisier dał bardzo ładne naczynie brązowe, prawdopodobnie ofiarne, znalezione pod Koninem i względnie dobrze zachowane, ozdobione wyobrażeniami zwierząt.

K. Hr. Przeździecki dał jeszcze ładne brązy, umieszczone na tablicy, oraz dwa pasy ze srebra, znalezione na cmentarzysku we wsi Kupiszkach, w gub. Kowieńskiej. Oprócz wyżej wymienionych przedmiotów w tym oddziale mieści się mój własny zbiór przedmiotów z cmentarzysk przedhistorycznych ze Zmujdzi i Litwy, przeważ-

nie zdobytych w czasie badań i uporządkowany gniazdami t. j. grobami. Większość przedmiotów tego zbioru pochodzi z początku żelaznej epoki w północnej Europie, oprócz wyrobów zkrzemienia i kamiennych toporków, które prawdopodobnie są z epoki, dawniejszej. Oddziałowi temu poświęciłem więcej daleko miejsca aniżeli następnym z dwóch pobudek, raz, iż sprawozdania oddział ten najpobieżniej omawiały a powtóre i dla tego, że archeologia przedhistoryczna jest mi najwięcej znaną i najmocniej nią się interesuję.

W oddziale drugim spotykamy nadzwyczaj ciekawe kolekcje hr. Emeryka Czapskiego, dr. Rewolińskiego, p. Wiktora Szaniawskiego, p. Ed. Diehla, senatora K. Stronczyńskiego, p. Soubise Bisier i innych.

Numizmatyka zawiera część zbioru hr. E. Czapskiego, który dostarczył kilkaset bardzo rzadkich i ciekawych monet oraz piękne okazy medalii polskich od Zygmunta Starego do Stanisława Augusta.

Pan Szaniawski dał 55 sztuk najrzadszych srebrnych monet polskich od Zygmunta Starego do Stanisława Augusta, p. Soubise-Bisier kolekcją miedzianej monety polskiej od Jana Kazimierza (t. j. od chwili, gdy w Polsce zaczęto bić miedzianą monetę) aż do zamknięcia mennicy warszawskiej.

P. J. Weyssenhoff ruble litewskie, oraz monetki z końca XIV wieku, znalezione pod Wilnem z temi rublami — rzecz bardzo rzadka i ciekawa.

Wreszcie p. N. Miński wystawił całutki „skarb“ monet rzymskich który został znaleziony nie daleko Warszawy, składający się z 183 sztuk monet, z czasów Adryana, Antoniusza, Nerona, Vespasiana, Galby, Trajana, Sabiny, Lucilli i Faustyny. — Zdaje mi się, iż jest to jedyny skarb w kraju, który został w takiej całości jak był odkopany zachowany przez co jest bardzo szacowny dla nauki.

Medale, ordery i znaki masońskie wystawili dr. Rewoliński, hr. E. Czapski, p. Soubise-Bisier i kilku jeszcze wystawców, dających po kilka lub pojedyncze okazy, zwracają tu szczególnie uwagę: kolekcja medalii od początku panowania Zygmunta Starego do czasów cesarza Aleksandra II. dr. Rewolińskiego, oraz jego kolekcja medali i medalików religijnych, dotyczących kościoła katolickiego w dawnej Polsce i kolekcja znaków masońskich p. G. Soubise-Bisier.

Sfragistykę przedstawili głównie senator Stronczyński i p. Ed. Diehl, dając na wystawę liczną kolekcją pieczęci tak równie dyplomach jak i luźne, a obejmujące czas od 1222 do 1800 roku.

Tu się spotykamy z rzeczą bardzo dobrą mianowicie, iż przy każdym okazy, umieszczono kartkę z objaśnieniem czyją jest dana

pieczęć, oraz z jakich lat, co znakomicie dopełnia katalog, w którym sfragistyka jest najsłabiej traktowana. W tym oddziale znajduje się kolekcya pieczęci i medali, tyjących się ks. Radziwiłłów z Nieborowa, wystawiona przez ks. Michała Radziwiłła.

Oddział III zawierający rękopisma, druki i oprawy książek, mieści się w niewielkiej salce i został obelany przez niewielu wystawców, głównie zaś przez ordyn. hr. Zamoyskiego, K. hr. Przędzieckiego, prof. J. Przyborskiego i p. Jakóba Giejsztor. Pomimo że oddział ten nie odznacza się ilością okazów (względnie innych oddziałów) w każdym razie posiadał bardzo ciekawe i ładne rzeczy, a przeważnie składał się z nadzwyczaj rzadkich okazów. Spotykamy tu druki polskie 1522 a łacińskie z 1475 roku, drukowane w Krakowie. Śliczne stare oprawy książek i choć nie wiele, lecz bardzo ładne i ciekawe próbki pism staroświeckich z pięknie ozdobionymi pierwszymi literami wystawione przez K. hr. Przędzieckiego. Piękne były drzeworyty z XVI, XVII, XVIII i klisze drzeworytnicze z w. XVIII, wystawione przez pp. Soubise-Bisier i J. Kossakowskiego.

Oddział IV obejmujący sprzęty i naczynia kościelne przedstawiał się wspaniale i zawierał bardzo ładne i bogate okazy. Widzieliśmy tu prześliczne ornaty, chorągwie, kielichy, relikwiarze, lichtarze, monstracye pastorały i trochę obrazów. Wszystko bardzo ładnej roboty i o ciekawych formach. A nie rzadko się spotyka z przedmiotem z XV wieku. Najdawniejszym zabytkiem w tym oddziale była rzeźba w drzewie, wyobrażająca Chrystusa, jadącego na osiołku, a umieszczona na wózku o czterech kołach, na którym była wożony podczas procesyi. Ma to być zabytek z XIV. Szkoda tylko, iż ten wóz, który jest bardzo ciekawy i który bardzo charakteryzuje epokę, został przykryty całkowicie makatą a osiołka pomalowano na nowo. Dużo na tem ucierpiał przedmiot.

Począwszy od tego oddziału wszystkie następne zmuszony jestem bardzo ogólnikowo traktować, bo przedmioty oddziałami temi objęte są mi mniej znane. Interesującym się więcej przedmiotami znajdującymi się w tych oddziałach, mogę wskazać jako dobrze rzecz przedstawiające sprawozdania pana J. K—g. drukowane w „Tygodniku Illustrowanym“ i także p. Soubise - Bisser'go w „Przełędzie Tygodniowym“; sobie zaś zostawiam ogólny rzut oka na pozostałe oddziały.

Oddział V-ty strojów, równający się prawie co do ilości okazów oddziałowi poprzedniemu, nie zawiera przedmiotów z tak odległej epoki jak tamten, lecz za to znajdujemy tu daleko więcej przedmiotów misterniej roboty oraz jeszcze większe bogactwo w samym materiale.

Pod względem zaś ilościowym w tym oddziale wyróżniają się kolekcye miniatur, których ks. M. Radziwił wystawił 21 sztuk, pani M. Zawiszyna około 30, pan A. Rosen 12 i wielu jeszcze innych. Oprócz tego widzimy ładne okazy koronek i wszelkiego rodzaju biżuterii.

Oddział VI, jeden z najobficiej obelanych oddziałów, rozmieszczony częściowo, zatrzymuje dłużej widza nawet najobojetniejszego, bo widzimy tu 30 pasów litych ślicznie zachowanych, a przy zabytkach broni ma amator co oglądać przez dni kilka. Znajdujemy tu zbroje od XV wieku aż do początku naszego stulecia i nie tylko cząstki, lecz i kilka całkowitych. Główniejszymi wystawcami w dziale tym są: hr. Zamoyski, hr. Krasiński panowie Kolasiński tudzież Antoni i Jan Strzałeccy. Gdy dodamy jeszcze że w katalogu dział ten jest najwięcej szczegółowo opisany, to dział ten można bezwarunkowo uważać za najlepszą część tej wystawy.

Oprócz uzbrojenia i rzędów na konie, znajdujemy tu trochę wyrobów ślusarskich, jako to: zamki i okucia drzwi, które dał p. St. J. Siennicki umieściwszy je na dwóch tablicach oraz trochę pomocniczych przyrządów naukowych jak lunety, kompasy, globusy i t. p.

Oddział VII, obejmujący sprzęty domowe, jest najliczniejszy do niego, zaliczono też i kolekcye osobno wystawione. Z mebli najwięcej zwracają uwagę: meble z pałaców cesarskich w Warszawie, przeważnie z XVIII wieku; meble z Wilanowa z końca XVII i początku XVIII. Ładne meble, będące własnością ks. M. Radziwiłła oraz okazy wystawione przez panią F. Gebethnerową i br. Kaphera zasługują także na zaznaczenie.

Zegary i brzozy obficie nadesłano a między niemi nie trudno napotkać rzeczy prawdziwie artystycznój wartości. Nie mniej dobrze przedstawiają się zastawy stołowe, jako też porcelana, fajans i inne rodzaje glin palonych. Instrumenta muzyczne są najskromniej reprezentowane, a wśród nich wyróżniają się tylko: fortepian (giraffe) z bronzami Empire, ks. Seroczyńskiego i lira z brzegami iukrustowanemi perłową masą i emaljami wł. ord. hr. Zamoyskich. Makat, gobelinów i dywanów spotykamy mniej aniżeli innych przedmiotów. Kolekcye tego oddziału należą do: szambel. Lachnickiego państwa M. i M. Bersohnów p. M. Urbańskiego, oraz Muzeum przemysłu i rolnictwa wraz z przedmiotami należącemi do ordynacyi hr. Krasińskich i Ludwika hr. Krasińskiego.

Oto jest ogólny przegląd, oddziałów starożytnój sztuki, która zajmowała całe pierwsze piętro Muzeum rolnictwa i przemysłu, oraz część piętra drugiego i wschody.

Przy tak bogatym dziale starożytnym wygląda dział nowożytny bardzo ubogo i smutne daje wyobrażenie o produkcji naszój

w tym rodzaju przemysłu; najgorsza, że obraz ten zdaje się być prawdziwym. Nie jest to jednak rzeczą anormalną, bo kraj nasz tak dużo sztuki stosowanej nie potrzebuje, a jeśli ktoś wyjątkowo zapragnie zaopatrzyć się w tego rodzaju przedmiot, to zagranica mu dostarczy rzeczy i pięknych i stosunkowo nie drogich; mimo to wzięło kilka wybitniejszych fabryk udział w tym popisie, przedstawiając próbki swoich wyrobów.

Najpoważniej wyglądają tu fabryki wyrobów glinianych. Widzieliśmy tu okazy z fabryki Ćmielów ks. A. Drucko-Lubeckiego; piece majolikowe, także wazony i puchary, trochę porcelany malowanej. Fabryka pieców w Mszczonowie wystawiła dwa piece i różne gatunki kafli. W końcu wskazać trzeba wyroby majolikowe z fabryki Nieborowskiej ks. M. Radziwiłła oraz kilka wyrobów z drzewa, wykonanych w Nieborowie w stylach dawnych.

Fabryka Z. Floryanowicz i S-ka dała figurki terrakotowe malowane i niemalowane, bardzo dobrze wypalone oraz z pewnym wdziękiem wykonane

T. Werner i S-ka dał kilka bardzo ładnych okazów w srebrze i bronzie, wykonanych miejscowemi siłami. Widzimy dalej wyroby srebrne, wykonane w fabryce S. Klimowicza. Wreszcie oprócz wyrobów obcokrajowych, które są bardzo ładne, lecz nie tyle nas interesują co wyroby krajowe, znajdujemy tu wystawców a głównie wystawczyń, które są już doskonale znane publiczności warszawskiej, bo okazujące swe dzieła na wszystkich wystawach, które się urządzają w Warszawie, mówię tu o paniach malujących na porcelanie, atlasach, aksamitach, skórach, i t. d. i t. d. słowem wszędzie i zawsze na powierzchniach płaskich lub wypukłych, bez względu czy taki malunek upiększa lub oszpeca przedmiot. Zapewne pracowitość i dobre chęci tych pań są godne podziwu, ale toż to nie jest sztuką nawet stosowaną kopiować na wszelki możebny sposób wzorki zagraniczne nie najlepszego smaku.

W ogóle smutne myśli nasuwa dział nowożytny, bo nie w nim nie spotykamy oryginalnego i ani cienia pomysłowości, tylko zawsze lepsze lub gorsze naśladownictwo czegoś. Tem smutniej iż nie brak materiału to powoduje, bo dość jest spojrzeć na rzeczy ozdobione przez naszych Wojtków, Bartków, Kaśki i Marysie, by mieć oryginalne i charakterystyczne a całkiem nie zużyte motywydeseni i form, które w wielkiej liczbie oczekują tylko artystycznego wykonania. Sądzę, iż wyżej zaznaczony objaw powoduje niewiara w dobroć i piękno tego co swojskie z zupełną niezajomością tego, co nasze.

Kończę ten opis wystawy życzeniem ażeby przyszła, jeśli kiedy jeszcze będzie, nie tak pospiesznie była urządzana. aby katalog był więcej pouczający oraz aby była przystępna jak najszerszemu ogółowi t. j. aby bilet wejścia nie był tak drogi.

Wojna Rzeczypospolitej polskiej z Turcyą *)

w latach 1672 i 1673-im

przez

Konstantego Górskiego.

Sobieski przebywał w Jaworowie do 14 września, śledząc ciągle za ruchami nieprzyjaciela ¹⁾, któremu, gdy się już blisko podsunął, musiał z drogi ustąpić. Wyjechał tedy 15-go przez Potylicz do Rzeczyca, gdzie go już czekało wojsko, zapewne usarże, z którymi udał się do Hrubieszowa dla połączenia się z resztą kwarcianych ²⁾. Dn. 29-go wrz. zajął z rozkazu króla, stanowisko, pod Krasnostawem ³⁾, zdaje się dla zasłonięcia osoby monarchy przed nieprzyjacielem ⁴⁾. Tu doniosły mu „języki“ jakoby kilkadziesiąt tysięcy Ordy miało wkrótce podpaść pod obóz, w celu wyszukania wojska polskiego. Wiadomość ta zdała się uzasadnioną, gdyż 4-go października napadli tatarzy na chorągiew, stojącą na straży w Krynicy pod Zamościem i gnali ją aż pod sam obóz. Być może, że tatarzy przez rozsiewanie mylnych wieści i przez ten napad na chorągiew polską chcieli nastraszyć Polaków i powstrzymać ich w miejscu nim swęj igraszki nie skończą. Pomylili się jednak mocno; Sobieski bowiem nie należał do tych wodzów, co by się dali lada wiadomością w błąd wprowadzić, wolał on iść prosto w oczy nieprzyjacielowi. To też, odprowadziwszy obóz na miejsce bezpieczne pod Krupą, wyruszył zaraz nazajutrz t. j. 5-go października komunikiem ku Zamościowi ⁵⁾. Nie dochodząc jednak tej fortecy, zatrzymał się

*) Ciąg dalszy. Zob. zesz. za mies. luty r. b.

¹⁾ Ambr. Grab. Oycz. Spom. T. II. s. 345 i 347. ²⁾ Akta s. 1071 i 1074. ³⁾ Tamże str. 1078. ⁴⁾ Tamże s. 1081. ⁵⁾ Tamże s. 1090.

dla wytechnienia koniom w Sitańcu, gdzie dowiedział się „od języków“, których mu Zawisza z podjazdu przyprowadził całej prawdy, a mianowicie: że tatarzy czambułem się bawią ¹⁾).

Istotnie, podzieliwszy się na trzy wielkie partye i założywszy „kosze“ w Niemirowie, Komarnie i jeszcze gdzieś za Dniestrem, rozsypani się tatarzy na rabunek w kształcie wachlarza po całej Rusi. „Kosze“ stanowiły niejako miejsca zbioru zagonów i jassyru t. j. łupu. Były też zwykle przez osobne wyborowe oddziały tatarskich junaków strzeżone ²⁾. Z Niemirowa rozbiegły się zagony do Krasnobrodu, Ulanowa, Krzeszowa, Jarosławia i Przemyśla ³⁾; z Komarna, w okolice Sanoka, Liska, Kraśna i Bieczec ⁴⁾; z kosza zaś zadniestrzańskiego w góry, których ludność, uważając siebie za zabezpieczoną przez miejscowość, siedziała w domu i wskutek tego dostarczyła wrogowi najobfitszego plonu. Podział tak foremny i prawidłowy tatarów na partye i zagony świadczy, że znali doskonale geografią Rusi.

Sobieski zajmował względem nieprzyjaciela stanowisko bokuwe; idąc więc z północy na południe, przerzynał mimowolnie ich szlaki i natrafiał na kosze. Oryentować się mógł podług ognisk, które tatarzy rozpalali w tych wioskach, gdzie się rabunek odbywał. „Kosze“ zaś znajdowały się zwykle za tą linią ognisk, gdzieś w tyle. Atoli i kosze tatarskie przedstawiały jeszcze siłę imponującą (od 10—15 tysięcy głów) i trzeba było bohaterkiej odwagi, ażeby z garścią żołnierzy, jaką miał Sobieski, nieprzenoszącą półtrzecia tysiąca pokusić się o walkę z sześć razy liczniejszym nieprzyjacielem, który mógł go łatwo otoczyć i znieść do szczętu. Z drugiej znowu strony: zwyciężyć tatarów było to maczugą w powietrze uderzyć; gdyż po porażce rozbiegali się ci rabusie w różne strony, i to nie tylko w tył, po za siebie, ale i w boki i naprzód przed siebie uciekali. Niedarmo też mówił Zółkiewski, że z tatarami bić się jest to to samo, co ptaki niebieskie wojować; zabijesz jednego, dwóch, reszta się rozleci. Łatwiej było z jassyrem, gdyż w razie trwogi i niebezpieczeństwa, tatarzy go porzucali, dla ułatwienia sobie ucieczki; ale niełatwo było wyłowić wszystkie zagony. Gdy Polacy na kosz napadali, inne spóźnione zagony mogły uchodzić po za plecami, z boku i t. p. Trzeba więc było wydzielać od głównych sił podjazdy, dla wyszukiwania i przejmowania pojedynczych zagonów: chlubą jednak dla wodza już i to było, gdy zdziałał, chociażby i nie tyle, ile chciał dokonać, to przynajmniej to, co się dało w danych warunkach i okolicznościach.

Z tą zapewne myślą wyruszył Sobieski ⁵⁾, z 5-go na 6-ty paź-

¹⁾ A. Grabowski: *Oycz. Spom.* T. I. s. 191. ²⁾ Akta s. 1084. Patrz mapkę.

³⁾ *Oycz. Sp. T. I.* s. 192. ⁴⁾ Tamże s. 193. Patrz mapkę. ⁵⁾ Ustęp o pogromie tatarów ułożyłem na podstawie listów Sobieskiego do króla z dn. 6-go października

dzielnika, na całą noc, w deszcz ulewny, ku Krasnobrodowi, dokąd go powoływała luna pożarów. Zastał tu istotnie grasujących tatarów, ale nim doczekał dnia, aby na nich napaść, uprzedził go Haneńko, który przypadłszy od Zamościa, nie tyle ich zniósł, ile spłoszył, tak że żołnierzom hetmańskim pozostało bić i zabierać do niewoli tylko resztki rozpierchłych po chałupach i lasach. Rozesłał też hetman podjazdy, dla przejmowania mniejszych partyi, z jednej strony pod Turobin i Zwierzyniec, a w drugą, w województwo Bełzkie. Tymczasem tylko ten ostatni podjazd natrafił na nieprzyjaciela i kilkaset głów jassyr u niego odbił.

Występując 6-go października z Krasnobrodu, wezwał Sobieski do towarzystwa Haneńkę; lecz chytry kozak, który się tylko przechwalał, wiele obiecywał, mołojców swoich królowi powielekroć prezentował, żołąd i podarki odbierał, nie usłuchał wezwania. Sam tedy hetman obrócił się ku Narełowi, z kąd ujrzał lunę pożarów, ciągnących się po nad Sanem, od Jarosławia aż ku Przemyślowi. W Narelu trafił na dwa powracające zagony i posłał za nimi Łaska z pułkiem ks. Ostrońskiego, który ich pędził i siekł do samej nocy. Wielu tatarów potonęło w Tanwi, wielu po szlakach trupem padło. Żołnierzom dostało się bydła i bachmatów niemało. Jassyru odbito na 2000.

Wytchnąwszy kilka godzin pod Narelem, ruszył hetman przed północą ku Cieszanowu, który podobnie jak Lubaczow, w płomieniach zastał. W drodze dowiedział się od języków przez pierwszą straż pojmanych, że przodem uchodzi do Lwowa z jassyrem, pod Tarnogrodem zebrany, Dziambet Girej sułtan. Posławszy tedy ku Lubaczowu rotmistrza Łaznickiego, sam z wojskiem poszedł na Radruż ku Niemirowi, z zamiarem zabezpieczenia drogi Dziambet Girejowi. Pod Bruśnią natrafił na koczowisko tatarów, gdzie znaleziono mnóstwo porzuconych dzieci i bydła. Idąc dalej przez Horyniec do Radruża, postrzegli polacy odwód tatarski, ale nie pokazując się jemu, pędzili dalej i nareszcie nagonili tatarów. Ażeby ich od Niemirowa odciąć, posłał hetman z tej strony Linkowicza, w oczy zaś im komenderował kilkaset towarzystwa, za którymi kazał następować w posiłku Strainikowi i chorążemu koronnemu, tudzież Kozubskiemu i Borzuchowskiemu. Temi z różnych stron skierowanemi siłami napędzono tatarów na bezdroża i trudne przeprawy, w skutek czego tatarzy, porzuciwszy jassyr, sami gdzie ich oczy niosły, na

z Krasnobrodu, z dn. 8-go t. m. z pod Niemirowa, z dn. 10-go z pod Komarna i z dn. 14-go z pod Kaluszy, a także, opierając się na „Dzienniku pogromu tatarów, od Krasnobrodu do Kaluszy“, zamieszczonym w aktach od str. 1082 — 1096, tudzież posiłkowałem się: „Dyaryuszem ekspedycyi wojska koronnego przeciwko tatarom grasującym i zagonom powracającym od 8 do 19 października 1672 roku“. Ambr. Grabowskiego Oycz. Spom. str. 190 do 197 str.

pięć szlaków wprzód, wzad i w strony, konno i pieszo w lasy uchodzić poczęli, konie zaś nietylko zdobyte, ale i własne bachmaty porzucali. Wielką klęskę ponieśli tu tatarzy. Dzieci, kobiet i różnego ludu na 12000 odbito. Sam Dziambet Girej ledwie że życie uniósł. Łażnicki też kilkaset jassyru odebrał. Na jeden z oddziałów naszych, ścigających nieprzyjaciela, rzucił się zagon tatarski, stroną powracający, ale Strożnik i Chorąży koronni, przypadłszy złamali tatarów i w lasy rozproszyli. Resztę niedobitków, uciekających ku Lwowu, komendant Jaworowski, wypadłszy z zamku, rozgromił i kilkaset pozostałego przy nich ludu odebrał.

8-go października stanął Sobieski pod Kochanówką, a ztamtąd 9-go ruszył na Bruchnał ku Gródkowi. Tu dowiedziawszy się od pojmanego tataru, że jeden z zagonów, świeżo Gródek minawszy, uchodził z płonem ku Lwowu, posłał za nim we 20 koni Pukoszewskiego, który dogoniwszy go pomiędzy Gródkiem a Zimnąwodą pogromił i jassyr odebrał. Sam hetman ku Komarnu spieszył, gdzie, sądząc z doniesień, spodziewał się zastać kosz Naraddyna sułtana, który miał tamże oczekiwać powrotu swych zagonów dla rozdzielenia zdobyczy. Naraddyn miał w swoim oddziale około 10,000 tatarów krymskich, 4000 tatarów litewskich i około tysiąca kozaków, sementów i janczarów. Wojsko zaś polskie, zrobiwszy 8 mil po najokropniejszych drogach i przeprawach, było niezmiernie strudzone. Pomimo to, wezwawszy Boga na pomoc, uszykował Sobieski wojsko i poszedł na nieprzyjaciela dwoma skrzydłami. Na czele lewego biegło kilkaset wybranego towarzystwa, a za nimi w posiłku strażnik koronny ze swoim i ks. Ostrońskiego pułkiem. Sam hetman z prawym skrzydłem zachodził tatarom z boku. Już z bliskich wsi wypłoszeni barbarzyńcy jassyr rzucali i do kosza uchodzili. Sam sułtan, widząc idących wprzodzie nielicznych polaków, myślał, że to wycieczka z Komarna; postrzegłszy jednak swój błąd, gdy usłyszał odgłos muzyki marsowej, wyprawił jassyr przodem i zamierzał się bronić; ale mu już nie pozostawiono czasu dostatecznego. Widząc tedy rezolucją żołnierza polskiego, starłszy się z lekka, rzucił się szybko do ucieczki i to nie w tył, a naprzód przez Rudkę ku Przemyśłu, krążąc błotami, lasami i nieprzebytymi drogami, a w końcu przebywszy nawet Dniestr, po za Samborem przebrał się do Adży Gireja, który w tamtej stronie czambuował. Ludzie jego rozsypali się po błotach i lasach, zkąd ich chłopci wywelekali i zabijali. Trupów po szlakach tamże było pełno. Uwolniono dnia tego do 20,000 szlachty, szlachcianek, księży, a co najwięcej kobiet i dzieci. Wzięto tu dwie chorągwie, z których jedna sułtańska. W ten sam czas, gdy sułtan uciekał, 500 ordy, swój kosz na stronie mającej, porzucałszy koło tysiąca jassyru, poczęło uchodzić; wpadłszy atoli na bardzo złą przeprawę, przez staw Komarzyński, większa część tamże potonęła.

Sobieski, powziąwszy 10-go października wiadomość, że Adzi Girej, którego oddział za Dniestrem rabował, jak tego dowodziły ognie po tamtej stronie widziane, a sądząc, że oddział ten będzie musiał przez Dniestr przechodzić, dla połączenia się z Chanem pod Lwowem, chciał mu przegrodzić drogę na przeprawie pod Rozdołem. W tym celu kazał most Komarzyński naprawić. Robota ta ukończoną została w nocy z 10-go na 11-ty października. Lecz gdy 11-go część wojska już się przepawiła za stawy, przybiegł nagle chłop, zbiegły zręczniej kosza tatarskiego w Hruszowej, i oznajmił hetmanowi, że Adzi Girej niezliczony płon ludzi, bydła i koni z Podgórze prowadzi. Zaraz tedy Sobieski kazał przepawionemu wojsku na zad powracać, sam zaś z kilku chorągwiami udał się ku Dniestrowi, który zdawał się nieprzebytym, gdyż na dwie prawie rozlał się mile a most na nim zupełnie wskutek tego był zrujnowany. Gdy jednak już zwątpił prawie o możliwości dostania się na drugą stronę, chłop jakiś z Łąki obiecał za dobre wynagrodzenie potrzebny bród wskazać. Lubo bród wskazany tak był głęboki, że w wielu miejscach płynąć wypadało, udało się jednak przebyć szczęśliwie tę trudną przeprawę.

Nazajutrz tedy (12-go października do południa), wszystko wojsko już na drugiej stronie Dniestru się znalazło. Na tém jednak miejscu, na które chłop wskazywał t. j. w Hruszowej, nie znaleziono już tatarów; poszedł tedy hetman za nimi ku Drohobyczej, a powziąwszy wiadomość, że Adzi Girej pominął to miasto i zmierza dalej na Bolechów i Dolinę, puścił się za nim na całą noc w pogoń. Minął Stryj przededniem, w Bolechowie był w południe, a na noc stanął w Dolinie. Z tych wszystkich zameczków strzelano do wojska, uważając je za tatarskie, a w Stańkowie, gdy tę wieś polacy mijali wysypało się kilkuset chłopów w pole, srodze strzelając. Przenocowawszy za Doliną, o pół mili od Rozniatowa i o 1½ mili od Kalusza, dowiedział się Sobieski, że Nuraddyn tylko we 2000 koni połączył się z Adzi Girejem pod Bolechowem, z ognisk zaś widać było, że obydwa zmierzali ku Haliczowi, mimo Bednarowskich lasów, sławnych już dawniejszemi kłeskami tatarów. Posłał tedy hetman zaraz do bliższych zameczków: Kaluszy, Roźniatowa i Nowicy, aby chłopci na gwałt z orężem, jaki kto mieć mógł, w lasy Bednarowskie na całą noc ruszali, sam zaś, jak tylko księżyc zeszedł, udał się w pochód po bardzo złych drogach i przeprawach, tak dalece, że prawie trzecia część wojska, nie mogąc za nim podążyć, w tyle pozostała. Zbliżywszy się na godzinę przed wschodem słońca do tatarów, ordynował Boruchowskiego z jednej, a Kozubskiego z drugiej strony, aby boków pilnowali, z przodu zaś posłał pułk wojewody ruskiego. Zmieszali się tatarzy, obaczywszy wojsko polskie, ale jassyrpu puścić się im nie chciało, aż kiedy postrzegli pułk Strażnika koronnego, a za nim i samego hetmana z husarzami i gdy muzyka marsowa zagrała, zaczęli się chwiać. Wprawdzie sami sultanowie,

murzowie wszyscy i dwór ich na odwodzie stali i chcieli na jakiś opór się zdobyć, ale wojsko nie dało im czasu, a lubo tatarów co najniżej 8000 było, a u hetmana ledwie półtora tysiąca, tatarowie poczęli uciekać ku Bednerowskiemu lasom, gdzie wojsko nasze na głowę ich pogromiło. Zabrano im wszystkie chorągwie, drogi i lasy trupem zasłano. Koniuszy, podskarbi i inni prawie wszyscy dworscy od boku obu sułtanów żywcem wzięci. Ostatek chłopci tudzież dragoni i pachołkowie z lasów wywłoczyli i zabijali. Jassyru do 10,000 odbito.

Na miejscu odniesionego zwycięstwa dał Sobieski dwudniowy odpoczynek wojsku, które długą pogonią za lotnym nieprzyjacielem tak dalece wynędzniało, że ledwie połowa koni mogła służyć do dalszej drogi i wielu towarzystwa musiało iść piechotą. W ludziach szkody prawie że nie było, prócz kilku rannych towarzyszy i czeladzi. Hetman, dziękując Bogu za zwycięstwo, przy muzyce wojskowej, kazał odśpiewać tu na odpoczynku: „Te deum laudamus“. Ztąd też wyprawiono Złotnickiego, cześnika Poznańskiego do króla z jeńcami, trofeami i prośbą o łaskę, tudzież o wyznaczenie miejsca na leże i chleby zimowe.

16-go października wojsko ruszyło w pochód i przeszedłszy Kałusz, nocowało dwie mile od tego miejsca. 17-go szło dalej i nocowało na Wojniłowskich polach; 18-go zaś stanęło pod Sokolowem; a 19-go przybyło pod Hoszowę, gdzie miało czekać powrotu Złotnickiego.

Tak się skończyła ta świetna wyprawa, której podobnych niewiele się znajdzie w historii wojennej, z wyjątkiem chyba ostatnich Amerykańskich rajdów. Garść polskich bohaterów, w liczbie 2500 koni, przebiegłszy w 8 dni przeszło 300 wiorst najfatalniejszej drogi, przy niesłychanych niewczasach i trudach, goniąc wroga w dzień i w nocy, wśród deszczów i zimna, prawie nie śpiąc, ani razu się nie rozbierając, ognia nieniecąc, mało ledwie co jedząc, bo w spustoszałym kraju o chleba bochenek było trudniej, niż o tysiąc tatarów, w kilku potyczkach zniosło szesnaście razy liczniejszego nieprzyjaciela, (liczyć go bowiem wypada przynajmniej na 40,000, gdy polaków nad 2½ tysiąca nie było), nabrało prócz tego mnóstwo trofeów i jeńców, a w końcu odbiło do 50,000 chrześcian, w jassyr już gnanych.

I któż tu nie uchyli czoła przed walecznymi wojakami i wielkim ich wodzem, uczuwając mimowolny podziw i uwielbienie dla śmiałości, męstwa, rzutkości i bystrości oka i decyzji, dla wytrwałości nareszcie, z jaką hetman W. koronny, nie szczędząc ani swego zdrowia, ani sił swych żołnierzy, zdołał doprowadzić dzieło zagłady wroga do możliwych granic. Wytępiono tatarów od 20—40 tysięcy, gdyż Selim Girej prowadził do domu 60,000 a musiało ich być od 80—100 tysięcy.

A jednak współcześni ledwie cień rycerskiej sławy tym świetnym zwycięstwom przyznawali, kładąc ten pogrom tatarów przez Sobieskiego między dzieła całe pomierne i nie wiele znaczące ¹⁾. Były to bezwątpienia opinie i sądy partyi królewskiej, która w swém stronnictwem zaślepieniu, nie mogła się podnieść do uznania zasługi wielkiego wodza i walecznych jego żołnierzy. A przecież byli to jedyni mężowie w Rzptej, którzy wśród powszechnego sobkostwa, ospałości i odrętwienia nieśli zdrowie i życie w ofierze na ołtarz ojczyzny, przez obcą politykę i antagonizm możnowładczych domów nad otchłan otwartę już przepaści przywiedzionej. Prawda, że i rola Sobieskiego w tych matactwach polityki francuzkiej nie chwalebna: ale cóż lepszego robiło stronnictwo szlacheckie, narodowe pod wodzą t. zw. patryotów krzyczące?

Zamiast spieszyć na ratunek zagrożonej w swym bycie Rptej i stanąć jak jeden mąż w obozie na termin zapowiedziany, rycerstwo, pod wpływem znyślonych i niedorzecznych wieści, chwieje się czy ma w pole wychodzić lub nie; samowolnie zmienia sobie termin swego zbioru i ledwie wtenczas, gdy już całe prowincye wpadły w szpony nieprzyjaciela i gdy on na dobre grasował po kraju, ściągają się do obozu pod Gołębkiem.

Około 25 września znajdujemy w okolicach tej wsi rzesze szlacheckie, przeważnie zapewne Małopolan, na sześciomilowej przestrzeni rozłożone ²⁾, które jednak, uchylając się od nienawistnej sobie dyscypliny, gdyż już byli wyznaczeni urzędnicy obozowi, jak: oboźny, sędzia i strażnik ³⁾, do obozu iść nie chcą.

2-go października, staje król w obozie, przeprowadzając się przez Wisłę ⁴⁾, a na usilne jego rozkazy przenoszą się tamże 5-go października, przebywszy rzekę i Wielkopole. Województwa płockie i mazowieckie zostają jeszcze pod Łysobokami ⁵⁾. Takim sposobem około 5-go października, zebrało się w obozie pod Gołębkiem do 80,000 pospolitego ruszenia ⁶⁾. Miało ono przy sobie 3000 wojska królewskiego, 2000 kozaków Haneńki w Zamościu i niewiadomo ile chorągwi powiatowych ⁷⁾. Wojska te były niezbędne przy wyprawie narodowej, dla odbywania służby strażniczej i zwiadowej, której niewprawieni do niej pospolitacy pełnić nie mogli.

Gdyby te siły zebrały się jak było rozkazano 15—20 sierpnia i to nie dla igraszki, a istotnie dla wojny, mogłyby być wielką przy-

¹⁾ Konf. Goł. s. 169. ²⁾ Ojcz. Sp. T. II. s. 184. ³⁾ tamże s. 179.

⁴⁾ tamże s. 182. ⁵⁾ tamże s. 184. ⁶⁾ Akta s. 1132. ⁷⁾ Oj. Sp. T. II. s. 180.

sługę ojczyźnie okazać, a może nawet najezdnicę za próg wyrzucić. Należało tylko komendę nad wojskiem regularnym, łączywszy wszystkie rozrzucone po różnych miejscach oddziały (wyniosłyby razem około 8000 ludzi), poruczyć Sobieskiemu, za którym mógłby iść król z pospolitą ruszeniem. W całym składzie wyprawa narodowa niewiele była warta, ale można było z niej wybrakować kilka tysięcy dzielniejszych rycerzy. Z Gołębia do Buczacza będzie około 400 wiorst drogi. Przestrzeń tę mogłoby wojsko polskie w 40 dni przebyć, licząc po 10 wiorst na dzień marszu, co przy niesforności ogromnych tłumów posp. ruszenia z ciurami i obozami, za mało nie będzie. Przybyliby więc polacy do Buczacza około 25 września t. j. w chwili, kiedy przeszło dwie trzecie wojska cesarskiego znajdowało się pod Lwowem. Jakie zostawały siły przy cesarzu, nie wiadomo; ale gdyby nawet miał po swą stronę liczebną przewagę, to wyższość wodza była po stronie Polaków; ani bowiem Mahomet IV, ani jego wezyr, W. Achmet Kieprili, nie mogli się mierzyć z Sobieskim co do talentu wojennego. Szanse więc powodzenia były i należało spróbować. Ale podobne przedsięwzięcie wymagało trudu i znoju, ofiary krwi i życia, a nadewszystko tego ożywczego ognia miłości ojczyzny, który już wygasł w szlachcie, wspólnie z innymi cnotami rycerzy Grunwaldzkich. Zamiast więc bronić ojczyzny, stanęło rycerstwo w obronie króla, do czego chwila obecna wcale odpowiednią nie była. Zawiązawszy się w koło konfederackie, pod laską Stefana Czarnieckiego, wyrodnego synowca sławnego bohatera z epoki wojen szwedzkich, żołnierze pospolici, zamiast wojować i bić się z wrogiem, rozprawiali, pobrzękując szablami, strzelali z pistoletów i nawet siekli, tylko nie Turków a swoich antagonistów, a nadewszystko srożyli się na malkontentów i pisali groźne na nich dekreta, Stefan Czarniecki, unierając jako wytrwały zwolennik i nader gorliwy poplecznik polityki francuskiej w Polsce za Jana Kazimierza, nie spodziewał się, że synowiec jego z taką zawziętością z tym cudzoziemskim stronnictwem walczyć będzie.

Król Michał tymczasem zamiast stanąć na czele posp. ruszenia i prowadzić je na wroga, sam poddał się pod kierownictwo szlachty, potakiwał jej czynom i podpisywał uchwały. Z Turkami woleli rozprawić się ci rojaliści nie szablą, ale za pomocą traktatów i przez posłanych do Buczacza komisarzów, zawarli z nimi 18 paźdz. traktat pokojowy, ustępując im Ukrainy i Podola z Kamieńcem, tudzież przyjmując na siebie obowiązek płacenia dwudziestu dwóch tysięcy czerw. złr. rocznego haraczu¹⁾. Za to wszystko ogłosił sultan przez swoich heroldów w obozie przebaczenie królowi polskiemu.

¹⁾ Hammer s. 388 utrzymuje, jakoby polacy obowiązywali się wypłacać 200,000 dukatów turkom.

Lubo traktat Buczacki słusznie jest uważany za sromotny dla Polski, pospieszili polacy z podziękowaniem Mahometowi IV-mu chyba za to, że zadowolnił się dwoma prowincjami, kiedy mógł całą Rptą zagarnąć i że poprzestał na haraczu dwudziestu dwóch tysięcy czerwonych złotych, których nawet nie otrzymał, kiedy mógł posiadać wszystkie skarby, nagromadzone po prywatnych domach i kościołach. Niełatwo wytłumaczyć sobie tę dziwną u turków i tak niezwykłą wstrzemięźliwość. Być może że sułtan to, co zrobił uważał za pierwszą część ogólnego planu rozszerzenia swego państwa od Indyjskiego oceanu do Bałtyckiego morza, odkładając resztę na przyszłe lata, w nadziei, że ta Polska, z którą miał do czynienia, omdlała i bezbronna z rąk mu już nie ujdzie. Być też może, że go wstrzymała spóźniona pora do dalszego prowadzenia działań wojennych, chociaż i tu sam sobie powinien był winę przypisać, gdyż po wzięciu Kamieńca, zostawało mu jeszcze dużo czasu, sposobnego do wojny, którego część na polowaniach zmarnował. Podług przewidywań Sobieskiego, które się na szczęście nie sprawdziły, miał sułtan porę wojenną do Ś-go Marcina (11 listop.). Nie spotykając w ciągu tego czasu nigdzie żadnego oporu, a więc i godziny się nie zatrzymując, mógł łatwo zejść do Gdańska. Utracił w ten sposób cesarz turecki jedyną pomyslną chwilę, jaka się nadawała do spełnienia jego rozległych zamiarów; chwile zaś pomyslnie zdarzają się bardzo rzadko na wojnie i kto z nich korzystać nie umie traci je na zawsze.

Nic też wielkiego nie sprawił Mahomet IV ze swą wielką armią. Zdobył wprawdzie Kamieniec—twierdzę niedostępną, ale widzieliśmy, że to się stało wskutek niedoleżnej obrony. Potem siedząc w Buczaczu bawił się podbijaniem sąsiednich zameczków, jak: Jazłowiec, Trębowla i nawet takich kurników, jak: Budzanowo, Złotniki i Janów, resztę czasu poświęcając polowaniu i kiejfowi. Rzecz widoczna, że ów wielki zdobywca, który po Gdańsk wyciągał rękę, był sobie wschodnim sybarytą, w którego głowie, może pod wpływem haszyszu roił się marzenia o wielkich czynach, ale którego rozum i charakter nie nadawały się wcale do ich urzeczywistnienia. Był to godny współzawodnik konfederatów Gołabskich, a wszyscy razem byli to wyrodni potomkowie wielkich przodków.

Po połączeniu się 15 października Chana i Kapłana baszy, którzy 6-go tegoż miesiąca wystąpili ze Lwowa ¹⁾ i po zawarciu pokoju z polakami, cesarz 20 października wyruszył z całą swoją armią z Buczacza. W wielkim nieładzie i bez żadnego szyku pochodowego szło to wojsko Cesarskie na Zbrzyż i Krzywczę do Zwańca ²⁾,

¹⁾ Akta s. 1112. ²⁾ tamże s. 1117 i 1119.

zkąd po 6 tygodniach pochodu i 34 dniach marszu, wróciło 9-go grudnia do Adryanopola ¹⁾).

Konfederaci Gołębscy, po burzliwych posiedzeniach i hałaśliwych rozprawach, które dziesięć dni trwały, przenieśli się 18-go października do Lublina, podobno z zamiarem ruszenia na nieprzyjaciela. W samą porę się wybrali, tego bowiem dnia został podpisany pokój Buczacki. Gdy jednak król zamyslał udać się w dalszą drogę do Zamościa, „oparli się temu Wielkopolanie, niechęccy ciągnąć do kraju ogłodzonego ²⁾“. Skoro tedy na wojnę iść nie chcieli a rozpraw politycznych dosyć już mieli, gdy nadto co tylko było żywności w bliższych i dalszych okolicach Lublina politykujące rzesze zjadły a w listopadzie pora dżdżysta i zimna następowała, nie pozostawało pospolitemu ruszeniu jak rozjeżdżać się do domów. To też od początku listopada zaczęli się pp. konfederaci wymykać z Lublina, a 7-go listopada już prawie nikogo nie pozostało, z wyjątkiem deputatów, których przy marszałku zostawiono ³⁾. Ci deputaci, zgodnie z królem i senatorami ułożyli i podpisali reces Lubelski, mocą którego na dzień 4-ty stycznia roku następnego 1673-go, pod tymże marszałkiem zwołano Radę do Warszawy, wyznaczwszy na wrogów króla i ojczyzny sąd, na podobieństwo trybunalskiego ⁴⁾.

Krół wyjechał do Warszawy 11-go listopada ⁵⁾, wojsko zaś konfederackie, owe chorągwie powiatowe, długo jeszcze, włócząc się od wioski do wioski, w okolicach Lublina „co niezrujno wało pospolite ruszenie.... oni chłopów do ostatka doduszali. I niewiadomo jak długoby te łupieztwa trwały, gdyby ich wojsko kwarciane, blisko w te strony następujące niespłoszyło ⁶⁾“.

Nie wdając się w głębszy rozbiór konfederacji Gołębskiej, będącej zjawiskiem, należącym do sfery polityki, którą się jako żołnierz krytycznie zajmować nie myślę, przytoczę tu zdanie o niej biskupa Trzebieckiego, znanego patrioty, męża znacności wielkiej, niepopierającego fakcy francuzkiej, ale nie schlebającego deklamacyom t. zw. patriotów, który mówi: „że pospolite ruszenie trzy miesiące nad Wisłą bawiło się sądami i głupimi konsultacyami, — rzecz żałośna. Ten winien, kto im kołować pozwolił, a mając 80000 wojska, przynajmniej kilkunastu tysięcy ludzi świeżych nie posłał do p. hetmana. A to tandem ta incondita multitudo, kraj *modo hostili* spustoszywszy i nieprzyjaciela nie widziawszy, *rebus infectis* rozjechała się ⁷⁾“.

¹⁾ Ham. s. 190 i dod. VII do tejże strony. ²⁾ Oy. Sp. T. II. s. 188.
³⁾ Akta s. 1125. ⁴⁾ Konf. goł. s. 194. ⁵⁾ Akta s. 1126. ⁶⁾ Akta s. 1126 i 1127. ⁷⁾ Akta s. 1132.

W konfederacyi gołąbskiej potępiamy to zjawisko, że rzekomi obrońcy króla Michała i wolnej elekcji, której nikt na seryo nie zagrażał, przeistoczyli żołnierzy w politykujące i sejmikujące zastępy. Przykłady z przeszłości niemogą usprawiedliwić tego faktu, chwila bowiem była zanadto poważną, ażeby dopuszczać podobnej i-graszki. Ale miała ona i dobrą stronę, mianowicie przez to, że malkontentów, burzących się przeciw królującemu monarsze, a służących ślepo polityce francuzkiej, wyzyskującej antagonizm naszych możnowładzców i dezorganizującej coraz niebezpieczniej nasze wadliwe instytucje republikańskie, że mówię, konfederacya gołąbska umysły nieco do upamiętania przywiodła. Malkontenci, na których czele stał prymas Prażmowski i hetman W. kor., Jan Sobieski, widząc się w mniejszości wobec połączonych przeciwko sobie wszystkich stanów, z Litwą i królem na czele, przycupnęli przed siłą, tak jak gdyby gotowi byli pogodzić się z faktami dokonanymi.

Na mocy recessu lubelskiego, rozpoczęły się dnia 4 stycznia 1673 roku posiedzenia rady związkowej w Warszawie. Ze skruszonymi już malkontentami w Warszawie i u prymasa w Łowiczu, rozpoczęły się rokowania, które po długich i kłopotliwych, często się roznamiętniających transakcyach, doprowadziły nareszcie do kompromisu, zawartego 1-go marca, za pośrednictwem i na pokojach królowej a podpisanego 13 marca 1673-o r., mocą którego, wszystkie postanowienia konfederacyi gołąbskiej przeciwko malkontentom wydane, zniesione zostały, konfederaci zaś poprzysięgli, że nic szkodliwego, ani przez siebie, ani przez namówione od nich osoby, przeciwko panowaniu króla czynić nie będą ¹⁾.

Gdy już rzeczy skłaniały się ku zgodzie między stronnictwami i uważano za możebne, wziąć pod obrady: obronę Rptej od nieprzyjaciół Krzyża S-go, Sobieski, na prośbę podkanclerzego przedstawił na piśmie projekt o środkach, które należało przedsięwziąć przed rozpoczęciem nowej wojny z turkami ²⁾. Projekt ten, czytany 5-go marca, zawierał rady następujące ³⁾:

Prosić o pomoc panów chrześcijańskich.

Prosić cara i króla Perskiego o wydanie wojny turkom, proponując im związek zaczepny i odporny.

Wezwać cesarza niemieckiego, ażeby kroki wojenne, ze strony Węgier, rozpucał.

Doroszence ustąpić czasowo Ukrainę, aby go oderwać od turków.

Dla tatarów litewskich (Lipków), którzy się turkom oddali, amnestyą ogłosić.

¹⁾ Konf. goł. od 208—230. ²⁾ Ambr. Grabowski „Ojczyste Spom. T. II. p. 201. ³⁾ Tamżes. 231. Akta s. 1236.

Zaporozcom posłać pieniądze na łodzie, wzywając ich, ażeby napadali na Turków na lądzie i na morzu.

Ponieważ jednak na skuteczność tych wszystkich środków z pewnością rachować nie można i że należy polegać głównie na własnej sile, niezbędną tedy rzeczą wystawić na tę wojnę 60000 żołnierza płatnego. Pod Chocimem bowiem było wojska naszego daleko więcej, jak to widać, ze starych komputów, mianowicie: z korony i Litwy liczyło się 35,000, kozaków Zaporozkich rachowano 50,000, nadto przyjmowały udział poczty panów ruskich i ordynatów, pod Lwowem miało się zebrać pospolite ruszenie, a Tomasz Zamoyski, z kilku tysiącami własnego wojska stał pod Tarnopolem. Do tego dodać wypada, że Ukraina była polską, podobnie jak Podole, Kamieniec i Chocim.

Sobieski zamierzał podzielić wojsko na trzy części, z których jedna miała dobywać Kamieńca, druga, wkroczywszy do Mołdawii, zatrzymać nieprzyjaciela, a przynajmniej bronić mu przeprawy przez Dniestr; trzecia nareszcie gromić tatarów na Ukrainie. Radził też pamiętać o Lwowie i innych twierdzach i trzymać w nich załogi.

Niezapomniał też Sobieski i o żywności, na którą proponował assygnować przynajmniej ze sto tysięcy złotych. Żywność tę należało, jego zdaniem, zebrać i wydawać we Lwowie, a potem z żołdu potrącić.

Co się tyczy składu wojska, powiedziano w projekcie hetmana, że chociaż armie zagraniczne liczą zwykle od dwóch do trzech części piechoty, to mając na względzie obecnego nieprzyjaciela, najpotrzebniejsza była jazda. Należało tedy mieć przynajmniej 30000 jazdy, i tyleż piechoty, z jazdy zaś: 6000 ussarzy, a jeżeli więcej, to i lepiej, lżejszych chorągwi 30, resztę pancernych z dzidami, z powiększoną płacą. Piechoty miało być 24000, dragonów 6000. A ponieważ w takiej wojnie bardzo wiele zależało na artylleryi, szczególnie jeżeliby wypadło dobywać Kamieńca, uważał tedy za potrzebne przysposobić 80 dział, a w stosunku do liczby wojska nawet 100 dział. Obliczenie zaś aparatu tej artylleryi, pozostawiał jej magistrowi, którego to było obowiązkiem. Niezapomniał też hetman o inżynierach, pirotechnikach, minerach, na których najem domagał się osobnej sumy pieniędzy.

Piechota łanowa powinna się była stawić w terminie zapowiedzianym na miejsce przeznaczone, niezbędna bowiem była do obsługi artylleryi tudzież do przygotowania przepraw i budowania mostów.

Pomnożenie wojska radził uskutecznić przez powiększenie liczby ludzi w starych chorągwiach i pułkach, a że te pułki liczyły wówczas tylko po 250 — 300 żołnierzy, to nietylko podwojone, ale i potrojone być mogły, przez co stare wojsko podniosłoby się do 30000. Pozostała część armii mogłaby się składać z wypraw wo-

jewódzkich, z pozostawieniem do ich woli postanowienia sposobu zaciągu i kosztów.

Daléj żądał hetman, ażeby województwa odleglejsze, mianowicie pograniczne Szlązka, Prus i Pomorza, wcale nie wystawiały piechoty, ponieważ trudno w krótkim czasie mazura lub rusina przestoczyć na niemca, a tym więcéj wykształcić go na dobrego i ćwiczonego pieszego żołnierza, a byłoby do życzenia mieć piechotę nie węgierskiego, lecz niemieckiego autoramentu. Oficerowie równie jazdy, jak i piechoty powinni być swej rzeczy świadomi i dlatego z rekomendacyi hetmanów wyznaczani, a nie wybierani przez województwa, które przy wyborach zwykły się kierować względami ubocznymi.

Na utrzymanie wojska proponował Sobieski użyć dochodów z czopowego, akcyz, ceł i pogłównego, stosownie do życzenia stanów Rptéj, a że tych podatków prędko zebrać nie było można, sądził tedy, że należało wydzierżawić je komuś za pewną ogólną sumę. Zresztą radził sprzedać słynne i kosztowne obicie „potop“ (gobelin) i część klejnotów koronnych.

W końcu liczył także Sobieski i na posiłki panów starostów i tych, co pod nadworne chorągwie poczty stawić byli obowiązani, a dopiero w ostateczności uciec się do pospolitego ruszenia.

Nad takim wojskiem, zdaniem Sobieskiego, mógł obiać komendę każdy wódz, z nadzieją zasłużenia sobie na sławę i podniesienie reputacyi swego imienia.

Pomijając rady Sobieskiego, z zakresu polityki i dyplomacyi, które polaków zwykle zawodziły, mamy tu przed sobą zupełny plan wojny, ze wskazaniem jej celów, tudzież środków i sił, do wykonania koniecznych. Widzimy wreszcie z tego planu, że twórca jego stał na wysokości współczesnej sztuki wojennej, że umiał zastosować organizacyą sił do potrzeby danej chwili t. j. gotującej się wojny z Turkami i że nie zapominał ani o aparacie wojennym, ani o żywności, o której wodzowie polscy zwykle nie myśleli. Wszystkie rady, które hetman podaje, równie co do pomnożenia jak i co do formowania wojska odznaczają się znajomością rzeczy i praktycznością, jedno tylko możnaby planowi temu zarzucić, mianowicie podział wojska na trzy części dla jednoczesnego osiągnięcia aż trzech naraz celów. Rzecz pewna, że jednej trzeciej części spodziewanego wojska t. j. 20000, okazałoby się za mało dla zatrzymania Turków w Mołdawii, lub na przeprawie, bo oni wyprowadzali na wojnę zwykle krocie tysięcy. Ponieważ środek ciężkości w gotującej się wojnie leżał w pokonaniu Turków, to należało obrócić przeciwko nim wszystkie siły, gdyż pokonawszy Turków, łatwo już było znieść i resztę.

Można było jednak przepowiedzieć, że ten wspaniały plan rozbije się, podobnie jak wszystkie zamierzenia wodzów polskich o zwykły szkopuł, o ten *nervus rerum* każdej wojny, o który w Rptéj

było zawsze tak trudno, — o brak pieniędzy. Przewidywał to i sam Sobieski, pisząc: „naszego wojska, na papierze spisane, liczba skurczy się zapewne i daj Boże z 60000 do połowy“ ¹⁾. Tak się też rzeczywiście stało.

Po odczytaniu projektu Sobieskiego, województwa przez dwa dni naradzały się osobno, jakie podatki należało uchwalić na utrzymanie wojska ²⁾. Wstrzymało nieco ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestyi wymaganie litwinów, aby sejm co trzeci rok zbierał się w Grodnie, lecz gdy nastąpiła zgoda stanów na to ich żądanie obowiązali się wystawić 12,000 wojska, ze wszystkimi wojennymi potrzebami i narzędziami na cały rok, a na jego utrzymanie postanowili piętnaścioro podymnego ³⁾.

Po załatwieniu tej sprawy sporo już poszły dalsze deliberacje sejmowe.

Prowincye koronne pozwoliły chętnie na pospolite ruszenie, w przypadku nagłej potrzeby, a zarazem uchwały wyprawy ziemiańskie w następującym stosunku: „Król, z dóbr własnych ekonomicznych i tak zwanych królewskich, w dożywocie lub dzierżawę oddanych, z dymów 20-tu, jednego pieszego, z należytnym ryszunkiem, odzieżą i żywnością, szlachta z dóbr ziemskich, z dymów 30-tu konnego jednego, arendarze, zastawnicy, wyderkarze, pieniądze na prowizjach mający od 10000 złr., także konnego jednego, żydzi z dóbr królewskich i duchownych ze 20-tu dymów na pieszego a z dóbr ziemskich na konnego pieniądze złożyć; a stan duchowny ze 20-tu dymów jednego pieszego wysłać; miasta — wozy i inne potrzeby, oraz piechotę, według konstytucyi 1621 roku przystawić miały“ ⁴⁾.

„Do ludzi tych, na sejmikach relationis mieli być wybrani pułkownicy i rotmistrze i same wyprawy, po należytem ich skorygowaniu, we 4 niedziele, po wspomnianych sejmikach, do obozu wyprawione, pod karą confiscationis i privationis bonorum“ ⁵⁾.

Na zapłatę wypraw ziemskich i zaciągów płatnego od Rzeczypospolitej żołnierza, uchwalono: cło, akcyzę i pogłównę pod nazwiskiem subsidii Charitativi, od osób wszystkich stanów, z wyjątkiem króla i królowej ⁶⁾.

Liczbę wojska zacięznego ustanowiono ostatecznie na 31,300, z których 15,000 jazdy i 16300 piechoty. Płaca starym chorągwiom miała się liczyć, podług dawnego etatu, nowym zaś zaciągom kwartalnie, na usarza zł. 200, na kozaka 120, na wołoszyna 100, na dragona 105 i na pieszego 55. Służba i żołd miały się rozpocząć od 1-go maja ⁷⁾.

Przygotowawszy w ten sposób środki i zasoby wojenne postanowiono nie wypowiedać wojny Turkom, licząc na to, że Turcy, nie otrzymawszy haraczu, przez traktat Buczacki przyobiecanego, sami za-

¹⁾ Akta 1281. ²⁾ Konf. gol. s. 233. ³⁾ Ib. s. 237. ⁴⁾ Vol. legg. Anno 1673. T. V. 92. ⁵⁾ Ibid. ⁶⁾ Ibid. ⁷⁾ Akta l. c. pg. 1262.

pewnie wojnę rozpoczną ¹⁾, bo już podczas posiedzeń sejmowych, w marcu, wyprawił wielki Wezyr czausza z listem do podkanclerzego, w którym, skarżąc się o to, że Polacy nie oddali Białej cerkwi i nie uścili okupu za Lwów obiecanego, groził ognistym gniewem swego cesarza ²⁾. I nie były to czcze pogroźki, bo Mahomet IV, który, jak powiadają, nie przestawał marzyć o Gdańsku i miał go ciągle na ustach, rozkazał 22 maja buńczuk Sultański na wrotach seraju, w Adrianopolu, wywieścić, a zarazem posłał rozkazy hanowi i Doroszence, również jak gospodarom Mołdawskiemu i Wołoskiemu, aby byli gotowi do łączenia się z nim, za danym hasłem ³⁾, a rozkazy te musiały być z całą ścisłością wypełnione, nie pod karą confiscationis, która była tylko pogroźką, ale pod niechybną utratą głowy.

Zdałoby się, że ciężka próba, którą Polacy w roku przeszłym przebyli i dotykalne dowody na to, — jakie skutki mogła pociągnąć za sobą niegotowość do wojny. pobudzi umysły do czynu, zagrzeje serca do ofiar, że i grosz przyobiecany popłynie obficie do kass poborców i dymowe wyprawy staną ochotniei każdy sumiennie i święcie spełni swą powinność względem Rptej, zagrożonej jarzmem niewoli pogańskiej. Bynajmniej! Żadne i najstraszliwsze próby nie zdołały poruszyć tych głów opornych i serc w egoizmie zaskrzepłych. Wszędzie panuje po dawnemu obojętność i apatya, a interes prywatny trzyma górę nad zamiłowaniem dobra publicznego.

Najdobitniej ilustruje usposobienie owocnesne umysłów Sejmik Proszowicki, na którym „szlachta wielką wrzawę uczyniła na posłów, że na podymne pozwolili... a p. Podstoli Sandomierski do żadnej rzeczy nie chce przystąpić, jeżeli ks. biskup plebana jego o jakąś pretensją sądzić nie będzie... że się Turków bać nie trzeba, że ci życzą sobie z nami pokoju i o wojnie nie myślą ⁴⁾“.

O Turkach krążą jak najsprzeczniesze, przytém zmyślone i niedorzeczne wieści, jak np. ta, że sułtan już nie może wyprowadzić takich sił, jak w roku zeszłym ⁵⁾, że przeciw niemu zbuntował się Kapłan basza, to że mu umarł Wezyr wielki. Co zaś do przygotowań do wojny w Polsce, ktoś rozpuścił pogłoskę, że będzie wezwane pospolite ruszenie, a więc, że już żadnych wypraw i podatków nie trzeba ⁶⁾. Rubaszny strażnik koronny Bidziński pisze do W-dy Krakowskiego: „Wici na Posp. ruszenie spodziewają się i dla tego ze wszystkimi podatkami zatrzymują, jakby to oni zwoływali bez ludzi zaciężnych. Owo zgoła P. Bóg nas miesza i nie chce nas podobno widzieć tylko zginionych. Chyba to z tej rady

¹⁾ Konf. Goł. s. 238. ²⁾ Ambr. Grabowski „Ojcz. Sp.“ T. II. 198.

³⁾ Hammer. l. c. s. 391. „Ojcz. Spom.“ T. II. s. 201 i 202. ⁴⁾ Ibid. pg. 209.

⁵⁾ Akta l. c. pg. 1281. ⁶⁾ Ibid. s. 1274.

jakaś wynijdzie obrona, ale móm zdaniem, z pustej stodoły, albo so-wa, albo diabeł“¹⁾).

Przeszedł maj i czerwiec, a tu ani grosza podatku do poborców nie wpłynęło; ani też dymowych żołnierzy wyprawiać nie chcą. Sobieski w liście do biskupa krakowskiego pisze z Warszawy dnia 5 go lipca 1673-go roku: „i czemużby panowie nie mieli zaciągać w swoich majątnościach. Jakoż i ja to sam widzę bardzo dobrze, żeby to uczynić mogli przynajmniej *in hoc calamitoso* Ojczyzny statu. Ale kiedy i tej ochoty nie masz do usługi Rptej, rozumiem, ta culpa na mnie redundare nie może“²⁾.

Dopiero na początku lipca Wyżyci zaczyna ściągać chorągwie na Kosmowskie pola, pomiędzy Hrubieszowem a Kryłowem, ale to idzie niezmiernie tępo, chorągwie się nie kompletują, a między żołnierzem panuje jakaś niechęć, a wszystko to z braku pieniędzy³⁾.

Ile mi wiadomo, tylko za Zygmunta I wojsko wychodziło w pole na termin naznaczony; ale król ten wydawał zaliczki na żołnierzy w ilości półtora miesięcznego żołdu. Bez tych zaliczek trudno było żołnierzowi wyekwipować się i wyruszyć na wojnę. Ztąd pochodziły ciągle opóźnienia się żołnierzy, za które ich winić nie można. W obecnym razie nietylko że zaliczek nie dawano, ale co gorsza, nawet żołd za przeszłą służbę zalegał. Wojsku wreszcie cudzoziemskiemu należało się półpięćtakroć stotysięcy złotych i dla tego do obozu wcale iść nie chciało⁴⁾.

Król, w końcu czerwca rozesłał uniwersały do województw „*sub amore patriae*“, aby szlachta podatki na wojsko składała i sama na wojnę gotowa była⁵⁾.

30 czerwca odbyła się rada wojenna u króla, w przytomności hetmana, trwająca do wieczora 2 lipca⁶⁾. Nie uradzono jednak nic nowego, coby wychodziło po za propozycje Sobieskiego. Długo toczyły się spory o to, czy król ma się udać do obozu, lub nie; większość Senatorów była przeciwko wyjazdowi króla z Warszawy, przemogło jeduak zdanie, dowodzące potrzeby wystąpienia monarchy na czele wojska⁷⁾. Był to tryunf zazdroszczących sławy Sobieskiemu, pragnących zagrozić mu w ten sposób drogę do nowych tryunfów⁸⁾.

Oprócz tego postanowiono ogłosić surowe uniwersały na tych, którzyby się do 20 lipca w obozie nie stawili. Obóz zaś zostawiono po dawnemu, stosownie do Uchwały Sejmowej: dla wojsk koronnych pod Hrubieszowem, a dla litewskich pod Włodzimierzem⁹⁾, co jest

1) Ibid. pg. 1274. 2) Ibid. pg. 1272. 3) Ibid. p. 1273. 4) „Ojcz. Spom.“ T. II. pg. 235. 5) Ibid. pg. 227. 6) Ibid. pg. 229. 7) Ibid. pg. 230. 8) Konf. Goł. pg. 244. 9) „Ojcz. Spom.“ T. II. pg. 230.

dosyć uderzającym. Kombinując te punkta zbioru z przywiedzionym wyżej planem Sobieskiego, wypada wnosić, że hetman zamierzał rozpocząć swe operacye od oblężenia Kamieńca; Włodzimierz bowiem leży na prostej drodze między Kamieńcem a Brześciem, którą postępując omijali Litwini błota Pińskie. Dla polaków zaś mógł być wyznaczony Hrubieszów w zamiarze łatwiejszego zbliżenia się i połączenia z Litwinami. Zamiany te zmieniły się jednak później, gdy sytuacya wojenna dokładniej się wyjaśniła.

Podkanclerzy Olszowski energicznie się opierał wypróżnianiu skarbu koronnego na potrzeby wojny ¹⁾; gdy jednak podatki do kas poborczych tępo wpływały, a oficerowie cudzoziemscy niezaplaceni iść do obozu nie chcieli, gdy żadne perswazye króla, hetmana i innych senatorów nie mogły ich namówić do zmiany takiego postanowienia, musiano się uciec do alienacyi pewnej części klejnotów koronnych, wynoszącej podług taksy jubilerów 450,000 złotych. Odebrawszy tedy te klejnoty wydawał hetman każdemu oficerowi klejnot, stosownie do przyznanej mu sumy pieniędzy. Z tegoż źródła zapłacono 60,000 puszkarzom i furmanom, oraz drugie tyle samemu Sobieskiemu, za jego osobiste ekspensa. Posłano też 20,000 Łąckiemu, naznaczonemu komendantem we Lwowie ²⁾.

Hetman, po rozdaniu klejnotów, ogłosił 28 lipca uniwersał, wzywający żołnierzy do śpiesznego kupienia się w obozie. Przypomina im, że przez ich opieszałość już ćwierć (licząc od 1 maja) roku upłynęło i Rpta ogromne straty na żołdzie poniosła. Termin ostateczny do zgromadzenia wojska w obozie na 10 sierpnia wyznacza, grożąc nieposłusznym karami wojennymi ³⁾.

Podług uchwały sejmowej, wyprawy dymowe, a więc i zaciągi płatne przez Rptą żołnierza powinny były stawić się w obozie, we 4 niedziele po sejmikach relacyjnych t. j. w początkach czerwca. Termin ten został później odłożony na 20 lipca. Teraz hetman przenosi go przez ten już trzeci swój Uniwersał, aż na 10 sierpnia, a tymczasem żołnierstwo, z wielką ujmą dla powagi hetmańskiej, pozostaje głuche na wszystkie uniwersały, bo wystąpienie na wojnę bez pieniędzy, połączone zawsze było i będzie z wielkimi trudnościami. Kary wojenne były tylko pogroźką, właściwie zaś stosowane być nie mogły, bo służba wojenna w Polsce nie była powinnością, a zależała na wzajemnym zobowiązaniu się, z jednej strony przez służbę, a z drugiej przez płacę żołdu, jeśli zaś żołdu nie płacono to i służba obowiązywać przestawała. Kary wojenne mogły być stosowane tylko od wejścia do obozu.

Wielcy książęta moskiewscy mieli na opóźniających się lub

¹⁾ Ibid. pg. 235. ²⁾ Ibid. pg. 235. ³⁾ Akta l. c. pg. 1285.

niestawiających na popis synów bojarskich łatwy sposób, — pakowali ich do turmy lub ćwiczyli batogami ¹⁾, ale w Polsce panowała złota wolność.

Sobieski wyjechał z Warszawy 12 sierpnia i przez Białą Uścimów przybył 20 do Pielaszkowic ²⁾. Ztamąd zaś, wysławszy rozkaz do wojska, zebranego w obozie pod Hrubieszowem, aby po uczynieniu popisu ku Lwowu ciągnęło ³⁾, wyruszył w dalszą drogę przez Sobieską Wołę i Jarosław i w końcu sierpnia stanął w Jaworowie ⁴⁾. Zamiana miejsca dla wielkiego obozu powstała zapewne w głowie Sobieskiego, w skutek otrzymania wiadomości o przybyciu pod Chocim tureckiego wojska, którego zniesienie było najbliższym i najstosowniejszym krokiem w gotującej się wojnie.

(Dok. nastąpi).

¹⁾ „Historya Wojenna“ ks. Galicya. Cz. II. s. 8. ²⁾ Akta l. c. pg. 1293. ³⁾ „Ojcz. Spom.“ T. II. 247, 250. ⁴⁾ Ibid. pg. 252.

O miastach i mieszczaństwie

W KRÓLESTWIE POLSKIM. ¹⁾

Jedną z najskuteczniejszych potęg społecznych na polu gospodarstwa narodowego jest oświata, przenikająca jak najszerze warstwy społeczne. Dotychczasowy rozwój idei państwa nowożytnego dokazał jednak tego, że wszelką inicjatywę oraz całą opiekę nad instytucjami edukacyjnymi, które są źródłem oświaty publicznej, złożono w ręce władzy państwowej: udział społeczeństw w urzędzeniu szkół miejskich i w nadawaniu kierunku udzielanym naukom szkolnym, jest, z małemi wyjątkami niemal wyłącznie w ręku władz państwowych; zarządy miejskie dostarczają zwykle tylko funduszków na podtrzymanie i polepszenie etatu zakładów szkolnych w miastach.—Tak zorganizowana oświata, wydała u nas owoce, którym choćby pobieżnie przyjrzeć się tu trzeba.

W statystycznym obrazie miast Królestwa Polskiego podaliśmy spis szkół niższych, średnich, specjalnych, oraz wyższych zakładów naukowych; w tém miejscu zwrócimy tylko uwagę na ogólne położenie instrukcyi szkolnej w miastach naszych. Przedewszystkiem zakłady średnie, z których wychodzi największy kontyngens przyszłych inteligentniejszych pracowników, są nieliczne tak, że pomimo istnienia zakładów średnich prywatnych, znaczna ilość młodzieży każdorocznie nie może się w nich pomieścić. Przytém choćby nawet ilość zakładów prywatnych powiększyć się mogła, to w prowadzonych wzorowo, według wszelkich zasad pedagogicznych, opłata szkolna dla wielu rodziców jest niedostępna. Czy zaś nieliczne

¹⁾ Ciąg dalszy. Zob. zeszyt za m. Luty r. b.

gimnazya rządowe mogą być rozsądnikami oświaty, choć ich mamy przeciętnie po jednym męzkim i jednym żeńskim na gubernią? Jedna tylko Warszawa ma ich 11, ale też półmilionowa ludność zapełnia te szkoły swojemi dziećmi, a z miast prowincjonalnych i ze wsi nie wielu pomieści się kandydatów.

Szkół specjalnych rządowych jakby nie było. Gdy w Rosyi europejskiej szkół takich dla młodzieży męskiej i żeńskiej jest 364, z 52,240 uczniami, to w Królestwie Polskiem, prócz seminaryów duchownych jest ich 12 z 1534 uczniami, czyli że biorąc parównawcze zestawienie ludności Cesarstwa i Królestwa, znajdziemy, iż w Rosyi europejskiej na 1 milion mieszkańców znajduje się 6 szkół specjalnych, u nas na taką ilość ludności 1.5 szkół.

Nie umiejących ani czytać ani pisać w miastach jest 48%, w czem na 100: mężczyzn 46%, kobiet 54%. U pozostałej ludności miejskiej, stosunek wykształcenia na 100 jest taki: z wykształceniem elementarnem 45% mężczyzn, 34% kobiet; z wykształceniem średniem 4% mężczyzn, 5% kobiet; z wykształceniem wyższem mężczyzn 2.45%, kobiet 0.55%. Jak widzimy, wykształcenie średnie i wyższe, i to w miastach, gdzie stan intelektualny ludności powinien się wyrażać wysokim procentem ludzi choćby średnio wykształconych, pozostawia w naszych miastach bardzo wiele do życzenia.

Co zaś do wykształcenia elementarnego, to dopokąd program nauk nie zostanie tu rozszerzony, a system nauczania udoskonalony, dopóty szkoły nietylko umysłom bardziej rozwiniętym nie dadzą, ale nie wystarczą potrzebom umysłów najbardziej ograniczonych.

Zakłady średnie, stanowiące u nas jedyne źródło nauki dla młodzieży miejskiej, nie mogą wypełnić zadań, zasadzających się na kształceniu tej młodzieży w duchu przyszlých jej zajęć. Jedna szkoła realna w Warszawie i dwie na prowincyi, to za mało: gimnazya zaś filologiczne dla cząstki tylko młodzieży miejskiej mogą być potrzebne, to jest poświęcającej się prawu, medycynie, naukom filologicznym i historycznym, ale większość znaczna tej młodzieży innę zupełnie pracy się poświęca.

Ze względu na potrzeby miast koniecznymby był dla nich rozwój szkół profesjonalnych i dla tego bliska ich organizacya może wydać dobre rezultaty. Szkoły te prócz wykształcenia ogólnego, dają wykształcenie specjalne, zasadzające się na nabyciu lub uzupełnieniu wiadomości, potrzebnych do wykonywania pewnej oznaczonej profesyi. Nie zwracano na to dotąd należytej uwagi; według utartych formuł szerzono jednostronną wiedzę, zapominając o tém, że przecież obywatele całego kraju, a zwłaszcza mieszczaństwo, nie może jednakowej edukacyi odbierać. Do tej pory wykształcenie specjalne czyli profesjonalne tyczyło się profesyi wolnych—adwokatury, medycyny, literatury, sztuk pięknych, a młodzież kształcąca się

w tym kierunku, miała szkoły przygotowawcze w gimnazyach i szkołach realnych, wydziały prawne, medyczne, filologiczne w uniwersytecie, kursa w szkole sztuk pięknych i t. p.

Co się tyczy profesji mechanicznych, to są one pozbawione wszelkiej opieki, a w istniejących tego rodzaju szkołach profesjonalnych, tkwi główna wada w ścieśnionych szrankach wykładów, w rutynie. Zanedbujemy to, co stanowi interesy najwyczejniejsze, co tworzy utrzymanie życia. Większość młodzieży nie zna ani świata, na którym żyje, ani ziemi, która nas żywi, ani ludzi, którzy zaspakajają jej potrzeby, ani zwierząt, które jej służą, ani głównych działów produkcji, które są podstawą bytu ekonomicznego. Czyżby szkoły dzisiejsze miały przeznaczenie kształcić tylko adwokatów, medyków, literatów lub urzędników? Czy przemysłowcy i handlujący nie zasługują na opiekę?

W ostatnich czasach zaczynają się ujawniać kierunki, dążące do pomnożenia liczby szkół profesjonalnych, do nadania wykształceniu specjalnemu kierunków daleko szerszych. Jest to rzecz na czasie, bo szkoły takie, dostarczające tak zwanych majstrów (werkfirerów, werkmajstrów, monterów, sztygarów), nietylko zwrócą młodzież miejską do pracy pożytecznej; nietylko przyczynią się do podniesienia wytwórczości przemysłowej za pomocą rąk umiejętnych fachowców, ale wyzwolą kraj od konieczności posilkowania się cudzoziemcami.

W tych systemach pedagogicznych, w których młodzież się dotąd rozwijała, nietylko wyżej przedstawione ujemności spstrzegamy; bo one za mało poważnie traktują nauki i nadmiarem pracy przeciążają młodzież, która traci wzrok, zdrowie, słabo się rozwija fizycznie, a i umysłowo tępiejąc, wychodzi coraz gorzej przygotowana do słuchania kursów wyższych.

W sferach zamożniejszych mogłoby temu do pewnego stopnia zapobiegać wychowanie domowe, ale i tu trzeba przede wszystkim starać się o to, by ci pedagogowie sami wprzód przeszli systematycznie dobrą szkołę. Ze zaś z pokolenia w pokolenie nie innemi, tylko encyklopedycznemi wiadomościami wzbogacamy nasz umysł i dzieciom naszym nie nad to innego dać nie możemy. Nie zaprzeczamy, że wiele domów miejskich liczy rozumnych ojców, pełnych serca i poświęcenia matek, wszczepiających w dziecko pierwsze zasady moralności, wyrabiających jego charakter obywatelski, ale zapominających, że chcąc zapewnić przyszłość dziecka, od pierwszej chwili badać trzeba w jakim kierunku rozbudza się w nim zamiłowanie pewnego rodzaju pracy, trzeba rozjaśniać ten kierunek i wdrażać mu od młodości zamiłowanie do pracy i obowiązków obywatelskich.

Jeśli na wykształcenie specjalne młodzieży miejskiej taki nacisk kładziemy, to starajmy się także przynajmniej o praktyczne przygotowanie młodzieży przed wstąpieniem jej do szkół specjalnych.

Miasta nasze są siedliskiem inteligencji, nie w znaczeniu najwyższém, lecz jako źródło, w każdym razie trzeźwych i rozumnych umysłów. Ztąd zatem rekrutować się powinni owi praktyczni pracownicy, owi specjaliści, w braku których przemysł nasz, rękodziela i handel tak nisko stoją. Co się dzieje z tą młodzieżą, której tysiące corocznie dochodzi do wieku, powołującego ją do pracy dla kraju i dla siebie? Częstka, poświęcająca się profesjom wolnym, jest tak nieznaczna, że prawie nie umniejsza szeregów młodzieży, która po skończeniu edukacji niknie gdzieś, roztopia się w najpodrzedniejszej walce o byt. Znajdziemy ją jako kancelistów powiatowych, pisarzy gminnych, niższych urzędników kolejowych, a część większa tak zwanych kandydatów do wszytkiego, najumizniejszego żywot pędzi. Oto—do czego doprowadza błędny kierunek wychowania młodzieży i apatya rodziców, nie umiejących wyjść z po za szablonowych formułek, według których skończenie gimnazjum lub progimnazjum jest otwarciem wrót do pewnej kariery dziecka.

Poznajomiwszy się ze stanowiskiem ekonomiczném i intelektualném miast winniśmy się rozpatrzyć w ich położeniu społeczném, z tego względu najważniejszém, że stanowi ono streszczenie ostateczne przejawów, które posłużyć mogą do wyrobienia sobie jasnego sądu o stanowisku ludności miejskiej w naszym organizmie społecznym.

Zanim jednak z kwestyą tą się zapoznamy, odkryć nam trzeba czarną kartę naszych miast i słów parę powiedzieć o żywiole najliczniej miasta nasze zamieszkującym, a będącym najważniejszą przeszkodą w szarmonizowaniu dążności, przekonani i pracy ludności miejskiej. Mając tu na myśli żydów, to mętne źródło, w którém tonie najważniejsza część bogactwa krajowego, bez żadnej dla kraju korzyści, nie sądzimy, by dobry obywatel kraju, posądzać nas mógł o uprzedzenie tendencyjne lub o antysemityzm. Przeciwnie odwołamy się tylko do faktów i uzasadnimy tylko to nasze przekonanie, że niewłaściwą metodą jest osłanianie błędów żydowskich jak z drugiej strony szkodliwą jest polityka, wywieszająca tendencyjnie same ich strony ujemne *par partie prie*.

Podczas gdy ludność naszych miast narodowości polskiej, a nawet niemieckiej, w dziejach swego życia podlega zmianom charakteru, dążeń, działalności, wykazuje usiłowania ku poprawie moralnej i materyalnej. Żydzi od pierwszej chwili osiedlenia się w Polsce, aż do czasów obecnych, ani na krok nie odstąpili od przepisów, które im ich zwyczaj i obyczaj — nienawistne wszyskiemu, co nie jest żydowskie — wypełnić nakazuje. Ta sama odrębność kastowa, ten sam fanatyzm i nienawiść dla chrześcian, z drobnymi tylko wyjątkami, są niezmiennie.

Ludność żydowska według obliczeń z 1887 r. stanowi $\frac{1}{7}$ ludności w kraju, z tego w miastach 835,350, czyli około 53% ogółu ludności. Zaludnienie to nie rozkłada się równomiernie we wszystkich guberniach; tak np. w guberniach Suwałkoskiej, Siedleckiej, Radomskiej, Łomżyńskiej żydzi stanowią $\frac{2}{3}$ ogólnej ludności miast, w Kieleckiej, Płockiej, Lubelskiej i Kaliskiej $\frac{1}{2}$, w Warszawskiej i Piotrkowskiej $\frac{1}{3}$. Z ogółu ludności żydowskiej w Królestwie Polskiem, $\frac{6}{7}$ koncentruje się w miastach. Na 235,200 rodzin żydowskich, rzemieślników, przemysłowców, fabrykantów, właścicieli osad, folwarków, liczy się 54,623 rodzin; drobnych handlarzy 47,887, bez oznaczonego zajęcia 130,420 rodzin. Są to cyfry, z których widzimy, że sto trzydzieści tysięcy rodzin żydowskich utrzymuje się z zarobków dziennych, z pośrednictwa, lichwy, spekulacyi i oszustwa.

Z dwóch sekt, na które dzielą się żydzi tutejsi ¹⁾, t. j. rabinów — zwolenników studyów talmudycznych i literatury rabinicznej oraz hassydów — t. j. kabalistów i mistyków, jest ta druga o wiele niebezpieczniejszą. Hassydzowie są inicjatorami i kierownikami szkodliwego żydostwa. Sprytni, ruchliwi, zręczni w oszustwach, znający doskonale stosunki miejscowe, są uosobieniem najujemniejszych wad żydostwa. Największe ich święta religijne, nowy rok i sądny dzień są uroczystościami, na których układają plany całego postępowania. Pod przewodnictwem cadyka, kapłana hassydów, zapoznają się, naradzają, a głównym ich nabożeństwem jest mowa o interesach. Sekta ta zaledwie sto kilkadziesiąt lat temu u nas założona, pomimo oporu rabinów, wzrosła nadzwyczaj szybko, zjednała sobie prozelitów głównie z tego powodu, że biednym dawała wsparcie i wyszukiwała zajęcia. A wpływ jej jest straszny; ona krzewi między żydami najgrubsze zabobony i ciemnotę, ona jest zaporą wszelkiego postępu i szlachetniejszych czynów.

Obok tych działaczy, grupuje się jeszcze gorsza klasa chussytów, „nabożnych“, nie robiących nic, a będących pionierami i stróżami tych fanatycznych przepisów i niezliczonych formalności, które mają na celu ochronić od zagłady plemię żydowską. Są to płatni przez ogół żydostwa pachołkowie, głoszący najskrajniejsze zasady religii.

Szkoły żydowskie są wyłącznie wyznaniowe i żadnej zmiany w systemach nauczania od najdawniejszych czasów w nich nie ma. Ten sam ogłupiający system w chederach, czyli szkołach początkowych: prócz czytania po hebrajsku, modlitw i początków starego testamentu, nie daje więcej nic. Drugą kategorią szkół wyższych, są tak zwane talmud-tory, mające swe siedlisko na Litwie i ztamtąd wysyłające swych elewów. W szkołach tych dla starszych

¹⁾ Niektóre z tych wiadomości, zaczerpnięte są z pracy K. Szaniawskiego „Nasi żydzi“ — Warszawa 1888 r.

i z obszerniejszym wykładem, uczą gramatyki hebrajskiej, komentują pięcioksiąg Mojżesza, przechodzą naukę psalmów, ale tego, co by mogło być właściwą nauką, nie dotykają wcale.

Charakterystyką ciekawą tego systemu wychowania żydów, jest następujący ustęp referatu warszawskiej Komisji Rządowej, powołanej w 1887 r. do rozpoznania sprawy żydowskiej w Kr. Pol. skiem.—Czytamy tam co następuje:

„Ogromna ilość chederów, w których, wykładana przez nauczycieli żydów (melamedów) fanatyków, nauka fałszywa, podtrzymuje w żydowskiej ludności ducha separtyzmu i fanatycznej nienawiści do chrześcian, stanowi bezsprzecznie najbardziej chore miejsce organizmu społecznego. Wychowana w takich zasadach ludność żydowska, przy zupełnym braku w chederach ogólnie ludzkiego rozwoju umysłu oraz wykładu wiadomości ogólnie kształcących, utrzymuje się w zerkomo w swój ciemności i odosobnieniu od otaczającej ją sfery chrześcian, których nienawidzić i eksploatować uważa się za obowiązek wychowanego przez melameda żyda“.

„Dodajmy do tego najfatalniejsze higieniczne warunki, w których mieszczą się owe szkoły, brudne, ciemne, ciasne, złożone z jednej izby, w której prócz kilkudziesięciu chłopców, przemieszkuje melamed z liczną swą rodziną, a łatwo zrozumiemy jakie to pokolenia wychodzą z tych jaskiń ciemnoty. Zasklepienie się całych tych pokoleń w fanatyzmie i odrębności, odsuwa je od społeczeństwa, którego potrzeb nie uznają i uważają za religijny obowiązek nie dla niego nie robić, a samym wybierać takie zajęcia, które nie wymagając ciężkiej pracy, dają możliwość lekkiego przyjsia do majątku, kosztem wyzyskiwanej ludności chrześciańskiej“.

Przy takich zasadach, które wszczepiają młodzieży żydowskiej od najmłodszych lat życia, łatwo sobie wytłómaczyć przyczyny braku moralności całego plemienia i źródła opinii, którą sobie wyrobili żydzi nietylko u nas, opinii, uważającej ich za oszustów i wyzyskiwaczy. Moralność żydów objaśnia statystyka, obliczająca, że procent żydów, skazywanych przez sądy, jest wyższy od procentu skazywanych chrześcian. Na 1,600 chrześcian liczy się skazanych 5.28%, na 1600 żydów skazanych 6.58%, a cyfra ta nie dowodzi jeszcze rzeczywistej ilości przestępstw, wiadomo bowiem jak zręcznie żydzi umieją się wykręcić lub uchylić od odpowiedzialności. Szerokiem polemich nadużyć są pożary, będące źródłem zubożania się. Statystyka wykazuje, że z ogólnej liczby pożarów w Królestwie, $\frac{1}{3}$ wypada na żydowskie mienie, a wiadomo przecież jaki jest stosunek posiadanych przez nich nieruchomości.

Spójnią, która utrzymuje żydów, jest religia, a raczej jej stróże, przesadzający się w gorliwości i staraniach, by nie rozluźniać w niczem tych związków ludności, które im sownie się oplacają. Rzeczywiście, ofiary które żydzi na swe instytucje składają, są

bardzo wysokie, chętnie płacone i głównie bogatszych obciążające, a prócz tego ponoszą bogatsi duże koszta na utrzymanie biednych.

Byłby to piękny rys tego plemienia, gdybyśmy, nie zastanawiając się nad istotą pochodzenia tych ofiar, mogli je brać za objaw szlachetności i uczuć religijnych żydostwa. Tymczasem ofiary te nie ich są dziełem, ponieważ jest to haracz przez kraj płacony ludności ciemnej, przesądnej, fizycznie słabo rozwiniętej i niezdolnej nic produkować, na nic się zdobyć, prócz na wyzysk i korzystanie z cudzej pracy. Owe kahały, chedery, mełamedów, opłaca nasz szlachcic, mieszczanin, chłop, każda istota chrześcijańska.

Wiemy już dobrze, na czém się zasadza praca żydowska i gdybyśmy chcieli szukać gdziekolwiek śladów pracy rzeczywistej, przyszłoby to nam z niezmierną trudnością. Wszak rzemiosła mogłyby stanowić zyskowne zajęcie dla tej ludności, wszak i w księgach żydowskich wiele się o nich mówi i zaleca, a mimo to rzemieślników dobrych znaleźć trudno. Wypływa to przedewszystkiem z tego powodu, że żydzi do pracy fizycznej wstręt mają, następnie, że wychowanie nie daje im znajomości żadnego fachu, życie żadnej praktyki, a wzięwszy się do jakiegokolwiek rzemiosła, nie posiadają sił fizycznych odpowiednich, nie posiłkują się dobrymi narzędziami, a cokolwiek wykonają jest fuszerką ostatniego rzędu. Mamy w Królestwie Polskiem, bez Warszawy, 1,219 fabryk w rękach żydowskich; zatrudniających 17,744 robotników, w czém 145 żydów! Czyż to nie najoczywistszy dowód wstrętu żydów do pracy, gdzie bowiem łatwiej im o zajęcie jak u swoich, którzy im przed innymi dadzą pierwszeństwo. Posłuchajmy wreszcie jeszcze jednej opinii Komisji żydowskiej:

„Rażąca cyfra spekulantów i eksploatatorów, stanowiąca większą połowę całkowitej ludności żydowskiej Kr. Polskiego, zaludnia przeważnie miasta i osady, w których pewna część jest właścicielami lub współwłaścicielami domów i drobnych działków ziemi, znaczna część utrzymuje się z karczem, szynkowania w zakładach trunkowych, z domów zajezdnych, część z furmanienia, większość zaś trudni się faktorstwem w różnego rodzaju ugodach i lichwą. Nakoniec masa żydowskiego proletaryatu żyje z dnia na dzień, czasem z ciężkiej pracy, a najczęściej posługuje się otrzymywaniem środków do życia wszelkimi nieprawemni sposobami“.

Przyrodzone wady ludności żydowskiej mogłyby być stłumione i wykorzenione za pomocą przepisów, zmuszających ją do szanowania praw krajowych, do poddawania się potrzebom tego kraju i wykonywania obowiązków obywatelskich. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Przypatrzmy się tylko zasadniczym przepisom o kierunkach kształcenia, które obowiązują krajowców a żydów. Podczas gdy młodzież nasza kształci się pod opieką i kierunkiem rządu i nauczycieli rządowych, gdy szkoły prywatne pod najściślejszą zostają kontrolą, a nawet wychowanie domowe skutkiem wyma-

ganych kwalifikacyi urzędowych od nauczycieli i nauczycielek w domach prywatnych wykładających, znajduje się w zależności od rządu, żydów to nie tyczy. Posiadają oni zupełną swobodę w swych chederach i w wielu urządzeniach swych gmin. Wyszły wprawdzie przed dwoma laty przepisy, zalecające, by cheder był szkołą jawną, by oznaczoną ilość godzin trzymano dzieci w szkole, ale o kształceniu ogólném mowy nie ma.

Jak najtreściwsze podawszy wiadomości o sprawie, która stanowi ciemną stroną stosunków miejskich, pozostaje nam jeszcze obznajomić się ze społecznemi objawami życia ludności miejskiej, z jej publiczną, obywatelską i towarzyską działalnością.

Poznaliśmy już siłę i ustosunkowanie narodowościowe ludności miejskiej. Sama potrzeba zwracania uwagi na stosunki plemienne, świadczy, jak ciężkiem jest położenie kraju, o którym powiedzieć nie można, że mieszczaństwo jego jest krwią z krwi, duchem z ducha narodu. Jesteśmy pod tym względem krajem wyjątkowym; na całym świecie nie ma narodu, gdzieby cały jeden stan, nie tylko z najrozmaitszych składał się narodowości, ale gdzieby te żywiły usposobione były względem siebie niemal wrogo, gdzieby ludność nie złączona poczuciem obowiązków obywatelskich, miłością dla kraju, jednakowemi formami życia towarzyskiego, wreszcie gdzieby jedna religia nie stanowiła wyznania znacznej większości. I dla tego najgłębszy myśliciel, najdoświadczeńszy socyolog z trudnością tylko z tej mieszaniny rasowo-obyczajowej, stanowiącej nasze miasta, mógłby wyciągnąć ogólne wnioski, któreby choć w przybliżeniu oznaczyły kształtowanie się i przyszłość tego stanu. W poglądzie więc naszym w prognostyki bawić się nie będziemy, nie osmielimy się stawiać pewników o tych lub owych widokach przyszłości, poprzestając na prawdziwem opisanie moralnych, umysłowych i społecznych usposobień, które rządzą naszym mieszczaństwem — jeśli go w ogólności naszym nazwać można.

Za olbrzymie to pole badań, za wielki zakres pracy, by można w szkicowym przeglądzie spraw mieszczaństwa, podać i rozjaśnić wiekowe przyczyny i wpływy, które się złożyły na układ stosunków miejskich u nas, na te bolesne objawy życia miast Polski. Nie bez celu mówiliśmy wiele i, o ile można było, o położeniu ekonomiczném miast. Postęp bowiem ekonomiczny stworzył u nas element napływowy, postęp więc społeczny nie mógł się rozwinąć, bo element dominujący nie interesował się sprawami kraju. Za zasadę reform przyjęto u nas te wzory zachodnio-europejskie, które były niezrozumiałe i przeciwne polskiemu mieszczaństwu, o ile ono było. Przyszli do Polski koloniści niemieccy, którzy do niedawna pod naciskiem feodalizmu, walcząc z tą siłą, zwyciężyli ją, zorganizowali się w społeczeństwo, nie mające żadnego stosunku z wsią i opierające swą siłę i samodzielność na przemyśle miejskim. I taki żywioł napływo-

wy przyszedł cywilizować ludność rdzennie wiejską, z patryarchalną prostotą obyczajów, z zupełną nieznajomością przedsiębiorstw, które stanowiły źródło bytu i bogactwa wędrujących cywilizatorów. Na domiar tych błędów, które w organizacjach miast istniały, polityka państwowa otoczyła kolonistów szczególnymi przywilejami. Praktyczne to było na razie, bo zachęcało emigracją—skoro ona za tak pożyteczną uznaną została; ale prawa i przywileje należało rozciągnąć na wszystkich mieszkańców miast, a wtedy równoważnik uosobiony w żywiole polskim nie dałby się rozpanoszyć żywiołowi napływowemu. I to, co mówimy nie stosuje się tylko do pierwotnej kolonizacji niemieckiej; przeciwnie, na początku bieżącego stulecia nie były przeludnione miasta nasze elementem niemieckim; dopiero nowa inwazyja germańska przez nowsze rządy upoważniona, nowe źródła dla cudzoziemskiego przemysłu otworzyła. Ta kolonizacya, zdaje nam się, że tylko w pasie nadgranicznym dała się we znaki, a czemuż tam, gdzie jej nie było, t. j. w reszcie kraju, mieszczaństwo samodzielnie nie wytworzyło przemysłu, nie zasłynieło działalnością społeczną? Nie mogło—bo i tam było to samo upośledzenie, ten brak opieki, a nade wszystko straszniejszy żywioł rozkładowy, bo żydzi. I dziś zbieramy owoce téj polityki, która, zaprosiwszy do Polski cudzoziemców w przewidywaniu, że stworzą przemysł i handel polski, obdarzyła nas Niemcami i Żydami. I dziś takie zyski osiągnęliśmy z kolonizacyi, — że gdzie wielki przemysł istnieje, tam mamy Niemców, gdzie wielki handel i bieda—tam Żydzi.

Do pewnego stopnia usprawiedliwiamy ten stan społeczny mieszczaństwa, błędy i braki tłumaczymy nieprzyjaznymi okolicznościami, które od początku istnienia miast bytowi ich towarzyszyły; ale nie upoważnia to obecnych pokoleń do opuszczania rąk i do usprawiedliwiania swojej beczynności nagromadzonemi w przeszłości przeszkodami.

Przystępując do rozpoznania społecznych stosunków miast naszych, winniśmy zwrócić uwagę na jedną okoliczność. Ogólnego, jednolitego rysu stosunków mieszczaństwa, nie można przeprowadzić, z uwagi na stanowisko Warszawy, wybitnie wyróżniającej się pod każdym względem w swej działalności, co wynika z jej stanowiska jako miasta głównego, będącego zbiornikiem cywilizacyi, ludności i bogactw. Osobny zaś rozdział poświęcić Warszawie byłoby niewłaściwem, boć i nasza metropolia nie samemi anielskimi przymiotami się odznacza.

Zaprzeczyć nie można, że wrodzona zacność charakteru, moralność obyczajów, zamiłowanie życia rodzinnego, uczciwość—stanowią tło, na którym rozwija się życie ludności miast naszych. Mówimy teraz o żywiole rodzimym, który już odtąd głównie będziemy mieć na względzie. Od wyższych sfer począwszy a skończywszy na klasie rzemieślniczej i robotniczej, nie znajdziemy tutaj tego niepomiernego zbytku, rozpusty i pijaństwa, które tak

często cechują miasta zagraniczne, zwłaszcza wielkie. Robotnik i rzemieślnik są pracowici, rachują się z groszem; w warstwach tych bieda niejednokrotnie w oczy zagląda, nędza nigdy; oni to stanowią najzdrowszy żywioł ludności miejskiej. Jeśli warstwy mieszczaństwa, umiarkowaniem życia i oszczędnością się odznaczają, nie kładźmy tego na karb ciężkich czasów, gdyż te przymioty spadkowo przechodzą z pokolenia w pokolenie, bo mieliśmy i mamy bogatych mieszczan a nie trwonili oni i nie trwonią odziedziczonego lub nabytego mienia. Jakże rzadko trafia się bankructwo przemysłowe miejskiego właściciela nieruchomości, bogatego rękodzielnika, jak szanują mienie, chociaż nie zapomniane jeszcze zupełnie przykłady starszej braci z zagona mogły szkodliwie oddziaływać na mieszczaństwo. Zdaje się, że jedyna korzyść przez kolonizycją niemiecką przyniesiona, to przykład oszczędności i pracy, których duchem przejęci pierwsi osadnicy miejscy, dobroczynne swe wpływy na ogół rozciągnęli. Rzadko bardzo trafiają się nadużycia lub kradzieże wśród robotników miejskich, rzadko przemysłowcy lub rękodzielnicy w interesach przekraczają prawa uczciwości i sumiennosci kupieckiej. Mieliśmy dowód w czasach, gdy rzemiosła nasze znalazły odbyć swęj produkcyi w Cesarstwie, jak zadowoleni byli tamtejsi odbiorcy, do chwili, aż i tu żydzi musieli się dać we znaki, podszywając się z tandentnym towarem pod firmy polskie.

Ogłada moralna i towarzyska obyczajów wyróżnia zwykle warstwy bardziej wykształcone od niewykształconych, [im niżej tem głębiej zarysowują się objawy złych instynktów, nawyknień, próżniactwa. Tego zarzutu najliczniejszej, choć mniej wykształconej i zasobnej warstwie mieszczaństwa naszego nie stawiamy. Jeden z najbardziej groźnych występków, pijaństwo, znaczniejsze szkody wyrządza, a żadnej akcyi przeciwdziałającej temu nałogowi, prócz nauk i przestróg kościelnych, nie było u nas i nie ma. Skromne zabawy niedzielne i świąteczne nie przybierają jednak zbyt gorszących rozmiarów, a jeśli owo poniedziałkowanie jest zwyczajem niepotrzebnym u wielu, jedyna to ich rozrywka i pociecha w ciężkiej pracy i co łatwo byłoby usunąć, gdyby wszyscy pracodawcy poczuli się w obowiązku, inaczej czas odpoczynku robotnikom i rzemieślnikom urozmaicać. Ten rys dodatni, o którym tu wspominaliśmy, nie jest tylko cechą Warszawy i większych miast prowincjonalnych, gdzie cywilizacyjne i moralne prądy łatwiej oddziaływać mogą, gdyż w najmniejszych osadach i miasteczkach przeciętna moralność obyczajów wiele dodatnich rysów przedstawia.

Między ujemnościami życia miejskiego, zwykliśmy zaliczać i tę niepomierłą ilość szynków żydowskich, mających być powodem rozpajania ludności. Rzeczywiście, ilość ich jest ogromna, ale mają one swoję specjalną klientelę. Przedewszystkiem ludzie słabi, źli

z natury, a takich jest wszędzie dosyć, łatwo podlegną namowom szynkarza-żyda, zaprzepaszczając w karczmach część swoją, mienie i zdrowie, takich stałych pijaków mamy w miastach po kilkunastu, w miasteczkach i osadach po kilkadziesiąt, kilkuset a i więcej, w miarę większego zaludnienia; sama jednak rdzeń ludności pijaństwu się nie oddaje. Złotem żniwem szynkarzy miejskich, to owe targi tygodniowe i częste jarmarki, na których chłopstwo rozpaja się strasznie. Wreszcie znaczna konsumpcya napojów wyskokowych u nas jest wypływem miejscowych warunków klimatycznych a tem samem odżywczych. Żydzi, nie mając na tem polu powodzenia innemi środkami dążą do wyzyskiwania i niszczenia mieszczaństwa; oszustwem na towarach, wyrobach rzemieślniczych i lichwą, która przybiera monstrualne rozmiary tam, gdzie praca normalnego kredytu nie ma.

Zwróciliśmy już uwagę na ujemne strony edukacyi, skutkiem czego rozwój nietylko umysłowy, ale umiejętność wyzyskiwania pracy na bardzo niskim stopniu stoją. Tyczy się to głównie profesyj ludności warstw średnich i niższych w miastach, a jeśli Warszawa pod względem rzemiosł stanęła wysoko, zawdzięcza to głównie temu, że napływający przez czas długi towar zagraniczny, stanowił wzór dla rzemiosł tutejszych, co właśnie jest dowodem wrodzonej zdolności naszych rzemieślników i że wreszcie posiada już miasto dziś szkołę rzemiosł i dobrą praktykę u majstrów, co wpływa dodatnio na fachowe uzdolnienie pracowników. Ale miasta prowincjonalne nie mają dobrych rzemieślników, tu i owdzie przybyły z Warszawy pracownik nieco dokładniej robotę wykonywa, nie należy on jednak do wyborowych rzemieślników, bo w takim razie nie opuszczałby wielkiego miasta i nie może być wzorem dla innych. Stan więc rzemiosł miejskich jest opłakany.

Sięgając wyżej, trafiamy na szeregi tak zwanęj pół-inteligencji. Są to ludzie, którzy ukończyli kilka klas w gimnazyum lub w szkole profesjonalnej: felczerzy, starsi dozorczy fabryczni, cała rzesza podrzędnych urzędników administracyjnych i sądowych. Żywioł ten mógłby pożytecznie oddziaływać na warstwy niżej stojące umysłowo, ale łączności między nimi nie ma i owa pół-inteligencya za nadto jeszcze nisko stoi, by jej nie przechodziły po głowie przekonania o wyższości nad tłumem, z którym obcować nie wypada. Następnie ta pół-inteligencya, po pewnym czasie zajęć praktycznych, traci ową odrobinę wiedzy, którą ze szkół wyniosła. Robią się z tego rutyniści, dla których wiadomości ogólne a nawet fachu ich dotyczący, są rzeczą zupełnie nieznaną. Jest to następstwo braku książek i pism peryodycznych dla ludności miejskiej przeznaczonych, a jedna „Gazeta Rzemieślnicza“, choć bardzo dobrze redagowana, w miastach prowincjonalnych bardzo mało jest czytana. W Warszawie, rzemieślnicy mają sposobność prócz swego organu, czy-

tywać i inne pisma, ale mały z nich pożytek, gdyż nie znajduje w nich rzemieślnik tego, co się tyczy jego zajęć i poglądów. Ale nadewszystko brak książek specjalnych dla rzemieślników i robotników; podręcznik odpowiedni nie tylko uczyć będzie, ale nawet, jeśli go umiejętnie ułożymy, uszlachetni i podniesie zawód, który przedstawia, wzmocni zamiłowanie do niego.

Sięgając znów wyżej, staniemy w obec inteligencji miast. Tu jeszcze dwa poddziały powinniśmy zrobić; ludzi ze średniem wykształceniem i nieliczną garstkę z wyższm, ale że ci ostatni choć prawdziwie dopiero na miano inteligencji zasługujący, drobnym są atomem w naszym życiu mieszczańskiem, ukoronujmy obie kategorie jedném wspólném mianem.

Korzystne wyróżnienie pod względem umysłowego rozwoju przedstawia Warszawa, co nie tylko wypływa z większego zamiłowania do studyów poważnych, ale jest następstwem znacznieszego nagromadzenia środków naukowych, wiadomości z całego świata cywilizowanego i przenikania wiedzy w szersze warstwy mieszczańskie. W samej rzeczy, nie możemy narzekać, by nam w Warszawie brakło zupełnie środków kształcenia się inteligencji, bo Warszawa posiada pewną ilość szkół specjalnych. Nie wypełniają one całego programu, ale w każdym razie takie zakłady jak szkoła handlowa, szkoły techniczne przy drogach żelaznych, instytut muzyczny, kilka szkół prywatnych z klasycznym i realnym kierunkiem, odpowiednia ilość gimnazjów i progimnazjów męskich i żeńskich, oraz szkoła realna, zaspakajają do pewnego stopnia potrzeby najgwałtowniejsze. Przytem częste odczyty i pewien ruch naukowy, będący właściwością każdego wielkiego miasta, nadają Warszawie fizyognomię cywilizowanego miasta.

Jeśliśmy zrobili zastrzeżenie, mówiąc, że do pewnego stopnia Warszawa zasługuje na nazwę wyżej rozwiniętego umysłowo miasta, to uczyniliśmy to dla następujących powodów. Nie można zaprzeczyć, że nie mamy w sobie samodzielności krytycznej, nie stać nas na samowiedzę w szerszym zakresie. Jako naród czerpiący pierwiastkową wiedzę z zagranicy, przechowujemy do dziś dnia z bałwochwalczą czcią wszystko, co od niej przychodzi. Cokolwiek nosi w sobie markę zagraniczną, jest dobrem, wyróżniającem się, korzystnem. Więcej nawet jak do towarów czujemy pociąg i zamiłowanie do strawy umysłowej zagranicznej, i bez względu na to, czy rzecz dobra, czy zła, byle tylko francuzko-niemieckim sposobem przyrządzona, smakuje nam doskonale. W tém więc widnieje nasz bezkrytycyzm, nieumiejętność w wyborze dzieł naukowych i przyczyna braku samowiedzy. Dziwimy się często i ubolewamy, że oryginalnych dzieł naukowych tak mało mamy, że badaczy już nie genialnych, ale prawdziwie uczonych kraj nie wielu posiada. Bezkrytycyzm nie umiejący o niczem samodzielnego zdania wydać, idyotyzm

zagranicznych skrybentów publicystycznych, przyjmuje za arcydzieła, pracę polskich pisarzy lekceważy a brak samowiedzy nie pozwala mu zrozumieć, że posiadamy w sobie dość sił, by samodzielnie pracą nadać naszym badaniom naukowym piętno rodzime.

Stosunki prowincjonalne natomiast pod względem umysłowego życia bardzo wiele przedstawiają do życzenia. Prócz nielicznych szkół średnich, rządowych i prywatnych, nie spotykamy żadnych innych instytucji naukowych, co więcej ludność miast prowincjonalnych nie odczuwa potrzeby takich instytucji; nie stara się własnymi siłami tworzyć stowarzyszeń, dążących do ożywienia i wzbogacenia umysłowego życia miasta. Owe resursy po większych miastach, mające być miejscem umysłowych i towarzyskich rozrywek, są karcjarniami i fajeczarniami i żadnych naukowych, estetycznych, wogóle cywilizacyjnych celów nie popierają. Tylko w karnawale resursy są miejscem, gdzie się śmietanka miasta zbiera, by potać się, pobawić się kosztem bliźnich i rozejść znów na długo. Przez resztę zaś roku resursa jest klubem męzkim, wywołującym te następstwa, że rozrywa stosunki towarzyskie obojga płci, że odciąga klubistów od życia rodzinnego. Oprócz bilardów i stolików do kart, inwentarz owych resurs nie wiele obejmuje; parę gazet stanowić ma źródło potęgi naukowej miasta, odczyty, koncerty rzadko się tu pojawiają, a wszak niedawno w jednym z miast, gdy komitet resursy kupił nowy fortepian w miejsce dawnego zniszczonego, ojcowie miasta kwestyą gabinetową z tego zrobili. Bardzo więc słabem tętnem bije etyczne życie miast a inteligencya ich takim szacunkiem przejęta dla wszystkiego, co zagraniczne, że szkoda wielka, iż nie nadążuje zagranicy w dobrém. Jakież porównanie naszych miast z zagranicznymi być może. Tam prawie wszyscy umieją czytać i pisać, pisma i książki rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy; najmniejsze miasteczko posiada bibliotekę i najrozmaitsze stowarzyszenia, tam przybytki życia są świątyniami, tam bije tętno życia ludzkości—a u nas apatya mgłą otacza zakątki parafialne.

Jednym z głównych czynników życia społecznego, zaznajamiającym ogół ze zdobyczami wiedzy, jest prasa. Jeśli zagranica miano siódmego wielkiego mocarstwa prasie nadała, cóżby w takim razie u nas za tytuł dla niej wymyślić? Za granicą siódmym mocarstwem stała się prasa ze względu na wpływ, który na stosunki polityczne wywiera, ze względu na to, że dużo pism, jako inspirowanych i subwencyonowanych, służy za organa rządowe i służy nietylko do wyjaśniania myśli tych rządów, ale częstokroć używają jej do różnych manewrów dyplomatycznych lub obalamowania rządów i ludów. Słusznie więc po części nosi prasa zagraniczna to miano, ale u nas, gdzie polityka zasadza się na przepisywaniu wiadomości o stosunkach zagranicznych, zdawałoby się, że nie możemy mieć pretensyi, by prasa nasza zajęła stanowisko kierownicze i programowe. Skoro prasa nie wypełnia głównych zadań dzie-

nikarstwa, sądzą niektórzy, że o wiele też szczuplejszy ma zakres działania, i dla tego wpływu należytego wywierać nie może. Ze tak jest u nas, zaprzeczyć trudno; że tak być nie powinno—każdy światlejszy i głębszy umysł dobrze to rozumie. Żadna prasa nie ma tylu zadań poważnych co nasza, nigdzie nie koncentrują się w niej do tego stopnia wszystkie interesy kraju, potrzeby, pragnienia. Mieszczactwo nasze, nie rozporządzające specjalnymi urządzeniami, któreby ułatwiały i opiekowały się prasą, pozbawione instytucji ekonomicznych i społecznych, musi uważać prasę za wyraz swych opinii, za przedstawiciela swych interesów. Czy prasa polska może być uważaną za tę orędowniczkę i przedstawicielkę miast, czy suma jej usług zaspakaja sumę potrzeb ogółu? Nie zupełnie.

Cofnąwszy się myślą do chwili, w której rozrost liczebny naszej prasy tak bardzo się zwiększył, znajdziemy może wytłomaczenie przyczyn, które od początku tego wzrostu aż po chwilę obecną czynią prasę naszą zbiorem prac dość nawet poważnych, ale nie na wiele krajowi przydatnych, a niekiedy nawet robią ją kołem, za pomocą którego powierzchowność lub nieuctwo miesza strawę niezdrową, błędną i szkodliwą. Nie mamy tu na myśli żadnych stronnictw, ale odnosimy uwagi powyższe do ogółu publicystyki, do oświaty mieszczaństwa naszego.

Idzie nam o prasę, któraby urzeczywistniała pragnienia i potrzeby ludności miejskiej, któraby była kierownikiem i opiekunem wszystkich warstw miejskich. Łatwo zrozumieć, że prasa, której znaczenie dla ogólnych stosunków wykazaliśmy, stanowi o wiele potężniejszy czynnik tam, gdzie niebezpieczeństwo zamarcia społecznych, umysłowych i ekonomicznych pojęć grozi pewnej warstwie narodu.

Prasy takiej nie mamy—nie mamy organów miejskich. Trudno bowiem nazywać pismami miejskimi „Kuryery“ i inne codzienne wydawnictwa, są to bowiem przeważnie organa informacyjne, mówiące o wszystkim powierzchownie¹⁾ i bez poważniejszych kierunków. O ile pisma takie potrzebne są dla wyższych i średnich sfer miasta, stanowią bowiem ważne źródło informacyjne, o tyle dla niższych wielce są szkodliwe. Połowa ludności miejskiej Warszawy umie czytać i ta połowa, nie mając nic innego, pochłania wiadomości z pism brukowych; bo chociaż zdawałoby się, że biedniejsi nie są w stanie opłacać prenumeraty, czy w formie pożyczki, czy zbiorową opłatą, znaj-

¹⁾ Oburzające zbrodnie akuszerki Sk. odkryte w połowie lutego r. b. wskutek pożaru na ul. Siemnej pobudziły prasę codzienną do zajmowania się kwestyą domu podrzutek w Warszawie; ale żaden z piszących nie korzystał z gruntownego studium prof. Ant. Okólskiego, pod tyt. „O domach podrzutek“ (drukowanego w „Bibliotece Warszawskiej“ 1889-go r. Zesz. za miesiąc styczeń i luty), gdzie kwestyą tą mamy obszernie przedstawioną na podstawie badań naukowych.

dują się w posiadaniu tych pism codziennych. Co za pożytek z tego wypływa? Żaden—tylko straty. Czytając brukowe pismo, robotnik znajdzie w nim wiadomości o teatrach, koncertach, balach, o zabawach bogaczy, a nadewszystko, co najgorsze, opisy zbrodni, samobójstw, kradzieży, nadużyć, rzadko opis szlachetnego czynu, a nigdy coś takiego, coby go pouczyło, umoralniło i do pracy zachęciło.

Nieodczowności takich pism popularnych dla miast, tylko u nas nie pojmują. Nie w miastach, ale w miasteczkach zagranicznych, wszystkie warstwy czytają pisma miejskie, w których dla każdej znajdzie się rzecz pouczająca. Należałoby koniecznie założyć dla niższych sfer ludności miejskiej, pismo tanie, które nie zawierałoby żadnych banalnych wiadomości, ale donosiło zrozumiale o rzeczach ogólnego znaczenia: o życiu miasta, a nadewszystko o wszystkich działach pracy, którym czytelnicy się oddają. Tu właśnie byłoby miejsce dla objaśnienia czytelnika o wynalazkach i udoskonaleniach w rzemiosłach, o znaczeniu pracy, o korzyściach z niej, z jednoczesnym wykazywaniem potrzeby moralnego, zjednoczonego i gorliwego spełniania obowiązków.

Przy dobrej chęci, Warszawa mogłaby łatwo organ taki wydawać, ale co do prowincyi, ani myśleć, by się ona na pismo dla mieszczan zdobyła. Dość przypatrzeć się obecnym kierunkom prasy prowincjonalnej, w której—prócz „Gazety Radomskiej“, „Gazety Łódzkiej“, „Kaliszanina“, bardzo umiejętnie redagowanych i obejmujących interesy wszystkich warstw—reszta poważniej o sprawach mieszczzańskich nie mówi. Wiadomości dzienne, sprawozdania z balów i koncertów, od czasu do czasu żądanie poprawienia mostku lub postawienia lampy—oto i wszystko. Ale wiadomości o rzemieślnikach i robotnikach, o potrzebach miejscowego przemysłu, o oświacie, o higienie miasta, rzadko spotykamy. Tak samo życie inteligencji miejskiej z jego poważniejszej strony, rzadko kiedy bywa przedmiotem gruntowniejszego rozbioru. Pisma te, dla zapewnienia sobie bytu, zajmują się interesami wsi. Na to rada tylko jedna, jeśliby w Warszawie założono pismo dla mieszczczeństwa, mogłoby ono również uwzględnić potrzeby prowincyi, mieć w miastach korespondentów, a znaczenie ich dla tego byłoby większe, że łączyłoby całe społeczeństwo miejskie w jedno wielkie koło.

(Dok. nast.)

Z KRWAWYCH DNI.

NOVELA

przez K. G.

IV. *).

Nazajutrz wieczorem, po dwóch robrach whista i kilku party szachów, obsiedliśmy znowu Bolesława.

„Dla lepszego zrozumienia dalszego ciągu mego opowiadania, rozpoczął Bolesław, — pozwólcie państwo, że was przeniosę na kilka miesięcy przed zgodzeniem się Lucy na to małżeństwo, na chwilę do Paryża.

Były profesor angielskiego języka Maryi Laurenceau, późniejszej hrabiny de Crécy, — po zamążpójściu swjej uczennicy wyjechał do Ameryki i tam, poznawszy się z bogatym Brazylijskim plantatorem, przyjął posadę nauczyciela do jego nieletniego syna.

Młody Galmain, o miłej, pełnej wyrazu twarzy, łagodnego usposobienia, podobał się niezmiernie plantatorowi; gdy zaś, po nagłej śmierci dziecka, którego przez trzy lata był mentorem i ojciec poszedł zaniem do grobu — otwarty testament zrobił profesora dziedzicem olbrzymiego mienia kolonisty, Galmain wrócił do Paryża i odrzuciwszy najświetniejsze partye, które mu przedstawiano, pozostał nie żonaty, poświęcając się dobremu uczynkom i nauce. Raz, podczas chmurnego listopadowego poranku 1869 r. siedział w gabinecie swego pałacyku, położonego śród ogrodu w cyrkule Luksemburskim, gdy lokaj przyniósł mu wizytową kartę na tacy.

*) Dokończenie. Zob. Zeszyt na mies. luty r. b.

Galmain wziął ją i przeczytał: August de Nortonville.

— Nie znam zupełnie! mruknął nie kontent, że mu przerwano czytanie. Nie przyjmuję.

Lokaj był starym sługą jego rodziny; rzucony z musu w dniach niedoli—odnaleziony teraz, używał przywilejów doradcy, prawie przyjaciela.

— Szkaradue ma ten jegomość spojrzenie, choć bardzo przystojny z twarzy, odparł starzec. Podczas pańskiej z nim rozmowy, będę tu w bliskości—ale, przyjąc go potrzeba;—powiedział bowiem, że nieustąpi i wejdzie choćby siłą.

Serce profesora ścisnęło jakieś smutne przecucie, choć nie przypuszczał nawet z kądem miał wypaść cios wymierzony. Nieboszczyk, jego dobroczyńca, pozostawił pasierbów, ludzi wątpliwéj moralności, awanturujących się z Traperanii w lasach Missouri sądził, że napaść z ich zawiści pochodziła; podejrzewał jakiegoś wysłańca wydziedziczonych...

— Proś go! rzekł, próbując machinalnie baterii rewolweru i kładąc go w prawą kieszeń szlafroka, którym był odziany.

Nortonville był wzrostu wysokiego—nosił mocny czarny zarost, siwiejący miejscami; przyroda obdarzyła go niskim bardzo czołem, szerokimi brwiami i pełnym ognia, ale nieszczerem spojrzeniem.

Wszedł śmiało i gdy spytał go Galmain, czém mu służyć może, w miejsce odpowiedzi rzekł chłodnym, bezdźwięcznym głosem:

— Czy mam zaszczyt mówić rzeczywiście z p. Pawłem Galmain, b. profesorem angielskiego języka w Lyonie?

— Tak panie, odrzekł zapytany.

Wtedy porucznik, milcząc, wydobył zapisaną ćwiartkę papieru z kieszeni i położył ją przed gospodarzem domu na biurze.

— Racz pan przeczytać tę kopię znanego mu zapewne listu.

Galmain rzucił okiem na podany sobie papier i zbladł okropnie: oto bowiem co zawierało złowieszcze pismo:

„Jedyny mój Pawle.

Tak więc, kość rzucona — za pięć tygodni będę żoną tego człowieka — z musu niemal hrabiną de Crécy-Brissac! Mogłabym sama, gdy przyjdiesz jutro na lekcję, oznajmić ci o tém nieszczęściu, ale... nie mam odwagi. Dla szczęścia i spokoju ojca, muszę zrobić ofiarę. Wczoraj upadłam mu do nógi wyznałam miłość moję dla ciebie! pogłaskał mię, uśmiechnął się pobjażająco i odpowiedział: że takie koleje każda prawie pensyonarka przejść musi, lecz że w świetnych kołach, w które mię hrabia wprowadzi, szybko zapomnę.

Wtedy, miałam odwagę wyznać mu, że należę do ciebie... i znów ten sam uśmiech pobjażania pojawił się na jego twarzy.

— Hrabia za tytuł swój bierze twoje miliony, słuszném więc jest, abyś i ty miała coś w zamian za poświęcenie swoje, którego dla naszego wspólnego szczęścia wymagam od ciebie! odparł spokojnie. Tylko cię proszę, Maryo—bądź ostrożną... przynajmniej do dnia ślubu—odpowiadam za ciebie. Potém, rzecz to już hrabiego!

I ja mam odwagę pisać ci te słowa Pawle! Nie sądzę przekonań mego ojca! mój Boże, on po swojemu pojmuje szczęście i pragnie go dla mnie gorąco... Jest nieubłagany... cóż tedy pocniemy, nieszczęśliwi? Jego zimna krew i to lekceważenie najdroższych moich uczuć... to wszystko zabija mię...

Przyjdź jutro wcześniej... oddalę miss Créthon... posłę ją po sprawunki jakie...

Że ja jeszcze od wczoraj nie dostałam obłąkania!

Na wieki twoja, Marya“.

Podczas gdy Galmain pozostawał chwil kilka w niemém osłupieniu, de Nortonville, z szatańskim wyrazem twarzy, lecz z łodowatém spojrzeniem śledził za wrażeniem, jakie na nieszczęśliwym wywarła kopia tego listu.

Milczeli obydwa, obrzucając się wzrokiem — jakby wążąc wszystkie za i wszystkie przeciw przyszłej, śmiertelnej walki.

Nakoniec profesor pierwszy przerwał grobową ciszę, panującą w gabinecie.

— Ten list jest w pańskim posiadaniu? spytał, usiłując zapamiętać nad sobą.

— I szesnaście innych jeszcze — z których trzy, dowodzące prawie, że Gaston, przyszły hrabia de Crécy, nie ma żadnego prawa do tego tytułu i...

Galmain porwał się z miejsca wściekły z oburzenia, ściskając konwulsyjnie kolbę rewolweru.

— I... dwa pańskie, z niewymowną troskliwością zapytujące o zdrowie malca... ciągnął najspokojniej porucznik, nie spuszczać oczu z twarzy i nie tracąc ani jednego z ruchów profesora.

— Jeden z nas umrzeć musi koniecznie!... ryknął Galmain, tracąc przytomność prawie. Hola, Andrzeju, dwie szpady i otwórz okiennice w zbrojowni!

De Nortonville ruszył wzgardliwie ramionami.

— Pan myślisz zapewne, że ze studentem masz do czynienia?

— Listy lub życie!

— Ani jedno, ani drugie, póki się co do pewnych punktów nie porozumiemy! odparł spokojnie bandyta, wskazując rozkazującym prawie ruchem krzesło swemu gospodarzowi. Siądź pan i posłuchaj mnie uważnie, a wierzaj... porzuć twe wojownicze plany;— śmierć moja listów ci nie zwróci... bo nie mam ich przecie przy sobie.

Nieszczęśliwy powziął nagle postanowienie.

— Znajdę je w twojem mieszkaniu, nikczemniku! ztąd nikt nie nie usłyszy, a w pałacyku, w téj chwili, tylko my i Andrzej jesteśmy!

Wydobył rewolwer i skierował go ku pierśiom porucznika.

— Zabić, będziesz mnie pan miał czas zawsze, przy tak sprzyjających okolicznościach! odrzekł szyderczo, zagrożony; lecz z chwilą méj śmierci, złamiesz życie do dziś ubóstwianej kobiety — napiętnujesz hańbą czoło twego... syna.

— Co chcesz powiedzieć? szepnął Galmain, drżąc mimowolnie.

— Listy pańskie i listy hrabiny, których posiadanie zaraz ci wytłumaczę — są wszystkie, w jednym pakiecie, złożone u pewnego notaryusza tu w Paryżu. Jeżeli dziś w południe, nie przyjdę do niego — to będzie znaczyć, że mnie... o s t u d z o n o — jutro rano hrabia de Crécy będzie podziwiał ich styl i tchnące gorącą miłością wyrażenia.

Trudno, trzeba było ustąpić konieczności.

Galmain, którego te kilkanaście minut rozmowy z Nortonvillem złamały zupełnie — ocierając piękne swe czoło, zimnym potem oblane, upadł bezwładnie na fotel, upuszczając rewolwer na dywan.

Podniósł go oficer, schował do kieszeni i poczekawszy aż Galmain do zmysłów powróci:

— Niedawno temu, hrabiostwo wyjechali na tydzień do Lyonu, zaczął znów mówić, — a że służba była nowa w zamku Crécy, prosili mię, jako przyjaciela domu, o tymczasowe zamieszkanie ich wspaniałej siedziby.

Błądząc raz po apartamentach, zaszedłem i do sypialni hrabiny, której progu p. de Crécy, już dawno nie przekracza i tam, przypadkiem natrafiwszy na ukrytą w złoconej ściennéj rzeźbie sprężynę... dostrzegłem w otwartéj skrytce małą hebanową szkatułkę, która mnie bardzo zaciekała.

— I popełniłeś pan nową podłość... wyłamaniem?

Zacny porucznik obruszył się widocznie.

— Za kogóż to mnie pan bierzesz, panie Galmain, odparł beczelnie. Wszakże mówiłem, że tydzień cały miałem przed sobą. Znam się trochę na ślusarstwie... Oh, jako amator tylko... dorobiłem kluczyk i...

— Podły! mruknął Galmain przez zęby.

De Nortonville ukłonił się, jakby mu pochlebstwo powiedziano.

— I... sam pan teraz widzisz, jak nierozważnie postąpiła hrabina, zachowując pańskie listy i nie niszcząc własnych, zwróconych jéj wspaniałomyślnie.

Lecz profesor odzyskał już całą przytomność umysłu i godząc się ze straszliwem położeniem, postanowił teraz jaknajprędzej skończyć tę, oburzającą godność ludzką scenę.

— Do rzeczy, mój szanowny panie! przerwał podnosząc głowę. Domyślam się, że chcesz pieniędzy... ile?

— Masz pan rzadki dar odgadywania, powinszować. Wystawisz mi pan zaświadczenie — zaświadczenie notaryalne — lubię bowiem niezmiernie te wszystkie formalności prawne — że w dniu mego ślubu z paną Lucy de Crécy-Brissac...

— Pan z nią się żenić zamierzasz... pan?

De Nortonville wyprostował się jak struna, pogładził czuprynę i pokręcił napoleonkę.

— Hrabianka żyć bezemnie nie może! odparł zupełnie poważnie.

Piorunujący, pełen niemęj wściekłości wzrok Galmain'a, zatrzymał mu resztę słów na ustach.

— A więc?

— Wypłacisz mi pan... widzisz, Gaston, jako pierworodny, większą część fortuny dla siebie... biednej Lucy zaledwie milion fr. przypadnie posagu, a ja.. ja nienawidzę liczb nieparzystych... wypłacisz mi pan więc... milion drugi...

— Czy podobne brudy i łotrowstwa są familijne w pańskiej rodzinie? spytał miążdzącym tonem profesor, mierząc pogardliwym wzrokiem porucznika.

— Nie panie! odrzekł, nie mrugnawszy nawet okiem bohater bastyonu Małachowa — mam zaszczyt być pierwszy...

Zaiste, panowie, przerwał opowiadanie Bolesław, gdybym całej tej sceny nie słyszał z ust samego Galmain'a, nie wierzyłbym, że podobni Nortonville'owi ludzie istnieć mogą na ziemi.

I powiedzieć, że do fatalnej chwili uatrąfienia na sprężynę skrytki, porucznik był człowiekiem honoru.

Czyby twierdzenie Darwina prawdą było: że pewne cienie równie jak i światło strony naszego usposobienia zawdzięczamy dziedziczności, która czasem zasypia wieki całe, aby potem tym straszliwiej rozbudzić się w dalekiej odrośli zapomnianego w ciągu setek lat zbrodniarza.

Nie wiem — do dziś jednak pojąć nie mogę, jak człowiek mający stanowisko w świecie i choć niezbyt znaczne, z tym wszystkim jednak wystarczające mienie — mógł postąpić tak niegodziwie.

Niezbadane są tajemnice ludzkiej natury!

— Lecz jakaż pewność, że listy istotnie wręczone mi zostaną? spytał profesor — opowiadał dalej mój rodak.

— Moje słowo honoru! rzekł bezczelnie porucznik.

Tym razem, Galmain już odpowiedział ukłonem.

— Nie, panie. Mój notaryusz, człowiek uczciwy, akt wia-

domy sporządzi, wymieniwszy w nim liczbę moich i jój listów, oraz nazwiska stron i nazwisko piszących, a wierzytelność ich mojemu pozostawiona będzie uznaniu.

— Panie!

— Mógłbyś pan podrobić listy, jak ów klucz do szkatułki— jeżeli również jesteś amatorem i pięknego pisma jak ślusarki— zakończył mówiący, wstając i dzwoniąc na lokaja.

— Andrzejul dodał— wyprowadź tego pana— ja będę jutro u mego notaryusza o jedenastej rano. Oto adres...

Odwrócił się do porucznika plecami.

*

*

*

Podobnie nędzna komedia, z małemi tylko zmianami, powtórzyła się w buduarze hrabiny de Crécy.

Nieszczęśliwa kobieta także zgodzić się musiała na wszystko, tém bardziej, że szlachetna Lucy, podsłuchawszy rozmowę, zakleła matkę, aby przyjęła jój ofiarę.

— Musisz mną gardzić, moje biedne dziecko! szepnęła pani de Crécy, po wyjściu łotra.

Dziewcze zarzuciło matce obie rączki na szyję, okrywając twarz jój łzami i gorącemi pocałunkami.

— Kochałabym cię teraz więcej jeszcze, gdyby to było możliwe. Cierpiałas dotąd sama, to smutne! Lżej nam cierpieć będzie we dwoje.

Gdy jednak przybyłem do zamku Crécy, nic jeszcze nie wiedziałem o właściwej przyczynie nieszczęść, które groziły rodzinie hrabiego.

Około południa, służący, przez szereg wspaniale umeblowanych apartamentów powiódł mię do jadalnej sali.

Hrabina z córką, przyszły tam już przed chwilą.

Znalazszy się wobec kobiet, które widziałem raz pierwszy w życiu, w obec kobiet, na których twarzach malowała się boleść i rozpacz (hrabia bowiem uprzedził je o wszystkiem)—nie wiedziałem prawie co począć z sobą. Szukałem wzrokiem generała; nie było go jeszcze w jadalni.

Wybawiła mię z kłopotu Lucy.

Z dziecinną otwartością podchodząc ku mnie, podała mi swą drobną rękę i rzekła smutnym, lecz czarująco melodyjnym swym głosem:

— Gaston kochał pana jak brata; czy chcesz przyjąć nasze przyjaźń? z serca ci ją ofiarujemy.

I duże jój, czarne oczy, wilgotne jeszcze od łez przed chwilą przelanych, zatrzymały się na mój twarzarzy.

Niedola, z tego dziecka, zrobiła dojrzałą kobietę. Wzrok jej był dziwnie badawczy; jak gdyby chciała przeniknąć mnie aż do głębi.

Takim sposobem, obowiązkowe głębokie ukłony i chłodne wyrazy towarzyskich formułek były odrazu pominięte.

Gdy przyszedł pan de Crécy, zastał nas już dobrymi znajomymi.

V.

Darembieym wam opisywał Lucy. Pięknością może być i brzydota — gdyż sąd tu zależy od osobistego smaku i poglądów osobistych. Inaczej sądzi artysta, inaczej zwykły śmiertelnik, a inaczej jeszcze zakochany. Ja np. nie lubię panien, których wdzięki ilością funtów obliczać trzeba. Venus Milo jest dla mnie marmurem, przedstawiającym olbrzymią masę ciała zdrowego, kształtnego względnie do swych rozmiarów — lecz próżnym w nim szukał prawdziwych niewieścich powabów. Gdy widzę kobietę, mającą 1 m. 70 cm. wzrostu, odpowiednio rozwinięte barki, piersi i biodra. — rumiane, pełne policzki i kasztanowate na głowie splety, powiadam sobie: będzie dobrą matką i karmicielką — gospodynią domu, która się nie ulęknie dźwignąć wiadro wody, lub wsunąć chleb do pieca; w razie potrzeby rozewiertować udziec wołowny lub dosadnie rozstrzygnąć silną ręką każdy spór domowy. I takie są potrzebne w społeczeństwie, na mnie jednak nie robią wrażenia.

Może za idealne i za śmieszne mam na wiek dzisiejszy poglądy, ale, o ile w kochance cenię zewnętrzną budowę, o tyle w kobiecie, która się ku temu celowi nie nadaje, lubię słabe strony — przepadam nawet za niemi.

Lucy, była, dla mnie przynajmniej, prześlicznym okazem francuskiej arystokratki. Średniego wzrostu, szczupła, w miarę blada, jasnowłosa z czarnymi oczami, przedstawiała mieszaninę słabości i siły — smutku i wesela — łez i uśmiechu. Wzrok jej, przez łzy siał iskrzące promienie, w uśmiechu przebijała się tęsknota — w głosie naiwność dziecka — w ruchach rozważa dojrzałej kobiety.

Wychowana w klastorze, powinna była wyjść z niego bigotką lub swawolnicą; idąc za przykładem matki, nie pytać polubionego człowieka, czy ją do Mairie zaprowadzi. Rzecz dziwna jednak, pięcioletnie zamknięcie, posty, modlitwy, rekolekcyje — przykład błędnych, wynędzniałych sióstr, żalujących nieraz może wyrzeczonych ślubów, lub rozpaczliwe poddanie się losowi... wszystkie te wrażenia spłynęły po dziewiczej szacie Lucy, jak pierwsze mętne

potoki natury. Nieletnia jeszcze pensyonarka, wśród biedniejszych koleżanek, marzącychową sławną, „l'armoire à glace“ która jest, jak to dowcipnie de Banville utrzymuje: „l'infirmité de la femme“—śniła dużo miłości, upojeń może i trochę ciszy i spokoju w przyszlém życiu na swobodzie. Zbadawszy tajemnicę matki, powiedziała sobie: jestem pewna, że ten, którego pokocham, będzie tak szlachetny, iż nie przyjmie podobnej ofiary.

To było wiele i już same te wyrazy wymownie malują nam piękny charakter dziewczyny.

Gaston za życia był dla dwóch kobiet wszystkim prawie: umarły—pozostawił po sobie wspomnienie czią otoczone.

Byłem jego przyjacielem, gorąco przez konającego poleconym—cóż więc dziwnego, że miesiąc nie upłynął jeszcze od czasu mego przybycia do Crécy, a już zaskarbiłem sobie przyjaźń hrabiostwa i może żywsze nawet uczucie pięknej Lucy.

Inaczej być nie mogło. Dziewczę, postawione wobec człowieka, który w niem wzbudzał wstępl i odrazę—gorzej: bo wzgardę, i drugiego, o którym brat ulubiony pisał do rodziców: kochajcie go, obdarzcie waszą przyjaźnią, bo na to zasługuje—wybierać musiało koniecznie, a wybór był z góry jeden już tylko możliwy.

Ja sam przywiązałem się do siostry mego przyjaciela i silny tēm uczuciem, wierzyłem, że dziś czy jutro wszystkie przeszkody przełamie.

Trzeba mi jednak było wiedzieć tajemnicę rodziny, gdyż czułem, że coś w tym rodzaju istnieć musiało. Inaczej bowiem, zgodziła—żeby się hrabiaka być żoną takiego Nortonville'a.

Będąc ciągle prawie w towarzystwie tēj rodziny—od pierwszego dnia widziałem rodzące się uczucie—śledziłem jego wzrost—pojmo wałem straszną walkę, toczącą się w sercu Lucy. Czyż bowiem mogła wtajemniczyć mi w smutną przeszłość matki—powiedzieć o swęj własnej ofierze dla jēj spokoju? De Nortonville przewidział i to nawet, że może kiedyś obie kobiety zapragną wyłamać się z pod jego władzy; zabezpieczył się więc odpowiednio tym sposobem, że z dniem jego śmierci lub tylko zamachu na jego plany lub osobę—listy zawsze miały być wręczone generałowi.

Ja jednak, nie znając podówczas przeszłości,—postanowiłem oddać Lucy list Gastona.

W początku drugiego miesiąca mego pobytu w Crécy—siadzieliśmy pewnego wieczora na parterowym, obszernym balkonie lewego skrzydła zamku, wgłębionego w odwieczne klony parku. Tego właśnie dnia sam otrzymałem z kraju list i fotografię jednę z mych sióstr stryjecznych, wychodzącą zamaż w Galicyi. Kuzynka Tadzia była prześliczna, a list, przez omyłkę, hrabinie zaniesiono.

— Jaki pan szczęśliwy, rzekła nagle Lucy—z powodu niepamięną już, jakiego zwrotu rozmowy.

— Dla czego?

— Że pan ma drogich sercu którzy, z tak daleka i tak często pisują do pana.

Szczególna myśl powstała mi w głowie.

— Niewiele takich pozostawiłem w mym kraju, odparłem; w tym jednak razie odgadła pani że pisząca, jest drogą memu sercu.

Rzuciłem przelotnie wzrokiem na twarz hrabianki. Lekko pobladała— uśmiech był trochę przymuszony.

— Pewnie... siostra? rzekła z niejakiem wahaniem.

— Narzeczona... i portret mi swój posyła.

Wyjąłem z kieszeni fotografią.

— Może panie obejrzą... typ słowiański! dodałem podając portret hrabinie.

Lucy wstała pośpiesznie i odwracając się, abym nie widział jej twarzy, rzekła głosem cichym, a mimo to tak nienaturalnym, że i hrabina, podnosząc głowę, spojrziała na nią uważnie.

— Zmrok już—każę przynieść światło—tak nic nie widać...

Gdy podano herbatę, (letnią porą podawano ją zwykle w saloniku hrabiny), przyszło pokojowe dziewczę, oświadczając, że Lucy czuje mocny ból głowy i dla tego pozostanie u siebie.

Rozmowa rwała się co chwila; hrabia był ponury, markotny trochę— on, zwykle jednakowego, dość wesołego usposobienia; hrabina spoglądała często na mnie, gdy sądziła, żem w inną stronę był obrócony.

O północy rozeszliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz, używając przechadzki w parku—na ławce, przy wejściu do naturalnej, prześlicznej groty wapiennej, zastałem Lucy samą, z książką w ręku.

Gdym podszedł i powitał ją, po skinieniu mi głową wstała, i chciała oddalić się. Wziąłem ją za rękę i przymusiłem siąść prawie.

Dla czegoś nas pani wczoraj, tak nagle opuściła? dla czego płakałaś tak dużo, że aż na oczach dziś jeszcze pozostały ślady? rzekłem, zniżając głos, lecz prędko, nie dając jej czasu do opamiętania się.

Puść mię pan! odparła—czerwieniąc się—usiłując wysunąć swą drobną rączkę z mych dłoni.

— Nie prędjéj, aż mi pani powie prawdę.

— Nie masz pan litości nademną! wyszeptala zalewając się łzami.

Wyjąłem list Gastona i otwarty włożyłem jej w ręce.

Przeczytajmy go razem, rzekłem otaczając ją, niebroniącą się wcale, mojem ramieniem.

Darujcie, że nie nie opisuję mojego szczęścia.. bezgraniczno

było i może dla tego właśnie, los mi je wydarł tak prędko.

Po przeczytaniu listu — biedna Lucy wszystko mi wyznała. Dziewczę taką miało wiarę w dnie weselsze — taką dziwną szczerłość prawie, że wynajdę sposób rozbrojenia nikczemnika — iż nie wahało się ani chwili złożyć w moje ręce honoru swój rodziny.

— Powiem o wszystkim mamie! będzie nas odtąd troje. A jakie to będzie szczęście! dodała klaszcząc w ręce, w porwywie nagłej nadziei, gdy ten brzydki człowiek usunie nam się z oczu!

W biednej, dziwna była mieszanina dzieciństwa i poważnych myśli dojrzałej kobiety.

O ile mogłem, podtrzymywałem potem w obu kobietach nadzieję, choć mówiąc prawdę, sam, wobec takiego sprycu porucznika, nie miałem wielkiej wiary w powodzenie.

W dwa dni po opisanych wypadkach, hrabia oznajmił nam, że otrzymał list od Nortonville'a, i że jego przyjaciel najdalej za miesiąc powróci.

Nie było więc czasu do stracenia. Wymyśliwszy jakąś ważną osobistą sprawę, pojechałem na tydzień do Paryża, tu bowiem tylko Galmain mógł mi być pomocnym — nikt inny. Zabrałem ze sobą mój, i oba drugie listy Gastona.

Przeczytał je drżąc, ze łzami w oczach na myśl o niewidzianym nigdy synu, którego tak wcześniej zabrała kula Beduina. Gdy przeczytał — powstał i podał mi obie dłonie.

Stary Andrzej, o wszystkim uwiadomiony, prosił, żebyśmy go przypuścili do narady.

Normandzki ten wieśniak, przy szóstym swym krzyżyku, zachował całą przytomność umysłu i przebiegłość swych rodaków, a prócz tego sprężystość mięśni i niepospolitą siłę.

Po dwóch godzinach, spędzonych na rozbieraniu tej nieszczęśliwej sprawy — nic nie uradziliśmy, wszystkie bowiem nasze zamysły rozbijały się o fakt nagi, — że z chwilą jakiego bądź zamachu na osobę lotra, papiery wpadną w ręce hrabiego.

A możeby mu dać półtora miliona lub dwa nawet? rzekłem, złamany myślą naszej bezsilności. Ja mu chętnie odstąpiłbym posag Lucy.

— To daremne! odparł Galmain, wstrząsając głową, on i tak dwa miliony otrzyma a Lucy za nic w świecie się nie wyrzecz.

Tu, słuchający dotąd Andrzej, zabrał głos nagle i wyłuszczył nam swój plan ataku na wspólnego wroga.

Było to coś szalonego w pomysle — szaleńszego jeszcze w wykonaniu, lecz bez wątplenia, z pomyslnym skutkiem w perspektywie.

Galmain spojrzał mi pytająco w oczy.

— To jedyne srodek, szepnąłem, mimowoli błędąc na myśl już samą, jedyń, ale...

— To straszne bezprawie?.. to równa podłość... gorsza jeszcze może!

— Bah, wtrącił chłodno Normandczyk. Sposób to dawniej uświęcony! dziśby go jeszcze odnowiono, gdyby można.

Sądzę, rzekłem,—że groźba już sama wystarczy! Takie łotry zwykle drżą na myśl samą niezawodnej śmierci,

— Bił się tam w Krymie, dzielnie, jak mówią!

— Eh, wojna, to inna rzecz zupełnie! odrzekłem.

— Zresztą, pozwólcie panowie, mówił Andrzej, zrobić doświadczenie; jak groźbą nic nie wskóramy...

Obrzuciłem ciekawie wzrokiem starego sługę; podobne bowiem pomysły w głowie wieśniaka i... starca, niepojętemi się wydawały.

— Nie dziw się poręcznikowi! odparł Galmain; Andrzej ma stare rachunki; w rodzinie biedaka, przed laty, rozegrał się dramat straszliwy...

— Au fait! rzekłem—jeżeli prawo nie ma władzy nas bronić, sami bronić się musimy; ja jednak, pod żadnym pozorem ręki do tego dzieła nie przyłożę.

— Przecież tu o pańską narzeczoną... kobietę, którą kochasz i jej matkę idzie.

— Podobne czyny nie leżą w mój naturze. Chcesz pan, to wyzwę tego łotra—gdy odmówi, strzelę mu w łeb, jak psu i pójdę pod sąd wojenny, ale tym sposobem... nigdy.

Patrzył na mnie zdumiony. Nienawidził tak Nortonville'a, iż nie pojmował różnicy między środkami, wszystkie były dlań dobre.

Nie dziwiłem się temu. Wszakże miał ongi odwagę zrzec się ukochanej córki przmysłowca — przez lat dziesiątki nie dać znaku życia—nie widzieć syna, aby nie narazić drogich sercu. Dziś, obcy podejmował się ohydnej roli donosiciela, jednem słowem chciał zburzyć szczęście tylu osób. Ja nie miałem tych powodów nienawiści — powiem otwarcie: czułem, iż nie byłbym zdolny...

— Róbcie co chcecie, zakończyłem—ja odmawiam stanowczo pójść tą drogą. Z zresztą, uprzedzam was, że, w razie nie udania się sprawy—sąd przysięgłych i z pięć lat galer was czekają, a rodzinę de Crécy... wieczna sromota! Napad nocną porą na dom mieszkalny, nocną porą—to u nas drogo kosztuje.

— Kto nic nie waży, ten i nic nigdy nie ma, zakończył zajęty sługa.

VI.

Listem do hrabiego, tak ułożonym, żeby z jego, na pozór, obojętnej treści, biedne kobiety pojąć mogły, że zbliża się chwila

ich oswobodzenia, zawiadomiłem mieszkańców de Crécy, że z górą miesiąc jeszcze może zmuszony będę przemieszkać w Paryżu—gdzie, rzeczywiście, rozgościłem się u Galmain'a, a na tydzień przed powrotem Nortonville'a, o którym mi Lucy uwiadomiła, wysłaliśmy przodem Andrzeja.

W trzy dni podążył tam i Galmain; ja, zostałem w Paryżu, oczekując rezultatu dziwnaczej wyprawy.

La Briche, posiadłość Nortonville'a—była prześliznym pałacykiem, niegdyś przystankiem myśliwskim księcia de Clareville—cała ukryta w olbrzymim lesie, z jedną tylko, od wioski, prowadzącą do niej drogą.

W odległości pięciuset metrów od mieszkalnego budynku, był maleńki pawilonik w parku, nad stawem—niegdyś cieplarnia—zamieniony przez porucznika na skład starych niepotrzebnych rupieci.

Bandyta, przed wyjazdem do Włoch, oddalił z trzech tylko ludzi składającą się służbę — konie zaś i psy swoje oddał do Crécy, tak więc, w chwili gdy Andrzej znalazł się w tej okolicy —pan de Nortonville, chwilowo w posłudze do małego chłopca, syna węglarza, ograniczony — przejrzawszy piękne świadectwa Normandczyka, przyjął go na kamerdynera i polecił nawet zawierbowanie reszty potrzebnych w pałacyku ludzi.

Lokaj Galmain'a, przebrany, ze starannie wygoloną twarzą, i krótko obciętemi włosami — był nie do poznania, nawet gdyby de Nortonville, podczas swój bytności u profesora w Paryżu, zauważył był starca z sumiastemi wąsami, długą brodą i t. d.

Był pochmurny wieczór czerwcowy—zanosiło się na burzę—powietrze przepelnione elektrycznością, nie poruszone najlżejszym wiatrem, tamowało oddech prawie.

Dla uniknienia podejrzeń, zrobił Galmain cztery „lieues“ konno i dostał się, około północy, przez wyłom w murze do parku La Briche, przedzierając się po ścieżkach leśnych, wydeptanych przez węglarzy i waziutkie furki kradzionego nocą chrustu.

Światło na okrągłej wieżycyce pałacyku, miało być hasłem, że wszystko gotowe.

O pierwszój, ukryty w owym pawilonie Galmain, dostrzegł zapaloną lampę, w wieżowém okienku, podążył tedy przez zarośla, ku stopom oszklonej galeryi.

W progu czekał nań Andrzej.

— Włóż pan maskę, rzekł: mnie i mego głosu nie zna przecie —będzie myślał, że zamach w zamiarze kradzieży...

— To niepotrzebne; i tak wiedzieć przecie musi, o co nam idzie.

Sługa ruszył ramionami.

Jak pan sądzi — odparł, on śpi teraz... z rewolweru wy-

jąłem wszystkie ładunki. a kindżał i szpady nad łóżkiem, małemi żelaznemi skobelkami przytwierdziłem nieznacznie do ściany.

Zresztą — wszystko gotowe.

Dwóch minut od wejścia Galmain'a do palacyku nie upłynęło, a już bandyta był silnie, mocnemi rzemieniami skrępowany.

Wydawał straszne ryki — szamocząc się jak opętaniec; obaj jednak napadający byli silni — nienawisć do lotra zdwajała jeszcze ich siły — przytém już śpiącego, zdołali obezwładnić porywając go pętlcami rzemiennymi za ręce.

.

W szkatułce, z tyłu łoża, są moje pieniądze!.. bełkotał pieniając się z wściekłości.

— A nam co po nich? odparł drwiąco Normandczyk — nam wiadomój panu paczki, z listami hrabiny de Crécy potrzeba.

De Nortonville umilkł nagle i popatrzył na nich szyderczo.

— Daremnieście sobie, moi kohani panowie, zadawali tyle pracy — wiecie, że listy u mnie się nie znajdują, a moja śmierć nawet...

— Zobaczmy to zaraz! zawołał Andrzej. Że jednak czas nagli, wyluszczyć panu, wyluszczyć więc nasze żądania, jak można najkrócej — słuchaj pan uważnie:

1. Wydasz pan dobrowolnie wszystkie listy;
2. Napiszesz zrzeczenie się ręki hrabianki Lucy i napiszesz odpowiedni list w tój mierze do hrabiego;
3. Zwrócisz akt notaryalny wystawiony ci przez p. Galmain w Paryżu i napiszesz formalne zrzeczenie się korzyści zeń w przyszłości;

4. Wystawisz nam tu akt, że co do popełnionej na twój osobie gwałtu. zrzekniesz się wszelkich poszukiwań prawnych, uznając żeś lotrem pierwszego rzędu, nikczemnikiem, jakich mało i że cię spotkało tylko to, na co zaślugujesz;

5. Uczynisz zeznanie, że dnia... i t. d. popełniłeś w sypialni hrabiny de Crécy-Brissac w zamku de Crécy kradzież dokumentów, za pomocą podrobionego klucza, nocną porą i t. d.

Złożony w fotelu de Nortonville, z niepojętą zimną krwią wysłuchał tego szeregu warunków.

— Tylko tyle? odparł z wybuchem dzikiego śmiechu? No, panowie, skończcie już tę komedią, bo ona nudzić mnie zaczyna; brałem was za artystów, tymczasem widzę, że jesteście zwykli jarmarczni kuglarze. Ale, ale — za mocno trochę skrępowaliście mnie! dodał spokojnie, odwracając głowę.

— To pańskie ostatnie słowo? spytał go równie spokojnie służący Galmain'a.

— Najostatniejsze. A i śmierć moja wam nie pomoże. Oh,

ja dobrze wszystko ułożyłem i obmyślałem! mówił z chłodnym cynizmem, lecz z płomieniami w krwią zabiegłych oczach.

Mimo to, wyznał, że paczka z listami jest złożona u p. G..., notaryusza w Orleanie, oddalonego o trzy lieues od la Briche.

Andrzej pozostał na straży nędznika, Galmain zaś, dosiadł swego wierzchowca i popędził do miasta, gdzie, rozbudziwszy urzędnika, mimo nocy, otrzymał od niego żądany depozyt. Na wezwaniu było wyraźnie: *w y d a ć n a t y c h m i a s t o w o*.

Nad ranem, gdy wrócił—oba opuścili pałacyk. Po drodze do stacyi kolejowej wstąpili do węglarza i polecili mu, zostawiając sto fr. za fatygę, aby udał się natychmiast do La Briche, gdzie, jak mówili, p. de Nortonville potrzebował ich koniecznie.

*

*

*

W tydzień po wyżej opisanych wypadkach, Lucy promieniająca szczęściem, rzuciła mi się w objęcia.

Nortonville, po wysłaniu listu do generała, w którym oświadczył, iż wiedząc niechęć doń hrabianki, zrzeka się jęj ręki, bo hono r nie dozwala mu unieszczęśliwiać córki swego dobroczyńcy—otrzymawszy 300,000 fr. od Galmaina, zniknął bez śladu z La Briche.

Pan de Crécy-Brissac złościł się trochę—groził nawet, ale w końcu uległ błaganiom żony i łzom Lucy i pobłogosławił nas oboje.

Spodziewano się wojny niebawem—ściągano urlopowanych—powoływano pod broń czasowo uwolnionych—ułożyliśmy tedy, że ślub nasz odbędzie się po powrocie armii... z Berlina.

Biedni Francuzi, oszukani przez Le Boeufa i posła swego w Berlinie, co do sił wroga i niechęci doń południowych Niemiec—marzyli sześciotygodniową wycieczkę za Ren i tryumfalny powrót ze stolicy Teutona.

VII.

Okoliczności jednak na spełnienie mych najgorętszych życzeń nie dozwoliły.

Wezwany do Tulonu na spotkanie mego pułku, wracającego z innemi z Algieryi—musiałem pożegnać gościnne mury de Crécy—pożegnać narzeczoną, pocieszając ją tylko nadzieją rychłego powrotu.

Po krwawych dniach Sedanu, z których Mac-Mahon, wypłynął jako nowy „Chevalier sans peur et sans reproche“—choć do

dziś nikt nie wie, dla czego po radzie wojennej w Châlons, (na której cesarz miał tylko głos doradczy), jako naczelny wódz, z zimną krwią wprowadził armią swoją w pułapkę—między innemi i pułk nasz, zdziesiątkowany trzykrotną szarżą na hanowerskie armaty, pod St. Privat, dostał się w niewolę. Mój szwadron jednak, sprowadzony do ilości pięćdziesięciu tylko koni—około wieczora przedarł się ze sztandarem, korzystając z zamieszania i zapadającej nocy, i po piętnastu dniach trudów i nadludzkich wysileń, dla uniknięcia spotkania z kolumnami Teutonów, dotarł nareszcie do Orléanu, gdzie były już kadry pułku, sprowadzone z Konstantyny.

A właśnie i dla środkowej armii zbliżały się także dni klęsk i upadku.

Hr. de la Motte-Rouge, cofał się uporczywie przed Bawarami—oddawał im najlepsze pozycje bez boju; rzucając nareszcie w Orléanie piąty batalion legii zagranicznej, przeważnie z Polaków złożony (dowódzca Major Arago), dwie kompanie 36-go pułku liniowego, batalion mobilów Girondy i cztery działa—sam, w siedmdziesiąt tysięcy ludzi i 120 dział, opatrzonych kompletem ostrych naboju, patrzył z założonemi rękami na heroiczną obronę winnic przedmieścia Banniers, nie chcąc posłać w pomoc tym nowym Spartanom francuzkich Termopyłów, jednego działa—jednego nawet żołnierza.

Gdy nazajutrz, o świcie, na dymiących zgliszczach do z bombardowanego przedmieścia, zatknęto sztandary najezdника—generał z salonów przedmieścia S-go Germana, umiejący podobnie jak i następca jego drugi hrabia d'Aurelles de Paladine, wyczekiwać tylko—drapnął haniebnie, rozprasząc lub rostawiając, „à la garde de Dieu“ swekohorty.

Wtedy do resztki mego pułku, zabarykadowane z garstką pieszych strzelców w zamku Crécy, postanowiły łącznie z generałem i jego rodziną, bronić się do ostatka.

Huk dział odmłodził generała,—nadzieja niesienia ulgi nowym nieszczęśliwym ofiarom walki, wywołała żywsze barwy na twarz mojej Lucy, zajmującej się skrzętnie obowiązkami nadzorczeni zamkowego ambulansu.

Pierwsze trzy dni przeszły nam na umocnianiu i tak już, dzięki przyrodzie, silnego stanowiska—na sypaniu ziemnych wałów—uzbrajaniu murów w kilka dział uprowadzonych—przemianie niższych okien w strzelnice—zastanianiu wyższych faszyną i układaniu stosów darniny pod zerwanym dachem głównej budowy i obu pawilonów.

Ozdoby pysznych apartamentów hrabiego, jako to: dzieła sztuki, cenne jedwabne lub korduanowe obicia i gobeliny, malachitowe wierzchy stołów i konsol, wspaniale rzeźbione złożone lamperye, kosztowne ze skalnego kryształu świeczniki, starożytne brązy, zbroje, bronie, całe stopy srebra i t. p. starannie upakowane

spuszczono do lochów i zamurowano ich wejścia, dla uchwycenia tych skarbów przed grabieżą. To samo zrobiono z posadzkami z różanego i cedrowego drzewa, z weneckimi lustrami w ciężkich srebrnych oprawach, z odrzwiami i gzemsami kominów, na które składali się przez ciąg wieków pierwszorzędni rzeźbiarze-artysci. Tysiąc rąk, bez przerwy, dzień i noc pracowało; gdy zaś pozostały już tylko nagie mury, hrabia z uśmiechem uściśnął nam rękę, mówiąc: „teraz niech przyjdą! prędzej się tu zagrzebię, niż dozwolę zatknąć białą chorągiew na wieży mej siedziby“.

Czwartego dnia, o świcie pierwsze bawarskie granaty utknęły w stosach ziemi nagromadzonej na miejscu rozebranego pokrycia zamku. Po południu, pierwsza kolumna szturmowa, pod przykryciem baterii, osypującej zamek pociskami, podstąpiła pod tarasę, jedyną przystępną stronę tej, na przedce zaimprovizowanej reduty. Dopuszczona na sto metrów prawie, przyjęta została morderczym ogniem pięciuset chassepot'ów; przystawiających mimo to szturmowe drabiny zacierzewionych Niemców, ugoszczono strumieniami nafty, wylanęj na rzucone w ich szeregi, zapalone wiązki lucywa. Nam samym drżały ręce i pot zimny spływał po czołach, na ten widok okropny i straszliwe skutki morza płomieni, pośród których wiły się ciała osmalone—pękały z głuchym łoskotem kartaczownic, całe torebki uabojów żołnierzy... W pół godziny później, pochyleni na poręczy tarasy, posyłałiśmy spokojnie, z nienawiścią w oku, ostatnie strzały za cofającą się garstką niemców, z których kilku tarzalo się z płonącą odzieżą po rozmięklej od deszczu ziemi.

Po co te łotry przywlekli się do Francyi?

Nazajutrz przysłało parlamentarza, który oświadczył naszemu naczelnikowi, że jeżeli nie zaprzestaniemy strzelać wybuchającymi kulkami ze sztucerów amerykańskich, i używać nafty—to, po wzięciu zamku, wszyscy jeńcy będą rozstrzelani.

— Zapewne! najpierw jednak zdobyć ten zamek potrzeba! mruknął p. de Crécy-Brissac w odpowiedzi; i odwrócił się plecami do parlamentarza.

Obłączonych dział c i p a n o w i e z sobą nie mieli — po dwóch więc jeszcze nieudanych napadach, głodem nas wziąć postanowiono. Zapasy tylko na dni piętnaście były obliczone; lecz granaty pruskie, burząc lewy pawilon zamku, w którym je złożono, zmniejszyły ilość ich o tyle, iż dla przedłużenia na dni kilka strasznej chwili poddania—po pół racyi tylko rozdzielano.

A czyż wam mówić potrzebuję, ciągnął dalej zniżając głos mój przyjaciel — że duszą obrony była moja Lucy?

Dziewczę, wyszłe za ledwie z dzieciństwa, kilka miesięcy niedoli ojczyzny—widok krwi tak na marne przelewanej—widok poświęceń i tyłu ofiar, obok niedołęstwa wodzów francuzkich przerobili na bohaterkę.

Mimo prośb i zakleć rodziców i moich, czas cały u łoża rannych przepędzała; gdy zaś zagrzmiały rusznice lub deszcz pocisków zionął śmierć lub kalectwo do kola—w ogniu i dymie pękających granatów, jak anioł pociechy i zachęty, można było widzieć moją piękną narzeczoną, często gnącą się pod ciężarem opartego o nią rannego żołnierza, którego w bezpieczne miejsce przeprowadzić należało. I powiedzieć, że na bladym licu dziewczyny była wieczna pogoda, czarne oczęta, rzucające strumienie promienną nadziei, patrzyły na goszczącą wśród nas śmierć, bez trwogi—koralowe usta siałały słowa pociechy—rączki rozdzielały żywność, leki i bandaże.

Pan de Crécy, nie chcąc pozbawiać Lucy jej panińskiego apartamentu—kazał w nim pozostawić wszystko jak było; że zaś jej salon i sypialnia, na urwiska i nie dostępne wąwozy części parku nad Loarą były obrócone—niemieckie granaty, na ten pawilon wymierzone, padały wszystkie prawie do parku, lub wezbrane fale Loary. Dziewiątego dnia obrony, Lucy, cierpiąca trochę, wcześniej się położyła i w jej to sypialni, na stoliku przysuniętym do łoża, podano obiad, około ósmej wieczorem. Na zewnątrz szalała straszna jesienna burza. Wiatr rzucał strumienie deszczu na kolorowe, w ołów oprawne szyby wysokich okien w gotyckim stylu; kilkowiekowe olbrzymy parku, trzeszczały pod naciskiem nieustannej nawałnicy. Za Loarą błyszczały dogasające ognie wroga, jak sądziliśmy, smołą podtrzymywane; z drugiej strony, z wioski zajętej dnia poprzedniego, w krótkich odstępach odzywały się działowe strzały, pojedyncze, nie przynoszące nam żadnej szkody. Spożywając obiad, rozmawialiśmy o okropnym naszym położeniu—układaliśmy plany na jutro, troskali się o los armii, od której żadnych nie było wiadomości. Lucy była tego wieczora, przeciw swemu zwyczajowi, trochę smutna; czarne jej źrenice zachodziły łzami, spoczywały na mej twarzy co chwila, drobna dłoń szukała mej ręki bez ustanku.

Właśnie tylko co zdjęto nakrycie ze stołu i podano czarną kawę, gdy nagle, na wewnętrznym dziedzińcu zamkowym uderzono w wielki dzwon alarmu i ozwał się ogłuszający huk wymienianych z błyskawiczną szybkością karabinowych strzałów. Bawarskie bronie, ze starych na odtylcówki przerobione i jeszcze za pomocą pistona i kurka dające wystrzały, miały przy wybuchu, głos zupełnie odmienny od naszych chassepot'ów i sztucców amerykańskich; jakież tedy było nasze zdumienie, gdy w jednej chwili, rozoznaliśmy ich głuchy łoskot w obrębie zabudowań.

— Niemcy wdarli się do zamku!—ryknął, generał chwytając rewolwer z bliższej konsoli i wybiegając z sypialni. Hrabina zemdlała. Ja jednak, nim zdołałem wyjść z osłupienia, poczułem na szyi rączki mej Lucy, okalające mnie z namiętną rozpaczą, i głos jej pieszczotliwy, szepczący w łzach, które mi twarz rosily:

— Mój jedyny, zostań tu... ja się boję!

— Lucy! mój obowiązek tam! — odparłem, z żalem starając się uwolnić z roskosznego objęcia.

— Chwilkę, chwilkę jeszcze!... — modliła nieszczęśliwa.

Złote pierścienie dziewczycy, przytulone do mój twarzy, oddech mi tamowały — żelazny ucisk miękkich ramion narzeczonej, mimo tak straszego położenia, zażęgał w żyłach płomienie. A na dworze była wrzawa upornej walki, ogłuszający grzmot wystrzałów i przeciągłe „hura“ wroga. Nagle, purpurowe światło pożaru, łamiąc się w snopy o najdzikszych barwach płomieni, wdarło się do sypialni; — kilkanaście kul, trzaskając szyby balkonowego okna, wprowadziły za sobą potoki deszczu, iskier i dymu doprzed chwilą tak cichęj, pełnej spokoju komnaty. Z nadludzkiem wysileniem, składając ostatni pocałunek na marmurowo białem czole Lucy, wyrwałem się siłą z jej objęcia. Jednocześnie prawie padł strzał z drugiego końca sypialni, i w złowrogiem świetle pożaru dostrzegłem człowieka... Trzymał dymiący rewolwer w prawicy, kierując go ku mój piersi, wykrzywiając twarz szatańskim iście uśmiechem. Lucy, chwytając się oburącz za łono, wydała jęk głuchy i padła na poduszki bez życia.

Cwierć minuty nie upłynęło, a już miałem pod sobą rozbrojonego mordercę.

— Nortonville! jesteś podły... bo zdrajca! mruknąłem przykładając mu do ucha jego broń własną, wyrwaną mu przed chwilą.

Odwrociłem głowę, ściskając kolanami i lewą ręką, jak w kleszczach, rozbójnika.

Czarne, szeroko rozwarłe oczy Lucy spoczywały na mój twarzy — ale te oczy były jak szklane — bez tych roskoszných promieni, które im taki ponętny wyraz nadawały.

Dwóch moich huzarów wpadło do sypialni.

— Związać tego łotra! krzyknąłem, puszczając Nortonville'a — należy do szubienicy. A co tam z bojem, na dziedzincu?

— Nous sommes en train d'achever cette canaille! — odparł jeden, ocierając pot i krew z czoła. — Dwustu z nich ktoś wprowadził przez podziemie z myśliwskiego pałacyku „La Briche“; łotry, pawilon tu na przeciw zapalili, ale, na szczęście, odcieśliśmy ich od tego podziemia. Zaraz się wszystko skończy.

Niebieskie upusty zastąpiły wybornie sikawki pożarne, a nasi...

— Ależ Lucy! ta biedna pańska narzeczona... co z nią się stało! przerwała Matylda, nie mogąc doczekać się końca z ust Bolesława.

Młody człowiek odwrócił głowę, może aby ukryć łzy, lub stłumić westchnienie.

— Czuję jeszcze na ustach jej ostatni pocałunek,—szepnął cicho—i kwiatek mam zerwany na jej mogile.

.

Długo siedzieliśmy w milczeniu, marząc o krwawym dramacie słyszczanym przed chwilą—pełni spółczucia dla człowieka, którego życie tym sposobem zostało złamane.

— A ten... de Nortonville? spytał pan Y..., chcąc wiedzieć wszystko aż do końca.

— Nazwisko zdrajcy i jego osobę—kończył Bolesław—kazałem ukryć przed wzrokiem hrabiego, który byłby za bardzo cierpiał, dowiedziawszy się, że jego zbawca i przyjaciel, dla zemsty—do tak niskiej zszedł roli.

W trzy dni potem — wróg, zagrożony oddziałami generała Chanzy — odstąpił ze wstydem obłężenia; ja zaś, cofając się na Salbris, wprowadziłem jeńca z resztką mego szwadronu.

Ze stryczkiem na szyi, przywiązanego do końskiego ogona, powlokłem nędznika, z napisem „*traître*“ na plecach.

Na sądzie doraźnym, zwołanym na bandytę, pełniąc obowiązek kapitana raportera ¹⁾ zażądałem kary śmierci przez powieszenie — dla przykładu. Wykluczono go tedy z armii, pozbawiono stopni, krzyża i stanu cywilnego przed frontem brygady.

Morderca Lucy, słysząc hańbiący wyrok, oniemiał z wściekłości i bólu. Zażądał mówić ze mną—rzucił się na kolana, błagając, abym mu zostawił rewolwer, odrobinę sinku potasu lub jakie bądź zresztą narzędzie, dla odebrania sobie życia.

W odpowiedzi, kazałem mu założyć na barki kaftan bezpieczeństwa.

— Zastrzelenie Lucy — rzekłem wychodząc z więzienia—to czyn osobistej zemsty — od biedy dającej się pojąć; ale sprowadzenie bandytów z za Renu do zamku debroczyńcy!...

De Nortonville mdlał dwa razy pod szubienicą, ale go, na mój rozkaz, otrzeźwiono.

Wieszano go bez kaptura, wolno—kończył Bolesław z niesłychaną dzikością w głosie—upoważniłem kata, aby nałożył na ręce swe rękawice i kat powiedział mu, iż czyni to dla tego, że lęka się skalać dotknięciem... zdrajcy.

*

*

*

Po wyjściu Bolesława, p. Y... przystąpił do mnie, wziął za rękę i powiódłszy w kąt sali, gdzie ciemniej i puściiej było...—Panie Z... szepnął cichym, złamanym głosem: moja biedna Matylda ko-

¹⁾ Capitaine rapporteur—rodzaj prokuratora.

cha pańskiego przyjaciela! w tej chwili to i zapewne za późno dostrzegłem. Powiedz mi, co się z tem dzieckiem stanie?

— Czy mam wybadać Bolesława?

— Nie wiem sam; cóż ja wiedzieć, czego teraz żądać mogę? Zabrał mi serce Matyldy...

— Uczynię, co będzie można! odparłem, ściskając dłoń zacnego gospodarza.

Nic się jednak uczynić nie dało! Gdybym zaś dziś musiał odpowiedzieć, na to pytanie czemuśmy się wtedy obaj nie poženili, czemu w odjeździe dobie, gdy nas łzawe żegnały spojrzenia, gorących dłoni uściski i ciche, lecz wymowne „do widzenia“—tak cudnymi usteczkami wymówione — w kłopotliwem znalazłbym się położeniu.

Czemu?

Któż pyta, czemu o wiosnie wracają do swych siedzib ptaki wędrowne, w rodzinnej stronie ścielą gniazda i w rodzinnej stronie szukają towarzyszek życia?

Każda obca, jeżeli dobrze znana, mile dźwięczy mowa; w upojeniach miłości równie zachwyca: „je t'aime“ jak „ich liebe dich“ i klasyczne „t'amo“ cudnej ojczyzny Petrarcki, ale... gdy dłonie mają być na zawsze związane, gdy po życiu na żart, z dnia na dzień, po życiu burz i huraganów, należy zacząć życie pracy, pracy dla drugich może, — gdy nas nareszcie wiatr pól rodzinnych owionie, rokoszne z lat dziecinnych ożyją wspomnienia— wtedy, upaja... jedna tylko mowa!

O DROGACH BOCZNYCH

pod względem ekonomicznym.

PRZEZ

C. R.

Prawo o drogach bocznych czyli dojazdowych¹⁾, mające w niedługim czasie wejść w wykonanie, wywołuje w prasie i w kołach bliżej tą sprawą interesowanych ożywione dysputy i rozliczne poglądy. Wzorem dla tego rodzaju komunikacji miały być drogi boczne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i rzeczywiście rosyjski projekt rządowy pod pewnym względem zapatruje się z tego punktu na ten system komunikacji wewnętrznej; należy więc poznać opinią specjalistów, o ile się zgadzają lub nie zgadzają na reformę według tego wzoru.

Mamy właśnie przed sobą dwa zeszyty „Prac wolno-ekonomicznego Towarzystwa“, zawierające pewne dane o tej kwestyi. W pierwszym p. Korolenko w artykule p. t. „O drogach bocznych“ stara się dowieść konieczności budowy szos zamiast dróg żelaznych,

¹⁾ Zastanawiając się szczegółowiej nad ekonomicznym znaczeniem dróg bocznych, łączących w widokach handlu i przemysłu, ogniska ruchliwszego życia gospodarczego z najgłówniejszymi środkami komunikacyjnymi, jakimi są najdłuższe krajowe lub międzynarodowe drogi żelazne, spotykamy się na samym wstępie z trudnością, której lekcwożyć nie można: mówimy o samej nazwie przedmiotu. Pisma polskie, które się tą sprawą zajmowały, uciekają się tutaj do rozmaitej nomenklatury, jako to: drogi dojazdowe, drogi podjazdowe, bocznice i t. p. Terminologia taka nie płynie jednak z ducha języka polskiego, który, według naszej opinii, dobrze to pojęcie maluje przez nazwę dróg bocznych. *Przyp. Red*

w celu ułatwienia dowozu zboża i innych produktów do stacyi kolei żelaznych. Główny argument autora stanowi wzgląd na to, że budowa szos umożliwi bardziej równomierny dowóz transportów; nie będą one leżyły na stacyach a ceny takiego artykułu jak np. zboża w miejscu produkcji, więć będą zbliżone do cen na rynkach centralnych. Każdy gospodarz stara się produkt swój dostawiać na rynek, a przedtém jeszcze na stacyą kolei, w czasie, gdy drogi są dobre, głównie na jesieni. Skutkiem tego gromadzi się ogromna ilość zboża na stacyach, czemu budowa ruchomych stacyi nie zapobiegnie, a i elewatory w zupełności zlemu nie zaradzą, gdyż mogą pomieścić pewną tylko ilość zboża. Prócz tego, jeśliby się nawet dało wysłać całą ilość zboża danój okolicy na centralny rynek przez utworzenie odpowiedniej ilości stacyi ruchomych, wywołałoby to z jednej strony taką obniżkę cen na jednym rynku, i taką podwyżkę frachtów morskich i lądowych na drugim, że cała operacya zyskuby nie przyniosła. Autor utrzymuje, że wszystkie te niedogodności można usunąć przez budowę szosowych czyli bitych dróg bocznych i podaje projekt uskutecznienia tej budowy. Nie rozbieając tu tego planu, nadmieniamy tylko, że uwagi robione przez autora o następstwach bezdroży rzeczywiście bardzo są ważne; lecz podane przez niego argumenty w obronie dróg bitych a przeciwko drogom żelaznym, nie są dostatecznie silne.

Zanim więć o tym projekcie powiemy, zapoznać się musimy z przeciwném zdaniem, p. Isajewa, pomieszczoném w drugim zeszytcie „Prac wolno-ekonomicznego Towarzystwa“. — P. Isajew jest zwolennikiem dróg żelaznych, a na jego zdanie należy dla tego większą zwrócić uwagę, że ostatnie postanowienia prawodawcze oddają pierwszeństwo temu właśnie systemowi komunikacyjnemu. (Postanowienie o drogach bocznych z ²⁶/₁₄ kwietnia 1887 r. ma na myśli drogi żelazne parowe i konne).

P. Isajew dowodzi, że w Stanach Zjednoczonych Ameryki komunikacya jest nadzwyczaj pospieszna, pomimo złych dróg zwyczajnych, a dzięki rozwojowi dróg żelaznych. Twierdzenie to powtarza kilku autorów. Tymczasem nie zwrócono uwagi na dowodzenia, utrzymujące, że przy rozstrzygnięciu takiego pytania, trzeba pamiętać, że idzie tu o drogi boczne a nie centralne. Dróg bocznych zadaniem jest ułatwienie transportu towarów miejscowych; nie mają one sposobności ściągania do siebie towarów z bocznych lub równoległych dróg gorszych. Następnie dużo zależy od ruchu towarowego i od wartości towaru (o ile ta wartość wpływa na wysokość taryfy). Ilość towaru zależy, naturalnie, od produktyjności miejscowych mieszkańców i od zaludnienia; wartość towaru głównie od zaludnienia. To znaczy, że im produktyjniejsza praca danój miejscowości, im ludność liczniejsza — tem stosowniejsze są nawet boczne drogi żelazne; czyli wydatek na kapitał zakładowy opłaci się ilością transportowanych towarów i w rezultacie na każdą jednostkę to-

waru wypadnie niewielki ciężar z ogólnego rozchodu na kapitał zakładowy. — W przeciwném położeniu, tj. przy małej produkcyjności i słabém zaludnieniu, rezultat będzie odmienny; skutkiem czego budowa kolei, jako dróg bocznych, pokaże się nieracjonalną, transport bowiem wypadnie drożej aniżeli mniej kosztowną, np. szosową drogą.

Do powyższych uwag dodać trzeba, że o ile w naszym kraju drogi boczne kolejowe mogą się okazać praktycznymi lub niepraktycznymi powyższe względy nie mogłyby być przeszkodą. Ogromne przestrzenie Cesarstwa pod względem produkcyjności stoją jeszcze bardzo nisko, a stepowe strefy i inne miejscowości słabo zaludnione. Królestwo zaś Polskie, gubernie północno- i południowo-zachodnie, wewnętrzne gubernie Cesarstwa i produkcją i zaludnieniem bogate, mogłyby przedsięwzięcie takie zastosować.

Nie podajemy tu wyliczenia kosztów porównawczych budowy dróg żelaznych i szosy, natomiast zaznaczymy niektóre uwagi krytykujące punkt wyjścia, który przyjmują projektujący budowę dróg bocznych żelaznych. Otóż wszelkie dowodzenia o możliwości budowy taniach dróg żelaznych, często bardzo powołujące się na przykład Stanów Zjednoczonych, opierają się na nieznamości rzeczy. Przedewszystkiem nie zwraca się uwagi na to, że ogromne przestrzenie ziemi darowane były drogom żelaznym w Ameryce bądź to przez rząd związkowy, bądź przez pojedyncze stany. Również pomija się zwykle i tę okoliczność, że tanie drogi są jednocześnie i niedokładne, że np. ruch niemi odbywa się o wiele wolniej, aniżeli po drogach kosztowniejszych;—inaczej też działać się nie może. Wreszcie, co najważniejsza, w Stanach Zjednoczonych, pomimo gęstości sieci kolejowych, nie ma zupełnie bocznych dróg żelaznych w rozumieniu, które wyżej przytoczono za przykładem specjalisty w kwestyi dróg bocznych (E. Saxa. Das Tra nsportwesen). Wyjątkiem jest tu kilka dróg we wschodnich (przy—atlantyckich) Stanach, np. w węglo—i żelazo—wytwórczym pasie Pensylwanyi, lecz tu i warunki są zupełnie odmiennie, choćby ze względu na gęste zaludnienie a zwłaszcza intensywność samej produkcji. Przy tém trzeba tu i o tém pamiętać, że obok dróg żelaznych są i szosy.

Utrzymują dalej, że między innemi stany Indjana Illinois rozwinęły swoją komunikacją do tego stopnia, że 1 mila drogi żelaznej wypada na 11 — 11,5 mil kw. przestrzeni, pomimo, że zaludnienie tych stanów wynosi 22 mieszkańców na wiorstę kw., gdy w Królestwie Polskiem 50, w guberniach południowo-zachodnich i czarnoziemnych Cesarstwa 38 mieszkańców. Ale tu mowa o rozwoju sieci dróg żelaznych w ogóle, bez rozróżniania dróg pobocznych od głównych. Często robi się złe porównanie między Stanami Zjednoczonymi a Cesarstwem i Królestwem; dla tego wykazać trzeba, o ile to porównanie w danym razie jest słuszne.

Podobieństwo między temi państwami upatrują w tém, że jedno i drugie przedstawia równiny, zamieszkałe przez ludność trudniącą się rolnictwem. Tymczasem według Kolba (Statistik der Neuzeit), w miastach z ludnością od 20000 (według spisu, który Kolb uważa za niedokładny już dla 1880 r.) było do 9,200,000 mieszkańców, co w stosunku do ogółu ludności 1880 r.—50,11 mil., stanowi prawie 18 proc., gdy przeciętnie w Cesarstwie bez Królestwa, ludność miast wynosi 10 — 11 proc. Zaludnieniu miast w Stanach Zjednoczonych sprzyjały: sposób osiedlania się ludności wiejskiej i napływ przeważnie ludności miejskiej z przemysłowych okolic Europy. Cyfra miejskiej ludności sama przez się ma wielkie znaczenie w wyborze tego lub owego systemu komunikacji; słusznie też utrzymują angielscy kolejarze (Cohn „Eisenbahn-Politik“), że ludność rolnicza w ogóle mniej ruchliwa aniżeli przemysłowa i że żadne obniżki taryfowe pasażerskiego ruchu między rolnikami nie wywołują. Również ruch towarowy koniecznie będzie żywszy przy większej ludności miejskiej; znaczy to bowiem większy rozwój miejskiego przemysłu. Fakt ten potwierdza statystyka.—Kolb oblicza na 2,7 mil. ilość robotników, zajętych w fabrykach i zakładach Stanów Zjednoczonych, gdy dla państwa Rosyjskiego wykazuje wszystkiego 685,000 ludności przemysłowej tj. o trzy razy mniej aniżeli w Stan. Zjed.; czyli: w Stan. Zjed. ludność miejska stanowi 5,3 proc., w Rosyi Europejskiej (licząc 80 mil.) 0,3 proc.

Lecz główna różnica między temi dwoma państwami zasadza się na sposobie rozsiedlenia się ludności, na położeniu zaludnionych miejsc na systematach prowadzenia gospodarstwa, zależnych w części od rozsiedlenia. W Ameryce nie ma wsi w naszym rozumieniu; tam każdy rolnik jest właścicielem lub dzierżawcą oddzielnej fermy, której grunta w najregularniejszej formie kwadratu, otaczają siedzibę. Dzięki temu, każdy fermer niezależny jest od sąsiadów w prowadzeniu swego gospodarstwa, od których o b o w i ą z k o w o ¹⁾ odgradza się płotami, lub okopuje rowami. Zwiększeniu produkcji sprzyja rozwój maszyn, których zastosowanie wywołało małe zaludnienie. Zwiększaniu intensywności i racjonalności amerykańskich gospodarstw, sprzyja wreszcie to, że fermerzy w znacznej większości, przynoszą z sobą znajomość udoskonalonej techniki krajów intensywnych (z Europy lub ze stanów wschodnich), następnie kapitały, potrzebne do wypełnienia zadania. W tych warunkach staje się możebnym, przy stosunkowo słabym zaludnieniu, wytworzenie nader wielkiej ilości produktów, której nie mogą dostarczyć Cesarstwo i Królestwo chociaż gęściej zaludnione. Masa wytworzone

¹⁾ Niogrodzone lub nieokopane grunta, według prawa, uważane bywają jako nie należące do nikogo.

go produktu stanowi materiał transportowy kolei żelaznych, a znaczenie tej produkcji zwiększa się jeszcze przez tę okoliczność, że fermer produkuje głównie dla rynków, nie zaspakajających swych potrzeb produktami własnej wytwórczości, co właśnie zastępują nasi włościanie.

Wreszcie, nie należy zapominać, że fermi amerykańskie powstają w bliskości dróg żelaznych. Wywołały to następujące okoliczności: 1) grunta oddawane darmo kompaniom dróg żelaznych (zwykle pasem szerokim na milę angielską wzdłuż drogi) sprzedawały kompanie fermerowi. 2) Zakaz urzędowy tworzenia wielkich posiadłości ziemskich, pozwalał żądającym się osiedlać w bliskości dróg żelaznych większe przestrzenie zajmować. 3) Osiedlaniu takiemu sprzyjało i to, że szło ono za drogą żelazną, t. j. droga przeprowadzała się często przez puste miejscowości, a w krótkim czasie otaczały ją fermi.

Taki sposób osiedlania usunął w wielu razach potrzebę dróg bocznych i pozwolił budować stosunkowo kosztowne drogi. Potrzeba dróg bocznych mimo to istniała i objawiała się tam, gdzie zajmowano przestrzenie bardzo oddalone od dróg żelaznych, to też w stacjach wschodnich sieć dróg szosowych jest bardzo gęsta (M. Sering „Amerikanische Concurrrenz“). Prócz tego, Stany Zjednoczone znalazły podstawę powodzenia dla dróg bocznych w elewatorach, które stawiano prawie na każdej stacji drogi żelaznej równocześnie z jej budową. Zakładanie elewatorów wywołane było koniecznością usunięcia tych niedogodności, które niedostateczna komunikacja wywołuje. Rzeczywiście, brak dobrze urządzonej dróg bocznych, zmusza do forsownego wysyłania towaru podczas pogody, kiedy i drogi są dobre. Ale też wtedy nagromadza się ogromna ilość towaru i drogom żelaznym pozostaje do wyboru: albo zwiększyć tabor, by jak najspieszniej towar ekspedycyować, lub wybudować składy, w których towar mógłby się gromadzić w pewnych ilościach, bez straty i dla samego towaru i dla jego właściciela. Koleje amerykańskie wybrały ten drugi, bardziej tani sposób — budowę elewatorów.

Zdaniem rosyjskich ekonomistów, tutejsze drogi, gospodarujące kapitałami, za których siłą produkcyjną odpowiedzialnym jest państwo, wolą zwiększać swój tabor ruchomy, gdyż nie je to nie obchodzi, że kapitał zatracony w tym celu, po skończeniu się jego krótkotrwałego pożytku, będzie leżyc martwo; procenty i amortyzacja a nawet rozchody na eksploatacyę, jeśli tego potrzeba, pokryje bezosobiste stworzenie, zwane kasą. To szkodliwe marnotrawstwo mogłoby w pewnych strefach państwa być usunięte przez budowę dróg bocznych prędkiej aniżeli przez elewatory. W Ameryce elewatory i dla tego były korzystne, że fermer nie tylko sprzedawał tam swój towar ale i zakupował potrzebne produkty, czego w państwie Rosyjskiem nie widzimy. Drugą przyczyną rozwoju elewatorów w Ameryce, by-

ła jednostajność produktów, nadsyłanych z pewnego okręgu; wiadomo bowiem, że tylko przy niewielkiej ilości odmian zboża można je przechowywać w składach, inaczej bowiem liczba komór powinna być tak znaczna i każda pomieszczałaby tak mało zboża, że utrzymanie elewatora byłoby niewygodnym. Wszystkie te okoliczności dają pierwszeństwo bocznym, dobrze zbudowanym drogom a nie elewatorom.

Takimi są poglądy specjalistów na drogi boczne i na elewatory.

Co do elewatorów, bezwzględne zaniechanie ich budowy nie podzielamy. Przedewszystkiem nie może nawet być mowy o tém, aby elewatory nie istniały w miastach portowych, na ważniejszych rynkach zbożowych i na główniejszych stacyach kolejowych. bo konieczne są takie składy dla pomieszczenia zapasów, wyładowania i naładowania zboża i tworzenia najbliższych rynków dla rolników. Wreszcie pomieszczenie zboża w elewatorze, zwłaszcza w naszych stosunkach przedstawia nie małe korzyści. Wiadomo jak niedbale czyścimy nasze zboże; poruczając tę czynność przedsiębiorstwu, posiadającemu wyborne przyrządy do młynkowania i rozporządzającemu ludźmi, którzy z czynnością tą obchodzić się umieją, zapewnić sobie można towar pierwszorzędnej jakości, a tém samém i cenę za niego wysoką.

Jednostajność produktów, mająca być przyczyną rozwoju produkcji, także źle jest oceniona. I u nas prawie ta sama istnieje jednostronność wytwórczości. W Ameryce produkują pszenicę, kukurydzę i rośliny oleiste, u nas zaś przybywa żyto, jęczmień, owies; gdyby więc rozpoczęto budowę elewatorów, trzeba tylko urządzić w nich więcej oddziałów. Wreszcie praktyka funkcyonujących już elewatorów wskazuje, że najzupełniej odpowiadają przeznaczeniu i korzyści przynoszą.

Co do pożytku dróg bocznych, to jest on bezsprzecznie bardzo obiecujący. Zapewnią one możliwość całorocznego odstawiania zboża do stacyi kolejowych ¹⁾. Czy zaś pierwszeństwo oddać drogom

¹⁾ Nie potrzebujemy rozprawiać szeroko o korzyściach dostatecznej ilości zapawnionych w każdej porze roku dróg bocznych (czy to bitych czy żelaznych), bo to są rzeczy powszechnie znane; ale zwracamy uwagę na rachunek, przeprowadzony przez p. Gołowaczowa w N-rze 30-ym „Mosk. Wiedom.“, z r. b. który podał „Słowo“ w N-rze 37 z dn. 15-go lutego 1890-go r. P. G. obliczył, że na jedną wiorstę kwadratową Rosyi europejskiej, i tylko w 50 guberniach, posiadających drogi szosowe czyli bity, przypada na 1 wiorstę zaledwie po 6 sążni szosy, gdy Francya na taką wiorstę kwadratową posiada 490 sążni, czyli prawie o 87 ¹/₂ raza więcej. A jednak ogólna ilość ładunku, jaki wieś mają u nas do przewiezienia, sięga 4,000 milionów pudów, a nadto niemniejszą ilość pudów opału i w ogóle materiału

żelaznym, czy szosom, zdaje się, że odpowiedź na stronę dróg bitych wypadnie. Zachodzi tu przytém jedna okoliczność, na którą nie zwracają zwykle uwagi. Na korzyść dróg szosowych przemawiają zyski, które mogą dać inwentarze pociągowe. Dziś konie robocze dworskie, a nawet i włościańskie przez znaczną część roku bezczynnie stoją; z wiosną zaś, gdy pilne roboty polne wymagają użycia inwentarzy do uprawy pól, a zapasy zboża są znaczne, trzeba opłacać drogo furmanki, czego możnaby uniknąć, gdyby drogi rok cały były dostępne. Zwiększenie sieci kolei żelaznych wielce jest pożądane, ale boczne drogi żelazne wtedy tylko są konieczne, kiedy istniejące siły robocze (ludzie i inwentarz pociagowy) nie mogą podołać odstawie całej ilości produktu, co dopiero wtedy nastąpi, gdy praca znacznie podrożeje i intensywność gospodarstw naszych do wysokości rolnictwa zagranicznego się podniesie, co obecnie jeszcze rzadko u nas widzimy.

budowlanego. Już same te cyfry wskazują wymownie ogrom pracy, którą Rosya traci corocznie i nieprodukcyjnie, wyłącznie tylko na przewóz ciężarów. Dla większej jasności przytoczymy drugie zestawienie. Przeciętna przestrzeń, dzieląca miasta Rosyi Europejskiej, równa się 70 wiorstom, dzieląca zaś wsie: 5 wiorstom. We Francyi, przestrzeń dzieląca miasta, wzięta także przeciętnie, równa się 20 wiorstom, a wsie: 1,6 wiorście. W obec tego włościanin ruski, dostarczający swoje produkty do miasta, musi je przewozić przeciętnie 35 wiorst, gdy włościanin francuski tylko 10 wiorst. Nadto ruski, przewożąc drogami zwykłemi, a częstokroć bardzo złomi, nie może obciążać konia ciężarem większym, nad 20 pudów i przebywa na dobę tylko wiorst 40; gdy francuz kładzie śmiało na jednego konia pudów 50 i przebywa na dobę więcej, niż wiorst 50. W takich warunkach, przewożąc np. 100 pudów ciężaru, francuz zużywa na to tylko:

$$\frac{100 \times 20}{50 \times 50} = 0,8 \text{ dnia, gdy ruski zużywa}$$

$$\frac{100 \times 70}{20 \times 40} = 8,8 \text{ dnia, czyli, że francuz przewiezie przez ciąg } 9\frac{1}{2} \text{ godzin, licząc}$$

w dniu roboczym godzin 12, taki ciężar, na którego przewiezenie ruski potrzebuje 11 razy więcej czasu. Powyższe rezultaty obliczeń musiały doprowadzić p. Głowaczowa do wniosku o konieczności jaknajszybszej budowy dróg bitych, któremi w dalszym ciągu się zajmuje. Zob. dalsze jego wywody w „Słowie” N-or 38.

(Przyp. Red.).

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Deotyma. Branki w jasyrze. Tom I—III. Warsz. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o w. str. 213, II; 422 i II; 448, II i 1 nl. z ilustracyami E. M. Andriollego.

Powieść odgrywa w życiu i uspołecznieniu ludów cywilizowanych XIX wieku potężną rolę, bo stała się chlebem powszednim czytającej publiczności. W powieści szuka ukojenia i wypoczynku zmęczony głębszém badaniem umysł ludzki; — w powieści klasy średnio wykształcone, nie umiejące korzystać ze źródeł nauk ścisłych, szukają odpowiedzi na poważne zagadnienia filozoficzne i społeczne, na niemilknące pytania własnego ducha—kędy mi droga śród ziemskich bezdroży, jaki jest cel mego bytu na ziemi? Ogół wysoko wykształconych ludzi w powieści, równie jak i w dziele poezyi, znajduje tylko środek rozrywki i zaspokojenia estetycznych potrzeb ducha, lecz nie uważa bynajmniej dzieł belletrestycznych za źródła wiedzy prawdziwej. Badanie i poznawanie prawdy — powinno zostać udziałem nauki. Rozum ludzki, w pracy, mającej na celu poznanie rzeczywistości, posiada przyrodzoną logiczną ścisłość myślenia i refleksyą— w tworzeniu artystyczném dzielnie mu pomaga fantazyja. Krytyczna i artystyczna działalność myśli ludzkiej różnią się zasadniczo, a więc i wytwory obu tych różnych kierunków różnymi być muszą. Krytyka—to analiza, — sztuka—to synteza ludzkiej myśli. Oczywiście więc w dziełach sztuki ani wszechstronnego i naukowego badania rzeczywistości, ani dokładnego wyjaśnienia jej objawów człowiek nie znajdzie — i szukać nie powinien. Wiedzę, jako podstawę sądu o życiu i wszelkich jego zjawiskach, może osiąść człowiek jedynie za pomocą pracy na polu nauki.

A jednak, wbrew teorii, która wyróżnia naukę i sztukę, krytyczne i artystyczne objawy działalności umysłu ludzkiego,—powieść kusi się dzisiaj o to, aby zmonopolizować w utworach swoich wszystkie działy myśli ludzkiej. Powieść chce dzisiaj i rzeczywistość od-

tworząc na swój sposób (powieść realistyczna), i przeprowadzać pewne poglądy lub uzasadniać z góry powzięte tezy (powieść tendencyjna), i przeszłość chce wskrzeszać przed wzrokiem duszy czytelnika (powieść historyczna), — a jednak pomimo, że powieść chce nie tylko te, ale i wiele innych jeszcze postronnych osiągnąć celów, nie jest ani nauką o życiu ani o rzeczywistości, nie jest wykładem naukowym żadnej tezy, i nie jest historią; ponieważ jest ona przedewszystkiem dziełem fantazyi powieściopisarza, poety, — a zatem w obec rzeczywistości jest bajką. To, co autor przedstawia w powieści, — nie istniało ani takiem, jak to autor maluje, ani w ten sposób, jak to autor przedstawia. Nie ma powieści, któraby była fotografią rzeczywistości — wbrew wszelkim przeciwnym teoryom. Dzieło, które pisarz stwarza w powieści, wypłynęło przedewszystkiem z jego fantazyi, jak Afrodyta z piany morskiej, i jak ta bogini — lotne ma kształty! Piękność dzieła poety, — to piękność idealna, — piękność pomysłana w głowie autora — lecz nie rzeczywista. Wszyscy wiemy, że poeta nie kopiuje tego, co jest, lub było, lecz tworzy to, czego nie było.

Oświadczając, że powieść jest bajką, nie zapominajmy jednak o tém, że ma ona być bajką dla dorosłych, a więc — bajką prawdopodobną. Otóż ta konieczna, nieodłączna od powieści cecha prawdopodobieństwa sprowadza częstokroć zamęt i pomyłki w głowach poetów i czytającej publiczności. Poeta tak wierzy w prawdę i żywotność swych kreacyi, że rozkołysany fantazyą bierze własny świat marzeń za rzeczywistość, — a publiczność tak chętnie ulega złudzeniom idealnego świata poety, który z szarej toni wydarzeń życia codziennego podnosi myśl i serce ku lepszym, doskonalszym światom, że chętnie zapomina o rzeczywistości, rozkoszując się złudnemi mirażami fantazyi poety. I oto obie strony w zachwycie uniesień biorą za prawdę to, co jest tylko — indywidualnej fantazyi utworem.

Jednakże ten konieczny warunek prawdopodobieństwa nakłada na powieściopisarza pewne obowiązki, którym zadość uczynić powinien, i umysł powieściopisarza powinien mieć o prawdzie i rzeczywistości to przeciętne pojęcie, jakie posiada średnio wykształcony ogół a więc z nauką współczesną, powinien być obeznany.

Zaznaczywszy, że powieść należy do działu poezyi, zaliczyć ją musimy do dziedziny sztuki; ogólne zatem dążności sztuki ujawnić się także powinny w każdej powieści.

Sztuka dąży do wytworzenia ideałów, — bez idealnego tła — powieści też nie ma. I napróżno siliłby się najzagorzalszy doktryner na usunięcie z dzieła sztuki, a więc i z powieści, wszelkich idealnych pierwiastków.

Powieść polska w rozwoju swoim odczuwa i uwydatnia ogólne kierunki, współczesnej powieści europejskiej. Wspólność cywilizacji odbija się w życiu i twórczości społeczeństw. Wspólność ta jednak w danym wypadku nie jest tożsamością, lecz tylko podobieństwem. W dziełach sztuki każdy naród zachowuje właściwo sobie,

odrębne cechy warunków swego rozwoju. To też i powieść polska ma swój charakter, swoją odrębność narodową, różniącą ją od powieści niemieckiej, włoskiej lub francuskiej. Pomimo to powieść polska należy niezaprzeczenie do sztuki europejskiej, jak gałąź do drzewa, z którego wyrasta.

Głębsza krytyka utworów powieściowych ma swe uzasadnienie w gorączkowem zapotrzebowaniu powieści przez nasz ogół czytający, bo patrząc na nasze dzienniki, zdawałoby się mogło, że ona jest głównym, jeśli nie jedynym środkiem powodzenia pisma. Jakkolwiek bądź z tém zjawiskiem pisma naukowe liczyć się powinny, ponieważ wszelki objaw społeczny — jest skutkiem przyczyn realnych. A jeśli w życiu nie ma ani jednego momentu, któryby przeszedł bez skutku, choćbyśmy go nawet nie dostrzegli, to na tém głębszą uwagę ogółu zasługują te objawy życia społecznego, które tak szerokie przybrały rozmiary. To też sądzimy, że rozbiory utworów powieściowych zajmują w literaturze peryodycznej wcale poważne stanowisko i mają, jeśli tylko czynią zadość warunkom krytyki naukowej niepoślednie znaczenie.

Najnowszy utwór powieściowy Deotymy pod tytułem „Branki w Jassyrze“ zasługuje na bliższy rozbiór nie tylko dla rozgłosu, jaki już pozyskał, lecz i dla swój wysokiej artystycznej wartości. Deotyma jest poetką z głębokiem poczuciem piękna w sztuce. Z utworu, którego tytuł wypisaliśmy w nagłówku niniejszego sprawozdania tchnie taka czystość uczuć i podniosłość myśli, że czytelnik bezwiednie ulega kojącemu urokowi poetki, wiodącej go na szczyty idealnych wyżyn ducha ludzkiego.

Treść utworu zamierzchłych sięga czasów, bo aż XIII wieku.

Dwie szlachcianki dostają się w niewolę tatarską w epoce najścia tatarów na Polskę i smutne dzieje ich niewoli stanowią zasadniczy motyw powieści.

Jedna z branek — to żona szczęśliwa sławnego rycerza Sulisława i matka prześliznionego dziecięcia Jasia, — druga — dziewczica sławnego rodu; obie piękne, młode, bogate, — los rzuca im kwiaty pod nogi. Lecz te kwiaty zaścielają tylko początki ich wędrówki ziemskiej. Na drugiej połowie już dotkliwie kolce ranią ich stopy, — a dalej już ciernista wije się przed nimi droga. Złączone węzłem przyjaźni — dzielą i szczęście i ciężkie chwile w jednakięj niedoli.

Elżbieta, żona rycerza Sulisława, przyjęła chwilowo w dom swój Ludmiłę, młodą dziewczę, sierotę już w zaraniu wieku. Kobiecy od pierwszej chwili poznania powzięły do siebie bezgraniczne zaufanie i sympatyę, a te uczucia w następstwie zamieniły się w przyjaźń. Drobne kłopoty z powodu niefortunnnych swatów Ludmiły szczęśliwie jakoś mijają, — gdy oto nawała tatarska zalewa kraj. Wszystko idzie na łup tatarskiego miecza. Młody rycerz Przedwojowic, który potrafił podbić młode serce Ludmiły, ginie w walce z tatarami śmiercią bohatera. Sulisław, zostawiwszy ukochaną żo-

nę z synem w warownym zamku, śle do niej posłańca, aby natychmiast z domem całym wyjeżdżała do Krakowa pod opiekę księcia Bolesława i świętobliwej małżonki jego Kunegundy. Po niewczasie przekonywa się nieszczęśliwy rycerz, że posłańca na drodze ubili tatarzy. Biedna Ludmiła, z sercem rozdartem po śmierci swego rycerza Przedwojowica, przedsięwzięcie go wyręczyć. Ludmiła była już w rękach tatarów, czuła już uściski ich powrozów. Dzielny Przedwojowic odbił ją z jasyru — i zginął śmiercią walecznych. Ludmiła więc zakosztowała już goryczy niewoli. — tem chyżej bieży z wieścią do ukochanej Elżbiety. Morze dziczy tatarskiej rozlewa za nią rozhukane swe fale, — idzie za nieszczęsną trop w trop. — Zaledwie zdążyła złą wieść opowiedzieć w zamku, — w chwili, gdy wszystko gotowe już do drogi, — tatarzy otaczają warowny zameczek. Odwrot odcięty. Liczba tatarów jest tak przemagająca, że najdzielniejszy opór obłożonych uratować nie zdoła i mają do wyboru śmierć albo jasyr.

Dowódca załogi, Rupert, pragnie ratować ukochaną panią z dziecięciem, Ludmiłę i kapelana. Wyprowadza więc ich podziemnym przejściem, które łączyło zamek z Ilżą. Na końcu przejścia spotykają tatarów, którzy zdobywali już Ilżę. W tym samym czasie mniej więcej ginie w boju z tatarami Sulisław.

Nieszczęsne kobiety z dziecięciem idą w niewolę. Elżbieta została przeznaczoną za niańkę dziecka tatarskiego wodza, a Ludmiła i Jasio z powodu cudownej ich urody na łup dla wielkiego Chana. Od tej chwili rozpoczynają się bolesne roczniki jasyru — długiego, bo dopiero po 40 latach ujrzały branki ziemię rodzinną.

W drodze do Azji Ludmiła zdołała uciec z dziecięciem — które oddała na Węgrzech w ręce wiernego sługi. Sługa miał oddać Jasia rodzonemu bratu jego matki, księdzu Maciejowi.

Lecz pomimo wszelkich okropności jarzma tatarskiego, pomimo obawy śmierci, a co gorsza — hańby, — młode dziewczę nie chce wolności bez ukochanej Elżbiety. Z garstką koczowniczych włoskich kupców i z bogactwami na wykup Elżbiety, Ludmiła bez chwili zwłoki puszcza się śladem tatarskiej karawany. Dopełdza ją. Nietety pomimo przebrania i wszelkich środków ostrożności Ludmiłę poznano — i znowu powleczono w niewolę. Ofiara jęj spełzła tedy na niczem. Los obu niewolnic jest jednak bardzo różnym.

Od pierwszej chwili niewoli — Ludmiła wpadła w oko młodemu wodzowi tatarskiemu Ajdarowi, który taką szczerą ku niej zapalał miłością, że wbrew wszelkim trudnościom i przeszkodom, bierze ją za małżonkę. Ślubu, na żądanie Ludmiły, dopełnił jakiś duchowny nestoryjański.

Elżbieta jest niańką dziecka bratowej Ajdara, małego Kalgi. Ta okoliczność pozwala brankom nierozłączać się ani na chwilę, gdyż Ajdar i ojciec Kalgi nigdy się nie rozłączają.

Przed Ludmiłą ściele się dola dostojnej damy tatarskiej. Przepychy i świetności życia na dworze Chana stoją otworem przed Ludmiłą, która, będąc możną i bogatą, osładza dolę ukochanej przyjaciółki. Ajdar kocha żonę do szaleństwa i ulega wszelkim jej życzeniom,—nawet przyjmuje chrzest Św.

Po wielu, wielu latach pożycia z Ajdarem, Ludmiła pada ofiarą zazdrości jednej z małżonek Ajdara, Bigi. Biga zaraża ją trędem. Wszyscy, nawet Ajdar, odstępują nieszczęśliwej. Nieodstępuje jej jedna Elżbieta, — zaraża się dobrowolnie trędem—i obie wolne już branki otwartą mają drogę do Europy.

Nowa faza cierpień i upokorzeń dla nieszczęsnych kobiet — ci, ku którym one idą — unikają ich z obawy zarażenia się trędem. A jednak branki wracają do kraju. Elżbieta odzyskuje syna, okrytego chwałą wybawiciela miasta Krakowa,—księżna Kunegunda jedynym pocałunkiem leczy branki z trądu, zagrabione mienie powraca ją im sądy.

Branki same, zaznawszy największych cierpień,—resztę życia i bogactwa poświęcają na osłode cierpiących, — służą trędowatym. Cicha i spokojna śmierć jest ostatnią ich ziemską nagrodą.

Oto szkielet treści najnowszego utworu Deotymy. Łatwo zrozumieć, jak szerokie pole dla bujnej fantazyi przedstawia podobny temat. Obrazy wojen, rozdzierające sceny niewoli, oryginalność i malowniczość epizodów życia tatarskiego, głębokość uczuć i potęga poświęcenia nieszczęsnych brańców i branek,—oto kanwa, na której wprawna dłońią snuje poetka misterne swe wzory. Całość rozwija się malowniczo przed oczyma duszy czytelnika.

Oczywiście mnóstwo drobniejszych, a jednak w opowiadaniu ważnych epizodów musieliśmy pominąć. Potrącimy o nie przy bliższym rozbiorze utworu, który tworzy ogromną księgę z pięknymi ilustracyami Andrioll'ego. Jakkolwiek właściwy dramat powieściowy rozgrywa się między osobami, tworzonymi przez fantazyę poetki, w pojedynczych, poszczególnych epizodach, występują osoby historyczne, jak np. książę Bolesław, ks. Kinga, braciszek Benedykt, Chanowie tatarscy, księżna Siurkukteni i wiele innych postaci, znanych w dziejach. Malownicze sceny dworskie ilustrują odnośną epokę, tak, że powieść tę do rzędu historycznych zaliczyć trzeba. Powieść historyczna,—to bardzo oryginalne zjawisko, bo historia — to nauka, powieść—to dzieło sztuki, utwór poetyczny. Nauka bada rzeczywistość i prawa nią rządzące,—sztuka rzeczywistości, realizuje ideały poety, wcielając je w realne formy, nadając im kształty dla zmysłów i umysłu uchwytne. Sztuka daje nam ideały, nauka — poznanie rzeczywistości. Gdy umysł uczonego bada fakta życiowe i wszelkiego rodzaju zjawiska w ich rzeczywistój, realnej szacie i przy pomocy logicznych przyrodzonych praw umysłu wysnuwa kousekwen-

ne wnioski, dopatrując się stałych zasad wszechbytu, — poeta wybiega umysłem po nad rzeczywistość i stwarza to, czego pierwój nie było. Uczony obiektywnie poznaje to, co jest, poeta subiektywnie indywidualizuje własne swe dążności i pragnienia, odkrywając nowe horyzonty, jaśniejące jutrenką ideału. Uczony dzieli i rozbiiera zjawiska — analizuje, poeta z rozstrzelonych rysów i cząstek składa całości fantastyczne — działa syntetycznie. Rezultat pracy uczonego — to fotografia rzeczywistości; rezultat pracy poety — to ideał rzeczywistości. Czém tedy może być powieść historyczna? Przedewszystkiem — dziełem sztuki, jako powieść, — a więc dziełem fantazyi; w nauce zaś fantazyować — niewolno, — a więc przedewszystkiem nie szukajmy w powieści historyi. Ta nazwa „historyczna“ najniepotrzebniej do powieści przypięta bywa. Deotyma nie uczyniła tego, i słusznie.

A jednak ze względu na utartą i ustaloną nazwę w dziale powieściowym, — z natury rzeczy musieliśmy opowiadanie autorki do rzędu historycznych powieści zaliczyć. Poeta nie może nagiąć fantazyi swój do rzeczywistości o tyle, aby odtworzyć lub wskrzesić prawdziwe postacie i wydarzenia historyczne, — fantazyja jego wówczas przestałaby być twórczą. Ze tak jest w istocie, — przykładów mamy pod ręką aż do zbytku. Wszak Marya Stuart — to postać niezaprzeczenie realna; historia przedstawia nam ją z całą prawdą i z możliwą dokładnością. Zestawiona z historyczną postacią Maryi Stuart — Marya Szyllera i Słowackiego, bynajmniej nie są do siebie podobne. Lub porównajmy Joannę d'Arc Szyllera z Joanną Szekspira? Niebo i ziemia!

Gdzież więc w tych historycznych (?) postaciach poety podziała się rzeczywistość, gdzie w nich historia? Kapitulowała przed — fantazyją. Czy można czynić z tego zarzut poecie? Zdaniem naszym — nie, tak samo jak nie można czynić zarzutu ptakowi, że po powietrzu buja, — lub rybie, że w wodzie żyje, — taka już ich natura.

I natura poety jest taką, że nie może ani naśladować niewolniczo rzeczywistości, ani odtwarzać ściśle przeszłości, która w najlepszym razie może nietylko służyć za manekin, na którym on rozepnie „swych marzeń przedzę“. A jeśli w pustkę martwą tego manekina poeta złoży jeszcze i „swych uczuć kwiaty“, to nagle ożywi się lalka bezmyślna, lecz nie reprodukcją przeżytego już życia, ale nowym życiem — z natchnienia poety zaczerpniętym. A jednak, nie mogąc w powieści odtwarzać realnej przeszłości, poeta może uchwycić jej ducha, to, co nazywamy duchem czasu, duchem epoki. I pod tym względem powieść może być historyczną.

Odtworzyć ducha epoki, to znaczy uchwycić nieuchwytnie na pozór charakterystyczne znamiona pojęć, obyczajów i warunków życia danego narodu w danej fazie jego rozwoju — i uchwyciwszy to myślą, uplastyczyć w dziele sztuki. Wówczas poeta stwarza

świat p o d o b n y do odnośnych minionych epok przeszłości, opromieniając go błyskami ideału. Ten świat poety, który oddaje ducha czasu, — pod tym jedynym względem zasługuje na nazwę historycznego, — to też wielcy poeci (Szekspir), popełniając tysiące anachronizmów, jakby intuicyjnie odgadują ducha czasu i uwieczniają go w swych dziełach. Deotyma w powieści swęj w opisach dworu ks. Kunegundy i panujących tam zwyczajów, dalej w opisach różnych scen z życia tatarów niewątpliwie starała się uchwycić ducha czasów i odpowiedni opisom swym nadać koloryt. Jednakże właściwą część historyczną zamknęła w kilku rozdziałach, nie mających żadnego związku z fabułą powieści, lecz za to bardzo pouczającej treści. Autorka nie tylko daje opisy wydarzeń, lecz nawet wdaje się w ich roztrząsanie historyczne (np. rozpatruje czynniki, które wywołały epokę odrodzenia i t. p.). Z opisów tych czytelnik dowiaduje się wielu ciekawych, a nawet mało znanych szczegółów z epoki rozkwitu państwa Mongolskiego, które tak ważną na wschodzie odegrało rolę.

Poglądy autorki są, niestety, rzadko wymotywowane, ale zwykle gołosłowne a często wprostmylne, — lecz z tego powodu ani zarzutów czynić jęj nie zamierzamy, ani tęż w ogóle krytykować tych poglądów nie myślimy, ponieważ to należy do nauki ścisłej, której autorka specjalnie nie uprawia i która bynajmniej w powieści odpowiedniego miejsca znaleźć nie mogła i nie może. Zamało to jednego rozdziału, aby wyjaśnić naukowo epokę odrodzenia lub zważyć dotychczasowe poglądy na wpływ świata klasycznego w owęj epoce, na ruch umysłowy w Europie. Autorka nie usprawiedliwia swoich zbyt śmiałych zapatrywań na daną epokę, lecz poglądów jęj objaśniać nie potrzebujemy, bo uważamy w ogóle te naddatki „historyczne“ w osobnych rozdziałach do powieści przyczepione, za niepotrzebny tylko balast w powieści. Wskutek tego długa ta powieść staje się — zadługą i chwilami, zamiast bawić i podnosić umysł i serca — nuży. A tymczasem zasadnicze ideały autorki są tak podniosłe, że szkoda, gdy czytelnik w nawale szczegółów traci je z oczu. Te ideały powinnyby w każdym niemal rozdziale występować z całą wyrazistością, bo autorka przejęta głęboką wiarą w słuszność swęj sprawy, — wiarą w nieśmiertelność, w duchu katolickim wypowiada wszędzie z jak najszlachetniejszą szczerością przekonania te szlachetne poglądy swoje. Deotyma w powieści swęj wprowadza sferę „cudów“ i „cudowności“, czynniki nadprzyrodzone, — w obec których krytyka — składa pióro. W jednym z ustępów autorka zaznacza, że dzieje się w jęj wydarzeniach nie jeden „cud“, ale „sto cudów“. Kto wie, — może i więcej! Deotyma rozpoczyna powieść swoją przepowiednią natchnionego pustelnika, która spełnia się co do joty. Cud za cudem obezwładnia naturalne siły przyrody, — dłoń opatrności rozstawia i porusza wszystkie postacie w obrazie Deotymy. Sprawiedliwość tryumfuje, — i na ziemi i w niebie, — cnota i występki odpowiednio mają wynagrodzenie.

Zaznaczywszy tę właściwość ostatniej powieści Deotymy, przejdźmy do rozpatrzenia tych naturalnych czynników, które krytyka uchwyćć może.

Najsilniejszym światłem swoich ideałów, otoczyła autorka dwie postacie głównych bohaterek powieści: Elżbiety i Ludmiły. Podniosłe ideały katolicyzmu w całym blasku jaśnieją urzeczywistnione w obu brankach. Czysta miłość i poświęcenie bez granic, głęboka niezachwiana wiara, dobra i stała wola wykonywania wszystkich przepisów religii Chrystusowej, wytrwałość i pogoda ducha w obec najstraszniejszych kataklizmów społecznych — oto rysy charakterystyczne obu branek. A obok tych cnót ewangelicznych, wrodzona kobieca dobroć i łagodność dopełniają reszty obrazu. Obie te kobiety różnią się tylko temperamentem. Elżbieta jest cicha i powolna, Ludmiła żywa — jak iskra. Krwawe potoki gasiły tę iskrę powoli; a jednak mały ten płomyk świecił w oczach Ludmiły nawet jeszcze po powrocie z niewoli. Autorka w przeprowadzeniu obu tych charakterów okazała chwalebna konsekwencyą.

Czytelnik, który zaufał im od pierwszej chwili, — nie traci w ciągu całego opowiadania tej ufności. Takie serca i dusze — to opoka, na której wznosi się na ziemi kościół Chrystusowy. Dziwnym napozór wydaje się stosunek Ludmiły do Ajdara. Ta niewolnica, umiejająca okiełznać takiego tygrysa, nietylko nawykła do niego, lecz nawet go — pokochała. Ajdar nie potrzebował brać szturmem pieaszcot od cudnej swęj małżonki. Ludmiła potrafiła szczerze ob-sypywać go niemi, bo nawet „zawroty miłości“ poznał na jęj łonie (scena po chrzcie Ajdara), gdzie Deotyma staje się nieustępującą innym realistką; ale pod względem psychologicznym błędu nie popełnia.

Ta sama Ludmiła, która deklamuje w chwili uniesienia, że „nieprzyjaciela własnej ziemi“ kobieta nigdy kochać nie może, w chwili radości z nawrócenia Ajdara, z niekłamaném uczuciem miłości oplata białe ręce w około szyi barbarzyńcy i ciemięzcy, który wiódł krwawą hordę na mlekiem i miodem płynące łany ojczystej jęj ziemi. Niekonsekwencya postępowania — to pierwszy rys charakterystyczny natury kobiecej. Kobieta umie być wdzięczną, a mężczyzna, który z oddaniem się czci kobiety spełnia wszelkie jęj zachcianki, a nawet wyrzeka się wielu własnych upodobań dla jęj woli, — może śmiało liczyć na powodzenie w jęj sercu.

Ten rys charakteru Ludmiły w niczem nie kazi świetlanej tęg postaci. Kobieta, któraby w obec takich pokus, jakie otaczały Ludmiłę, okazała się zimną jak glaz i nieczułą, — nie byłaby kobietą. Ajdar — ów bohater tatarskiego pokroju przeistoczył się, aby posieść miłość Ludmiły, — i potrafił ją pozyskać. W najdroższych swych uczuciach Ludmiła była zaspokojoną; Ajdar zezwolił na otaczanie Elżbiety taką pieczołowitością, jakiej tylko Ludmiła zapragnęła, zezwolił na czyny miłosirdzia względem jeńców — według

uznania Ludmiły,—wyrzekł się wszystkich innych żon,—sypał perły pod stopy swój gołąbki, roztoczył przed nią przepych i bogactwa dworu tatarskiego Chana. Ludmiła—niewolnica—niewolnicą była w teorii. W rzeczywistości była wielką panią przy tatarskim dworze,—no i może w tatarskim nieco guście. A jednak po rozstaniu się z Ajdarem zbyt gorzkich łez po nim nie roniła.. Lecz gdy po powrocie z niewoli po latach czterdziestu ujrzała w lochach pod Iłżą miejsce, gdzie po raz pierwszy go spotkała a westchnąwszy rzekła: „Tu po raz pierwszy zobaczyłam Ajdara... A w głosie jój... był odcień rozczulenia“. O zmienności kobieca!

Ta wrażliwość temperamentu Ludmiły czyni ją tém ponętniejszą, a oczywiście nie przeszkadza jój gorliwie pełnić najpodnioślejszych obowiązków chrześcianki. Nie wątpliwie, że pierwszy gwałt, jaki zadała swemu sercu, aby nawyknąć do nowego swego położenia—niewolnicy tatarskiej, był skutkiem nadziei, że lżejszą będzie doła Elżbiety i że Ajdar z czasem może przyjmie chrzest św. Myśl tę podszeptała Ludmile Elżbieta,—i od tej chwili idea ta nie opuszcza małżonki Ajdara. Zabiegi jój odniosły tryumf—Ajdar został chrześcianinem.

Obie branki, zachowując i pielęgnując cnotę chrześciańską, różnią się,—jak ludzie zazwyczaj, pewnemi właściwościami charakteru. Elżbieta od chwili pójścia do niewoli zaparła się siebie samą, wyrzekła się wszelkiej przyjemności, rozkoszy życia. Ludmiła—bynajmniej,—przy każdej sposobności stara się i zabawić i ubrać pięknie i o jakiśś rozrywce pomyśleć. Młodość jój szuka ujścia dla tyjących swych porywów, los wiele z nich zaspakaja.

Jakkolwiek obie branki jeden mają ideał przed sobą i jednemi kierują się zasadami, urzeczywistnienie tego ideału różne przybiera formy ze względu na zaznaczoną powyżej i trafnie przeprowadzoną różnicę ich charakterów i temperamentów. Postacie te żyją i działają nie jak manekiny, lecz jak ludzie żywi. Czytelnik wierzy najzupełniej, że takie istoty istnieć mogą, jakkolwiek są one niepospolite, niezwykajne. Dzięki jednak umiejętnej charakterystyce autorki, bohaterstwo tak naturalnie wynika z podniosłych dążeń, zarazem z chartu i energii brank, że zachowuje wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Elżbieta wygląda niemal na świętą; — ale wszakże i takie istniały. Religia katolicka posiada wystarczającą siłę i potęgę, aby wytwarzać ludzi cnót wielkich, aby wypleniać z dusz chwasty egoizmu i namiętności i rzucać posiew na bohaterskie czyny. Bohaterstwo to w chrześciańskim świecie spełnia się w ciszy i pokoju, w głębiach ludzkiej duszy, w skrytościach serca, a prócz tego wynika ono z sił i czynników, nie w naturze ludzkiej, lecz po za nią, a właściwie po nad nią istniejących. Tego rodzaju abuegacya dla wszystkiego, co ziemskie, nie da się wytłomaczyć zimnym rozsądkiem, a ludzie, wyrastający na bohaterów chrześciańskich, nie podchodzą pod zwykłą miarę. To też branki Deotymy stoją na tym wysokim

pedestale poezyi, na którym serce poety umieszcza swe ideały. — Wobec tych wspaniałych kreacyi autorki, — reszta postaci mniej więcej blade się przedstawia. Na każdej jednak — autorka wycisnęła piętno głębokich swych poetycznych uczuć i zdolności. Ajdar, mąż Ludmiły, budzi żywą sympatją czytelnika. Z jednej strony mążka jego uroda i świetność tatarskiego wodza, z drugiej strony wrodzona, może nieco nie tatarska, „prawość charakteru“ stanowią czynniki szczerze pociągające. Ajdar bardziej chwilami wygląda na średnio-wiecznego rycerza, aniżeli na okrutnego tatarą, — lecz i czegoś miłość nie może. Pod wpływem tego podniosłego uczucia, jak pączek róży pod działaniem ciepła słonecznego, rozwija się serce i dusza człowieka, okazując ukryte swe przymioty we właściwem świetle i blasku. W powieści Deotymy występuje Ajdar już w stanie téj powolnej metamorfozy, gdyż epoka pierwotnej dzikości tatarskiej zaledwie zaznaczoną została. Sądzimy téż, że do tego tkliwego, mężnego i kochającego wodza tatarów zapłonnie nie jedno młode serduszek nadobnych czytelniczek. Warto być porwaną choćby przez takiego tatarskiego chanika, aby królować na tronie miłości.

Jeśli w Ajdarze najmniej występuje tatar, a bardziej rozkochany rycerz, za to w innych postaciach tatarów autorka zachowała wiernie rysy tatarskiego plemienia. Rozległe studia autorki na polu historii i etnografii widnieją z całej pracy. Taktyka wojowania tatarów, właściwości ich charakteru, życie ich stepowe, — wszystko to czytelnik ma, jak na dłoni. Poetka, zamiast suchéj opowieści, daje wszędzie barwne obrazy.

Równie sympatycznie przedstawia autorka franciszkanina ks. Benedykta, postać historyczną, jak i wiele innych osobistości z ówczesnej epoki.

Strona opisowa stanowi największą zaletę powieści. Autorka roztacza zajmujące, barwne i pouczające obrazy z bytu ówczesnej epoki zaczerpnięte. Dwór św. Kunegundy, rycerski turniej w Polsce, obchód świąt Bożego Narodzenia w Krakowie, uroczystości w stolicy tatarskiej pod względem opisu nie pozostawiają nic do życzenia. Plastyka słowa jest mistrzowską. Słabsze nieco pod względem artystycznym są obrazy rzezi i napadów tatarskich (np. obraz wzięcia klasztoru Norbertanek). Widocznie pióro niewieście wzdryga się przed krwawymi scenami, — autorka z trudnością znajduje barwy do oddania grozy łuny i krwawéj posoki.

Całość utworu jest może nieco za rozwlekłą, chwilami nuży czytelnika. Wynagradza za to rzeczywisty pożytek, jaki z ciekawych i mało znanych szczegółów każdy umysł odnieść może. Ze względu na podniosłość ideałów autorki i obrazowość jéj pióra, uważamy utwór jéj za dzieło wysoko pedagogiczne, które winno się znaleźć w rękach czytającej młodzieży polskiej. Rzadko znajdzie się książka, zapewniająca czytelnikowi tyle estetycznego i umysłowego pożytku, co „Branki w Jasyrze“ Deotymy. Nie ma w całej

tęj powieści ani jednej postaci, któraby uosabiała zło, w całej jego demonicznej potędze. Nawet ów przedstawiciel złych potęg, Zyndram, nawraca się i żałuje za grzechy i publiczną odbywa pokutę.

U autorki wszystko się dobrze kończy, wszystkie węzły opowiadania tak misternie są zadziernięte i rozplątane, że poczucie słuszności i sprawiedliwości czytelnika najzupełniej zostaje zaspokojonem. W całej powieści góruje ta zasada, że wszystkim na świecie rządzi opatrność, która nawet zła używa dla spełnienia i osiągnięcia swych niedoścignionych celów i zamiarów. Oko Opatrzności widzi wszystko—i nic nie dzieje się bez wyraźnej lub niewyraźnej, ale zawsze działającej, Bożej woli. Zło, które Bóg na nas zsyła, jest tylko środkiem udoskonalenia, środkiem osiągnięcia najwyższych ideałów człowieka—wiekuistego szczęścia.

Dla przeprowadzenia tej zasady, autorka obficie posługuje się środkami nadprzyrodzonymi, to jest cudami. To też dla tego tak jej się w powieści dobrze wszystko składa, dla tego tak wszystko zle dobrze się kończy.

Pod względem artystycznym wszelka przesada jest wadą, gdyż narusza konieczną w sztuce miarę harmonii, a autorka nie tylko że używa jako sprzężn swęj opowieści cudu, ale go i nadużywa.

Te wady nikną jednak przed wzrokiem czytelnika ulegającemu urokowi prawdziwych poetycznych piękności utworu. Rozdziałów prawdziwie pięknych powieść posiada bardzo wiele, całość podnosi ducha, wskazując mu przykłady bohaterskich czynów. Prócz tego autorka podtrzymuje w czytelniku głębsze zainteresowanie się losem bohaterek, nie słabnące do końca powieści. Branki i ich dola od początku do końca pozostają ściśle i konsekwentnie głównymi postaciami powieści.

Przynając dziełu Dyotymy wszystkie powyżej oznaczone i artystyczne i etyczne, a nawet i pedagogiczne zalety, zaznaczyć musimy, że pod względem techniki powieściopisarskiej „Branki“ nie dosięgają poziomu sztuki współczesnej. Talent autorki, właściwie liryczny, z natury swęj nie nadaje się do epoki najazdów tatarskich. Powieść chwilami rwie się dla historycznych medytacji i roztrząsań, a nawet dla lekkiej polemicznej sprzeczki, gdy mówi o znaczeniu wieku XIII, historii polskiej. Chwilami czysto etyczne osobiste rozumowania autorki również odskakują od fabuły powieściowej. To też powieść Deotymy robi wrażenie gawędy przy kominku—o tém i o owém, co się tam po drodze nadarzy. Osobistość autorki często i nazbyt może wyraźnie mówi do czytelnika, tam, gdzie wydarzenia powieści mówićby powinny. Autorka zapomina wówczas, że twórca dzieła epicznego w utworze swym zniknąć powinien, że wszystko roztaczać się winno przed czytelnikiem jak jeden obraz, przez niewidzialnego piewęcę wyśpiewany. (Iliada i Odyseja).

Ale i cóż na świecie bez zarzutu? Wielkie zalety i podniosły nastrój „Branek w Jasyrze“ czynią utwór ten prawdziwą ozdo-

ba polskiej literatury belletrystycznej. Prócz tego dobroczynny wpływ, jaki na umysły i serca młodzieży utwór ten wyrzeć może, i powinien, każe nam się spodziewać, że „Branki w Jasyrze“ znalazły jak największą liczbę czytelników.

Te światła, które w powieści swej skupiła autorka w jedno słońce cnoty i wiary, powinny rzucić młodzieży jasny blask na szarejące mglistej przyszłości drogi, powinny zwrócić młode dusze, nie zatrute jeszcze zdradnym technieniem materyalistycznych teorii, ku wyżynom ideałów, dla których żyć i umierać warto.

J. K. Dworzaczek.

Rodziewiczówna Marya. „Kwiat Lotosu“, powieść. Warszawa. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o min. str. 320.

O ile „Dewajtis“ p. M. Rodziewiczówny jest powieścią szczęśliwie pomyslaną i w wielu ustępach dobrze napisaną, o tyle następne utwory tej początkującej autorki, goniące za drastycznymi efektami i dotykające kwestyi, dla czytelnika nie zrozumiałych, — a niestety, — nie zrozumiałych zapewne i dla p. Rodziewiczówny.

Jeżeli o utworze tak słabym, jak „Kwiat lotosu“ zamierzamy pomówić nieco obszerniej, to dla tego jedynie, że ogół czytający żywo interesuje się powieściami Maryi Rodziewiczówny, a krytyka nie zajęła się dotychczas gruntowniejszym rozbiorem prac — oby nie za pochopnie przechwalonej autorki.

Pierwszą i zasadniczą wadą powieści p. Maryi Rodziewiczówny jest brak niezbędnego wykończenia jej utworów. Powieści p. M. R. robią wrażenie roboty terminowej, która nie zawsze zdoła ominąć niebezpieczny szkopuł sztuki powieściowej. Autorka szkicuje tylko zlekka zarówno postacie pojedynczych osób, jak i całe sytuacje, lubując się w górnolotnych frazesach i zbytecznej przekładni wyrazów. Stąd wynika często wadliwa konstrukcja całego planu i zaniedbanie pod względem zewnętrznej formy.

Wady te pochodzą albo ze zbyt natarczywego zapotrzebowania powieści oryginalnych, albo, — co byłoby jeszcze gorszem, ze zbyt niżej pewności siebie szanownej powieściopisarki. I jedna i druga przyczyna może w twórczości artystycznej autorki zgubnie sprowadzić następstwa.

Już przy ocenie „Dewajtisa“ zastrzeżliśmy się jak najwyraźniej, że pisząc o tym utworze zapominamy o tém, że to jest powieść konkursowa, nie chcemy wiedzieć, że jest uwieńczoną, gdyż rozpatrując ją, jako uwieńczoną, inną zupełnie stosowaćbyśmy musieli miarę. Lecz niech autorka nie daje unosić się wysokiemu o sobie mniemaniu, dla tego, że komisya konkursowa uwieńczyła

jedną z jej powieści, lub że ogół chętnie czytuje jej utwory. Do lekceważenia pracy to wszystko tytułu nie daje. Ogół również łatwo zniechęcić się może do powieści, którym brak wykończenia, a wówczas o nowe względy tego ogółu starać się będzie trzeba. Przystępując do rozbioru powieści, której tytuł w nagłówku podaliśmy, trudno nam przedewszystkiem zrozumieć, dla czego autorka dała powieści tytuł „Kwiat lotosu“, gdyż tytuł taki, mógłby mieć zastosowanie tylko do ostatniego rozdziału;—z całością zaś, nie ma nic wspólnego. Mogłoby to robić wrażenie, jakoby autorka chciała zaakcentować drastyczną sytuacją ostatniego rozdziału swego utworu,—a doprawdy sytuacja nie warta była ani podkreślenia, ani nawet opracowania.

Treść utworu nie odznacza się ani inwencją ani głębszą myślą — a w pogoni za efektami autorka pogubiła nawet pozór prawdopodobieństwa. Osią powieści jest pseudo demon, wcielony w osobie Rafała Radwana. Ów bohater powieści jest uosobieniem piękna, a obok tego uposaża go autorka silną, potężną nawet wolą i samodzielnym wyższym umysłem. Radwan będąc sprawcą wielu nieszczęść, jest główną sprężyną w całej opowieści. Jako sublokator biednej wdowy, Brzezowej, rozpala umysł młodej panny Leonji Brzezówny, córki owjej wdowy.

Młoda (na początku powieści) panienka gorączkowo pracuje nad swoim wykształceniem i pomimo nędzy i wszelkich przeciwności uczy się na pensyi z „nadludzkim wysiłkiem“.

Wogóle autorka, pisząc o ludziach, lubuje się w ich „nadludzkich przymiotach“ i właściwościach, szafując tym wyrazem bez potrzeby. Tymczasem w zapale poetycznym zapomina, że w świecie objawów życia ludzkiego rzeczywistość „nadludzkich“ zjawisk nie zna. Wszystko, co tylko dokonywa człowiek, jest ludzkim i dla człowieka możliwem. Otóż owa nadludzko pracująca Leonka przesuwa się tylko na początku powieści i ukazuje na końcu. Pracując skutecznie nad przewróceniem w głowie Leonce, Rafał Radwan bez powodzenia stara się przewrócić w głowie koledze swemu, Adamowi Lachnickiemu, który współcześnie z Radwanem jest studentem medycyny. Pomimo wprost odmiennych poglądów, Adam ukochał Rafała, i zabiera go na wakacje na wieś do swego ojca, który jest leśniczym w wielkim majątku Rahożów. Radwan przyjmuje. Mają to być ostatnie wakacje wspólnie spędzone, gdyż Radwan porzuca studia swe medyczne, jakkolwiek dopiero jest na 3 kursie medycyny, a przerzuca się na wydział filozoficzny, który kończyć zamierza w Monachium. Sytuacja od téj chwili wikłać się zaczyna. Syn starego Rahozy, Feliks, student prawa, mieszkający razem z Radwanem u stariej Brzezowej, bogaty, szalapatny, pełną piersią używający wszelkich dozwolonych i niedozwolonych rozkoszy życia, od dawien dawna jest w niezgodzie z Radwanem, drwiąc z napanuszonych jego frazesów. Radwan nienawidzi go serdecznie.

Spotkanie oczywiście podczas wakacji jest nie uniknione, a na sposobności do podrażnień wzajemnych nie zbywa. Niechęć Radwana do Feliksa Rahozy łączy się z niechęcią do jego ojca, który przy pierwszym spotkaniu z Radwanem w Warszawie przypomina sobie, że stary profesor Radwan wziął mu z przed nosa ukochaną kobietę, której synem jest właśnie młody Rafał. Stary Rahoza czuje od razu sympatyą do młodego Radwana przez pamięć na jego matkę, a Radwan, uwielbiający pamięć ojca, któremu zawdzięcza ową (jakoby) wiedzę, czuje niechęć do byłego wielbiewela swęj matki.

Stary Lachnicki, ojciec Adama, jest wiernym sługą Rahożów i wyznaje na wskroś serwilistyczne teorye, które (rzecz niepojęta) szanuje i wprowadza w czyn na wsi syn jego, Adam, człowiek, który zakosztował nauki i przejął się najpodnioslejszymi ideami XIX wieku.

Serwilizm ten, którym przy każdej sposobności ciska mu w twarz Radwan, przybiera na wsi u Rahożów bardzo nie sympatyczne znamiona. Adam razem ze swym ojcem stoi w progu gabinetu p. Rahozy, przy spotkaniu w polu lub w lesie Adam rozmawia z p. Rahożą z odkrytą głową, czapkę pokornie trzymając w ręku, i tak oto godność osobista młodego Adama poniewiera się na każdym kroku. Poniżenie nosi Adam z niepojętą rezygnacją i oczywiście, — bez potrzeby. Lecz dla wyjaśnienia sposobu zachowania się młodego Lachnickiego autorka zadzierzga nowy węzeł w posępnym swym melo-dramacie. Adam Lachnicki kocha córkę pana Rahozy, a siostrę Feliksa, — Anielkę, która odplaca mu wzajemnością. Wobec arystokratycznych pojęć starego Rahozy, miłość ta jest bez nadziei osiągnięcia celu zamierzonego.

Jaki rezultat z tych wszystkich naciągniętych sytuacji wyniknie, — przewidzieć łatwo, — wobec posępnego kolorytu, który obrazom swym nadaje autorka. Radwan i Feliks Rahoza drażnią się przy każdym spotkaniu, co podsycą wzajemną ich nienawiść. Stary Rahoza w sposób brutalny przy pierwszym spotkaniu w lesie z Radwanem, znieważa pamięć jego ojca. Zaznaczamy, że postępek ten ze strony rozsądnego i prawego szlachcica — jest niewytłómaczony i w najwyższym stopniu nieprawdopodobny. Radwan zaprzysięga zemstę.

Stary Rahoza, nie wiadomo na co i poco, wysyła syna Feliksa za Radwanem na studia do Monachium. Pobyt w jednem mieście nastęrcza nową sposobność do podrażnienia Radwana i rozdmuchania tlejącej iskry nienawiści. Radwan postanawia dokonać zemsty. W jednej chwili przeistacza się z zabrudzonego studenta w wytwornego eleganta — i w ciągu paru tygodni odbija narzeczoną Feliksowi. Dla ujrzenia owoców swęj zemsty, Radwan wraca do kraju i odzie w strony majątku Rahożów, z którego dobrami graniczą

wsie narzeczonej Feliksa. Za powrotem Radwan zastaje nieprzewidziane zmiany. Ojciec Adama Lachnickiego zmarł, Adam w liberyi Rahożó w pełni służbę leśniczego w majątku starego Rahozy, porzuciwszy oczywiście uniwersytet. Powodem tego rozpaczliwego kroku była wola ojca Lachnickiego, który chciał spłacić dług, jaki zaciągnął stary leśniczy u pana Rahozy dla kształcenia syna na uniwersytecie.

Radwan skłania ostatecznie Adama, aby oświadczył się p. Rahozie o jego córkę, przewidując z góry następstwa podobnej propozycji biednego oficjalisty. Plany Radwana udają się wyśmienicie. Feliks Rahoza zastaje go w czulej pozycji ze swoją narzeczoną,— następuje natychmiastowy pojedynek, — Feliks pada od kuli Radwana.

W tej samej chwili stary Rahoza wypędza Adama Lachnickiego, który oświadczył się o rękę jego córki. Adam idzie w świat z Radwanem, który, straciwszy wiarę w naukę, postanowił podróżować razem z jakimś awanturnikiem Bertem.

Ostatnie sceny powieści rozgrywają się po latach dziesięciu. Stary Rahoza zmarł już dawno, córka jego oczekuje powrotu ukochanego Adama. Leonka Brzezówna, dzięki pomocy Rahożów, ukończyła za granicą wydział medyczny i rozpoczęła praktykę lekarską w małej mieścinie w okolicy majątku Rahożów.

Obie te kobiety są Anicłami opiekuńczymi okolicy.

Wraca Radwan i obwieszcza córce Rahozy śmierć Adama. Zemsta jego dokonana. Zabił młodego Rahożę,—co dla wszystkich pozostało tajemnicą, gdyż rodzina Rahożów uważała Feliksa za samobójcę;— o śmierci Adama on powiadomił córkę Rahozy.

Lecz jeszcze czeka spokojnie ostatnia ofiara — Leonka.

Radwan pozostawił ją w kraju brzydką dziewczyną, wróciwszy zaś zastał dorodną kobietą. W Radwanie raptem powstaje nowa i nieprzewidziana żądza — żądza posiadania Leonki. Leonka kocha go, radaby wyrwać z duszy Radwana chwasty i kłakole; próżny jej wysiłek. Radwan jest ateuszem i sceptykiem, pogardza wszystkim, uznaje tylko swoje żądze. Żoną Radwana Leonka zostałaby chętnie,—kochanką nigdy. A jednak Radwan postanowił posiadać ją — z e r w a ć k w i a t L o t o s u. W istocie — jak huragan nocą zwalił się do mieszkanka młodej doktorki, która za jedyną opiekunkę miała matkę — waryatkę. Leonka została schaubioną, — na drugi dzień znaleziono ją bez życia, a obok niej próżną flaszeczkę po truciznie. Radwan po raz pierwszy w życiu poczuł ból i żal w piersi.

W apoteozie powieści autorka za bardzo nieprzejrzystą zasłoną ukazuje Rafała Radwana, skruszonego pokorą u stóp krzyża.

Jak widzimy w doborze efektów autorka nie jest zbyt wybredną. Czyny przewidziane kodeksem karnym, stanowią główne tło obrazu. Pojedynek bez świadków, śmierć (aż pięć czy sześć trupów rzuciła autorka na pokaz czytelnikom), zgwałcenie tylko

jedno, samobójstwa aż dwa—przez otrucie i powieszenie (Griszan, pomocnik leśniczego, wiesz się), bohaterskie dobrowolne zwichnięcie ręki w drzwiach (Radwan czyni to naumyślnie w Monachium)—doprawdy, że to za dużo na jedną powieść. W dodatku jedynie ocalała z rozbitcia córka Rahozy,—lecz i ta obok rany w sercu, ma rany w płucach—jest suchotnicą.

Główny pomysł powieści skoncentrowała autorka w osobie Rafała Radwana, który ma być—demonem.

Ale czego demonem? Czy demonem zła? Nie,—takim autorka go nie przedstawia. Rafał Radwan—jest to umysł skrzywiony, lecz dążący do poznania prawdy. Tak jasnego i podniosłego ideału demon mieć nie może, i na odwrót, człowiek, który tak świetlany stawia sobie ideał, —demonem zwać się nie powinien. Demon—to duch zła, duch przewrotności. Rafał Radwan, to człowiek, obdarzony samodzielnym i wyższym umysłem i nadzwyczajną siłą woli. Umysł, szukający prawdy, może zbaczać na manowce, lecz zawsze dąży do światła. Jeśli dochodzi do sceptyzmu,—to w każdym razie wyrzeka się tylko wszelkiej teorii i możliwości poznania, lecz jeszcze nie staje się przewrotnym. Przewrotność i zło w człowieku nie wynika z umysłu jego, nie z abstrakcyjnych teorii, które dążą do poznania prawdy, lecz z charakteru, z namiętności, z temperamentu i z niezaspokojonych żądz i pragnień.

Autorka mięsza to wszystko bezładnie, odejmując swemu „demonowi“ to, co stanowi istotę demonizmu—poznanie, wiedzę.

Rafał Radwan, — to niedouczony medyk, niedouczony filozof, niewykształcony socjolog i reformator ludzkości,—w ogóle to frazesowicz, bez jasno zdefiniowanych celów. Radwan co chwila oburza się na fałsz i obłudę, co chwila deklamuje o wiedzy i prawdzie,—a postępuje wbrew tym ideałom i daje się porywać bajkom pijanego studenta.

Demon autorki bezmyślnie powtarza znaną zwrotkę, że najprzód trzeba zburzyć to wszystko co jest, zanim się wzniesie nowe gmachy wiedzy. Cóż, kiedy on sam nawet nic nie burzy, w nic się nie wdaje, tracąc czas na podpatrywaniu i krytykowaniu romansów swoich kolegów, lub na spełnianiu zadań niepowołanego mściciela. Za co, na co i po co pada trupem poczciwy z kośćmi szaloputa Feliks Rahoza,—trudno to odgadnąć. I to taki wielki, demoniczny umysł po to schodzi z obranych i wyfilozofowanych dróg życia, aby, jak zółw, w pojedynku bez świadków, zabijać młokosa dla drobnych uraz koleżeńskich, dla bezmyślnych żarcików i sprzeczek!

W istocie—ten demon wygląda na zawadykę—studenta, któremu brak zdolności nie pozwala kończyć kursów. Tryumfy zaś, które odnosi ów „demon“ autorki, nie są tryumfami demona. Cóż trudnego przewrócić w głowie pensjonarce z 5-tój klasy drwinkami z wyznawanej przez nią wiary? Co trudnego burzyć gmachy wierzeń, które na wątłym sercu dziewczyny zbudowała miłość matce-

rzyńska? Czy to tryumf demona? A co to trudnego rozkochać w sobie cudzą narzeczoną, gdy ta narzeczona jest prawie obojętną dla swego narzeczonego? Albo i karygodny postępek z Leonką,—to nie tryumf rozumnego, głębiej myślącego człowieka,—ale człowieka, który drwi z namiętności i żądz całego świata!

Gdyby Radwan zdołał uwieść Leonkę w epoce, gdy rozum jej się rozwinął, gdy serce jej zmeźniało,—gdyby Radwan przy pomocy przewrotnej sofistyki zdołał zamącić jasne myśli Leonki, wypełnić z niej poczucie obowiązku i cnoty, i pojąć ją—za jej zgodą,—wówczas byłby demonem zła, demonem w istotnym tego słowa znaczeniu. Lecz jeśli Radwan przemocą zwyczajnej brutalnej siły ubezwładnia fizycznie kobietę, staje się zwyczajnym zbrodniarzem w rodzaju złodzieja, lub zaczajonego mordercy, wobec takiego czynu i takiej konsekwencji—uczucia estetyczne nie istnieją. Czytelnika przejmuje wstręt i obrzydzenie.

Ten moment powieści, tłómaczy jej tytuł, który już sam przez się czyni utwór Maryi Rodziewicz—chybionym ze względu na pomysł zasadniczy.

Autorka często wyraża się o Radwanie w ten sposób: „pysznym był ten demon“ nie,—nie pysznym, lecz wstrętnym jest ten „student“, kwalifikujący się na ławy oskarżonych, ten „projekt“ na „dziedzicznego“ zbrodniarza. Postępki Radwana wymownie ilustrują istotę tego człowieka. O jego studiach i zdolnościach opowiada autorka na każdym miejscu, lecz w słowach jej „demon“ śladu tych studyów nie znać. Niedouczony gimnazysta z VIII klasy powtarza mniej więcej w ten sposób niezrozumiałe dlań frazesy radykalnych i materialistycznych teorii. Żądy wiedzy nie zdradza ten, kto nie kończy żadnych studyów naukowych, lecz rzuca rozpoczęte, zaledwie dotknąwszy zasad danej nauki.

Przez cały ciąg powieści Radwan cierpi widoczny wstręt do kobiet; według pojęć autorki wstręt taki musi wywołać reakcją—i skończyć się wybuchem gwałtownej fizycznej żądy. Takiej teorii dotychczas nie znamy i nie wyznajemy.

W ogóle nie rozumiemy tego wstrętu w człowieku, który napawa się atmosferą szynkowni studenckich; oddaje się obfitym libacyom w gronie kolegów, — a Radwan w Monachium. a przypuszczalnie i w Warszawie, chętnie spędzał noce w piwiarniach i tym podobnych zakładach. W takiej przynajmniej sytuacji przedstawia nam go autorka w Monachium. Zkąd więc powtarzamy ten wstręt do kobiet, jaki na każdym miejscu drastycznie zaznacza autorka? Nie pojętem jest również, czemu przypisać miłość Adama Lachnickiego do Radwana, który drwi z najgorętszych a szlachetnych uczuć Lachnickiego, — a co ważniejsza, iż drwi z niewinnej kobiety, ukochanej przez tegoż Adama. Takich drwin—prawy mężczyzna nie zniesie, a ciężka obraza kobiety ukochanej zrywa węzły przyjaźni, lecz nigdy ich nie nawiązuje. A tu tymczasem, po wszystkich wymy-

słach i obelgach; jakie na ukochaną przez Adama córkę Rahozy wypowiedział Radwan,—ów Adam rzuca się w jego objęcia i rusza z nim w świat daleki.

Ależ tu brak—logiki.

Oczywiście — łatwo bardzo zapewnić powodzenie w powieści ulubionemu bohaterowi, lecz dla czytelnika należy to powodzenie uczynić prawdopodobnym. Radwanowi wszystko dzieje się jak z płatka, lecz czemu to przypisać, niewiadomo.

Otóż bohater autorki, to ani demon, ani filozof, ani reformator społeczny, lecz brutalny awanturnik, który pragnie świat olśnić strzępkami wiedzy, ubranymi w retoryczne kwiaty. Oóż, kiedy przez te kwiaty retoryki przegląda taki bezsens, że o rozum samodzielny i śmiały—Radwana nikt nie posądzi.

Autorka tak lekko szkicuje resztę postaci, tak ciągle i jednostajnie na pierwszy plan wysuwa swego niedouczzonego ateusza,— że o innych kreacjach nie warto nawet wspominać. To tylko zaznaczamy, że często każde wszystkim spełniać „nahludzkie“ czyny, co pozbawia ich oczywiście cech przymiotów ludzkich.

W tém miejscu zaznaczamy, że „Kwiat Lotosu“ przypomina nam pod względem roboty „Dewajtisa“. I w jednej i w drugiej powieści jedna tylko, właściwie mówiąc, działa osoba; tu Rafał—tam Marek, reszta osób,—to stale szablon. Ta maniera w pisaniu powieści jest bardzo szkodliwą;—w powieści występuje zawsze wiele osób,—wszystkie powinny żyć i działać.

A jednak, pomimo wszystkich wad tego utworu. pomimo karykaturalności głównej postaci i potworności czynów bohatera—widzimy w autorce talent, godny rozwinięcia. Autorka posiada w szkicowaniu śmiałe rzuty,—radzibyśmy widzieć delikatne jej cieniowania. Bez opracowania szczegółów, całość zawsze będzie niewykończoną: szkice, to tylko początek roboty.

Oprócz tego zaznaczamy, że autorka podjęła zamiar nad swoje siły: chciała przedstawić demona, a stworzyła—karykaturę.

Nadmienić wreszcie musimy brak u autorki studyów przygotowawczych. Scena w piwiarni Monachijskiej między studentami świadczy o zupełnej nieznajomości życia studenckiego. Możemy zaręczyć autorce, że studenci nie pozwalają nigdy jednemu pośród siebie, nawet najbardziej lubianemu koledze, wymyślać bez żadnego powodu zebrany kolegom od ostatnich słów, jak to ma miejsce w owiej piwiarni Monachijskiej. W ogóle smak estetyczny i poczucie piękna cierpią bardzo w powieści „Kwiat Lotosu“.

Talent autorki, zdaniem naszym, polega na wskazanej powyżej śmiałości rysunku i wyrazistości kolorytu. Każda scena wychodzi barwnie i wyraziście. Tylko pomiędzy epizodami brak łączności, brak przewodniej myśli, łączącej oddzielne sceny w jedną całość.

Sądzymy, że ta nieudana powieść Marii Rodziewiczówny była jedną z prób, które mogłyby się nie pokazywać światu. Zwracamy wre-

szcie uwagę autorki na to jeszcze, że kto w usta swego bohatera wkłada jakieś teorye, to oczywiście znać je sam powinien. Inaczej płącze bezładne frazesy, często wprost sprzeczne, lub bez żadnej głębszej łączności. Nielatwe podjąłby zadanie, ktoby pragnął z bezładnych tych frazesów i wykrzykników Rafała dowiedzieć się, jaką teorią wyznaje sam Radwan, ów pseudo-demon.

Pod względem społecznym i życiowym powieść ta nie posiada żadnej wartości. Jakie społeczeństwo, które prądy chce odmalować autorka, odgadnąć trudno. Być bardzo może, iż p. Rodziewiczówna podjęła tendencyjną walkę przeciwko ateizmowi — lecz przeprowadziła ją bardzo nieszczęśliwie. Tendencyjność zbyt jaskrawa w powieści jest niebezpieczna, bo zabija artyzm.

Wreszcie dodać jeszcze musimy, że nawet w powieści unikać trzeba zdań na wiatr wypowiedzianych jak np. to gdy autorka opowiada nam, że „dziecko wertowało Spinozę i Darwina, nabijając sobie głowę fałszem i sofizmatami“. Teorye Spinozy i Darwina można krytykować; ale tak od niechcenia okolicznościowo dzieci niemi straszyć nie należy, zwłaszcza, że nie rozumiemy, które to dziecko zdolnymby było do wertowania dzieł Spinozy i Darwina. Takie genialne dzieci rodzą się chyba tylko w głowie autorki.

Pragnęlibyśmy, aby sz. Autorka, nie łudząc się zwodniczym w pierwszej chwili powodzeniem, pracowała gorliwie nad głębszym wykończeniem każdego swego utworu, a wtedy można się spodziewać, że chociażby nawet zmniejszyć się miała ilość jej utworów powieściopisarskich, to, przy niezaprzeczonem talencie, jakoś ich zyskać na tém tylko może.

J. K. Dworzaczek.

„Kwestya mieszkań“. Napisał Adolf Suligowski. Warszawa. 1889 r.
8 o m. str. 86, 2 nl.

Osnowa książki, której tytuł w nagłówku wypisaliśmy, nie odnosi się do kwestyi mieszkań w ogólności, jakby z napisu wnosić można; ale ogranicza się na przedstawieniu istniejących stosunków mieszkalnych w główniejszych miastach europejskich; szczegółowiej zaś mówi o zaniedbaniu tej ważnej sprawy społecznej tylko w Warszawie.

Praca p. Suligowskiego pojawiła się na czasie nietylko z tego względu, że kwestya mieszkań należy zawsze do ważnych spraw higienicznych i społecznych ludności miejskiej, lecz i dla tego, że Warszawa w obecnej chwili stara się o to, aby być miastem dobrze urządzonem pod względem sanitarnym, bo kanalizacya i coraz staranniejsze utrzymanie czystości miasta, opieka nad skwerami, i zadrze-

wianie ulic wiele na zdrowotność miasta wpłynąćby mogły, gdyby nie stała temu na przeszkodzie kwestya mieszkań, będąca najcienniejszą stroną życia miejskiego Warszawy. Większość mieszkań, zwłaszcza klas roboczych, jest siedliskiem niezdrovia, co dawno już było powinno zwrócić na siebie uwagę władzy, ekonomistów i filantropów. Brak czystego powietrza, światła i ciepła, połączone z wilgocią, wytwarza między ludnością nagromadzoną w tych mieszkaniach skrofuły, tuberkuly i choroby chroniczne wszelkiego rodzaju. Hygiena miast, zarówno jak hygiena ogólna, wielki postęp w wielu krajach zrobiła, gdy my, mieniący się narodem cywilizowanym, tak długo czekamy z wykazaniem warunków zdrowotności mieszkań, tak niedbale bierzemy się do ich wykonania. To też praca p. Suligowskiego powinna rozbudzić opinią, skłonić ogół do przedsięwzięcia środków, usuwających fatalne warunki mieszkań i ostrzedz o następstwach przemieszkiwania w tych norach brudnych i niezdrovych, przepelnionych lokatorami.

Autor we wstępném słowie, mówiąc o trzech zasadniczych potrzebach człowieka, pożywieniu, okryciu i schronieniu, ostatniemu najważniejszą rolę przyznaje. Określiwszy znaczenie mieszkania dla zdrowia i życia społecznego, pan S. wspomina ile to czasu było potrzeba, zanim kwestya mieszkań weszła na porządek dzienny. Dopiero w wieku bieżącym choroby zaraźliwe i epidemiczne zwróciły na tę sprawę uwagę narodów i pierwsza Anglia a raczej jeden z jej obywateli, adwokat Edwin Chadwick, ujawnił kwestyą i przedstawił ją w całej grozie. Drugą była Francya; ale tam nie wiele zrobiono; trzecie Niemcy, gdzie inicjatywa prywatna głównie działała.

Po takim wstępie, autor zwraca się do stosunków mieszkalnych Warszawy, gdzie ze zwiększeniem ludności nie idzie na równi wzrastanie ilości budowli, zwłaszcza, że podwojona od lat dwudziestu ludność zamieszkuje na tój samėj przestrzeni co dawniej. Coraz wyżj piętrzą się domy, zapełniają otwarte place, budują oficyny. Słusznie określa autor ten fakt: „miasto rozrasta się w kierunku pionowym, w górę i na dół, ale nie prawie w kierunku poziomym“. Znajdujemy tu także wzmiankę o braku dobrej wody, czego chyba nie można powiedzieć o domach, połączonych z nowemi wodociągami.

W rozdziale II-im opisano mieszkania uboższych. Smutny to nadzwyczaj obraz. Najwięcej jest w Warszawie mieszkań jednoizbowych, bo 46 proc. dwuizbowych 23 proc.; w suterynach na jedną izbę wypada $3\frac{1}{3}$ lub $3\frac{1}{4}$ osób. A i większe mieszkania — trzy-, cztero-izbowe są siedliskiem nędzy; mieszczą się tu bowiem warsztaty różne, współlokatorowie, których w Warszawie jest 48,845 osób. W ten sposób $\frac{2}{3}$ ludności warszawskiej źle mieszka. Mieszkań najgorszej kategorii w suterynach, na poddaszach, na 4-ym piętrze 17 proc., izb 18,397, mieszkańców 63,941. Ale nie Czytelnika tak nie oburza jak ta wiadomość, że jest w mieście 1,515 izb całkiem bez okien, 2,985 bez ogniska; są prócz tego i bez okien i bez ogniska izby, zamieszkałe

przez 16,000 ludzi. Pan S. serdecznie też przemawia za tą nędzą, za ludźmi, którzy także spełniać muszą różne obowiązki społeczne, pracować ciężko, utrzymywać rodzinę, wychowywać dzieci.

Jeśliby ktoś zrobił zarzut, że wszędzie dzieje się to samo, niech posłucha, jak te stosunki wyglądają za granicą. Przedewszystkiem ceny izb warto porównać: w Londynie kosztuje jedna izba około 4 rs. miesięcznie, w Paryżu $6\frac{1}{2}$ — $7\frac{1}{2}$, u nas rocznie 100 rs. W Berlinie mieszkań bez ognisk 1,3 proc., u nas 4 proc., izb bez światła w Berlinie nie ma.

Ta nędza mieszkań w ostatnich latach wciąż się zwiększa, oddziałując ujemnie na ludność pod względem fizycznym i moralnym.

Skutki fizyczne są następujące. Procent śmiertelności w stosunku do gęstości zaludnienia: W Londynie 8 głów na dom, śmiertelność roczna 24 na 1,000 osób; w Berlinie 32 głów na dom, śmiertelność 25 na 1,000; w Paryżu 35 głów na dom, śmiertelność 28 na 1,000; w Warszawie 93 głów na dom, śmiertelność 43 na 1,000 osób. W porównaniu więc z wymienionemi miastami, w Warszawie umiera o 18 ludzi na 1,000 więcej, co na ogół ludności wyniesie 8,100 osób. Tylko poprawa mieszkań może przynieść zmianę ku lepszemu, czego przykładem Anglia. Kiedy bowiem pobudowano odpowiednie domy dla robotników w Londynie, śmiertelność znacznie się zmniejszyła. W porównaniu z cyrkułem, w którym mieszkania były najgorsze, pokazało się, że w tych mieszkaniach śmiertelność była 8 do 10 razy większa, chociaż domów nowych nie stawiano w oddalonych dzielnicach, lecz w samém mieście.

W Warszawie choroby również nawiedzają ludność w nienormalnym stosunku. W latach najzdrowszych, wolnych od epidemii, umiera z chorób pomorkowych około 15 prz.; naturalnie choroby te dotyczą głównie lokatorów nędznych mieszkań. I tu poprawa mieszkań dużo pomódz może. Pomoc taka leży w interesie klas biedniejszych, ale czy nie powinna zajmować ogółu? W normalnych warunkach choroby biedniejszej ludności, nie zbyt szkodzą bogatszym, ale w razach epidemii rozszerzają się one wszędzie; biorąc początek u dołu wejdu i na górę.

Ze strony ekonomicznej straty z tąd wynikłe są również poważne. Jak powiedziano: w Warszawie umiera 8,100 osób po nad zwykłą normę śmiertelności, w czem 2,700 ludzi pracy produkcyjnej. Przyjmując przeciętną wartość pracy człowieka na 1 rs. dziennie (za wysoka norma, nasza bieda nie zawsze tyle zarabia, zwłaszcza kobiety, które się także pracą produkcyjną zajmują) czyni 365 rs. rocznie; a zatem śmierć 2,700 ludzi stanowi w ciągu roku blisko milion rubli straty. Nadmierny stosunek chorób, wywołuje także strat na 486,000 rs. rocznie. Śmiertelność ludzi nieprodukcyjnych do lat 20 tu, stanowiąca 5,400 osób rocznie, powoduje stratę wydatków, poniesionych na wychowanie jednostki, co obliczyć można na 2 mil. rubli, razem więc ogół strat wynosi $3\frac{1}{2}$ mil. rubli.

Zwiększona śmiertelność i co za tem idzie skrócona przeciętno długość życia, prowadzi do zmniejszenia liczby ludzi dojrzałych, powołanych do podtrzymania swym trudem pracy ekonomicznej. W Warszawie na 52 osoby w wieku produkcyjnym, wypada 43 w wieku nieprodukcyjnym, nie licząc starców. Tymczasem w Paryżu nieprodukcyjnych 28 prct., produkcyjnych 63 prct., w Berlinie 36 prct. i 59 prct.

Pod względem moralnym, muszą nędzne mieszkania bardzo ujemnie oddziaływać. Sprawdzono to w Anglii. W miarę rosnącej nędzy mieszkaniowej wznaga się nie tylko śmiertelność, ale współrzędnie podnosi się pijaństwo i nieuctwo. Dla uwydatnienia tego wzięto za podstawę płacących mniej od 7 fun. szt. rocznie za komorne, i okazało się, że liczba karanych za pijaństwo podnosi się blisko o 70 prct., nieumiejących czytać i pisać 50 prct., w porównaniu z tém, co widzimy w okręgach, gdzie mniej ludzi źle mieszka. W Paryżu to samo się dzieje; w Mühlhuzie (Alzacya) ludność przedstawiała się jak najgorzej, dopiero gdy za Napoleona III pobudowano dla téj ludności nowe domy i poprawiono byt pod względem mieszkań, stan rzeczy zmienił się do niepoznania. O Warszawie autor cyfr takich nie podaje, tylko oblicza cyfrę nieumiejących czytać i pisać, co stanowi prawie połowę ludności, nie licząc żydów także w większości nieczytelnych i niepiśmiennych w języku polskim. Szkoda, że sz. autor nie zaznaczył dodatniego rysu biednej ludności, która pomimo nędzy nie oddaje się pijaństwu.

W końcu rozdziału autor nieco pesymistycznie zapatruje się na poprawę rzeczy w téj kwestyi, utrzymując, że w obec braku oświaty, zdrowe pojęcia szerzyć się nie mogą, ponieważ dobre i rozumne kierunki mogą iść z góry z chwilą, gdy świadomość niebezpieczeństw wskazanych stanie się ogólną a właściwie praca p. Suligowskiego będzie ku temu wyborań podniętą i przewodniczką.

W rozdziale III mowa jest o mieszkaniach zamożniejszych. Sprawa to nie tak ważna, więc krócej się nad nią zatrzymamy, główne tylko uwagi autora poruszając. Otóż, owi zamożniejsi obszerniejsze mają mieszkania, aniżeli w Berlinie lub Hamburgu, co nie wynika z bogactwa, ale może z życia nad stan, przytem urządzenie tych mieszkań dość jest oryginalne. Trzy-pokojowe mieszkanie musi mieć salon, a w dwóch przepełnienie lokatorów. Liczba sług także jest za duża. Rozmaite nie potrzebne wydatki w życiu zamożniejszych i biedę biednych, autor charakteryzuje temi słowami: „Z jednej strony na dołu nędza mieszka, z drugiej u góry marnotrawstwo w mieszkaniu“.

„Drogi poprawy“ stanowią przedmiot rozdziału IV. Głównie ma tu autor na myśli mieszkania klas niezamożnych. Warszawa z dawien dawna nie miała mieszkań znośnych nawet dla klas pracujących, a pogorszenie znaczne nastąpiło od 1868 r. z przyczyn

powiększenia się ludności w dwójnasób. Z roku na rok napływały tutaj tysiące jednostek, a skutkiem braku mieszkań wzmogła się konkurencja lokatorów. Budowano nowe domy, jednak nie tyle, ile przyrost ludności wymagał. Spekulacja wywołała wyższą cen lokali, następnie obniżała waluty, która powodując podrożenie wszelkich przedmiotów, t \acute{e} m sam \acute{e} m i cenę mieszkań podniosła.

Wśród takich warunków stanowi nadmierna drogosc \acute{e} mieszkań smutną fizyognomią mieszczaństwa naszego. Drugą cechą jest brak mieszkań i związane z nim przeludnienie tych nędznych lochów. Trzecią nareszcie cechą, to powszechna wadliwość mieszkań przeznaczonych dla t \acute{e} j kategorii lokatorów.

Co więc robić dla poprawienia tych stosunków?

Drożyna mieszkań jest pewnikiem, ale ani ich cen nie można obniżyć, ani zarobków klas pracujących gwałtownie podnieść. Niech stanie w różnych punktach sto domów z mieszkaniem dla biedniejszych, po cenie umiarkowanej, a wtedy przyjdzie prawdziwa konkurencja. W nowych domach znaczna ilość ludzi znajdzie pomieszczenie, opustoszeją dawniejsze mieszkania, a to zmusi ich właścicieli do ulepszeń i zniżenia ceny komornego. Drugi kierunek powinien mieć na oku poprawienie złych i wadliwych mieszkań; trzeci zwrócić się ma ku zwalczeniu ciemnoty klasuboższych, ku upowszechnianiu wiadomości higienicznych i t. p.

Co zrobiono dla poprawy za granicą?—objaśnia nas rozdział V. Wymieniamy tu najważniejsze postanowienia. W Anglii prawa z 1834, 1844 i 1848 r. ustanawiają urzędy sanitarne do kontrolowania stanu mieszkań. W 1868 r. *Torens act* zagnała właścicieli domów z mieszkaniemi bardzo opuszczonemi do poprawienia ich, pod groźbą zamknięcia lub zniesienia bez indeminizacji. Praktycznemi były dwa bile: z 1866 r., dający pożyczki dla przedsięwzięci i osób prywatnych na budowę domów dla robotników, drugi z 1883 roku, zobowiązujący towarzystwa tramwajów i dróg żelaznych do znacznego obniżenia cen przejazdu dla robotników. Najpłodniejszą jednak była działalność społeczeństwa angielskiego. Powstały towarzystwa budowlane z inicjatywy arystokracji i ludzi wielkiej fortuny, następnie potworzyły się spółki, np. instytucja *Peabody Buildings*, posiadająca 17 dzielnic w Londynie z mieszkaniemi zdrowemi dla robotników. Istnieją przyt \acute{e} m stowarzyszenia robotnicze do budowy domów, z samych robotników złożone, którzy za pomocą dorobnych miesięcznych składek wytwarzają fundusz pożyczkowy na kupno lub budowę domów dla swych członków. Piękny t \acute{e} ż czyn spełnia angielska *Octavia Hill*, wyszukująca domy zaniedbane, urządza je odpowiednio i wynajmuje biedniejsz \acute{e} j warstwie. Z małemi funduszami zacna filantropka doszła do tego, że przedsięwzięcie przez nią podjęte posiada 57 budynków, wartości 311,767 funt. szter. a mieszka w nich 11,582 osób. We Francji reformy na t \acute{e} m poln \acute{e} mniej pomyślnie przeprowadzają. Komisye sanitarne, zależne do

uznania zarządu gminy miejskiej, rzadko gdzie powstawały; dopiero w tych czasach, deputowany Nadaud wygotował projekt ustanowienia wszędzie komisji sanitarnych i zapewnienia im szerszej władzy. W 1852 rząd wyznaczył 10 mil. franków na poprawę mieszkań robotniczych. Napoleon III kazał wybudować 41 domów dla robotników w Paryżu. W Niemczech działalność objawiła się w trzech kierunkach: towarzystw budowlanych, stowarzyszeń robotniczych i pojedynczych przedsięwzięć. Prócz tego potworzyły się towarzystwa akcyjne, z pomiędzy których kilka nie miało powodzenia, skutkiem braku przedsiębiorczości.

Ostatni rozdział VI bada, co zrobiono u nas dla poprawy tych stosunków i co zrobić wypada? Znajdujemy tu rejestr tych nielicznych środków, które u nas przedsięwzięto. W 1876 r. zakazano wznoszenie w obrębie miasta domów drewnianych, domy grożące zawaleniem nakazano natychmiast naprawiać, a często rozebrać. W 1856 r. wyznaczono komitet do regulacji miasta; ale dotychczas nic ważniejszego w kwestyi mieszkań nie zrobiono. W 1862 roku zawiązano spółkę budowy domów dla rzemieślników i robotników, która obecnie posiada trzy domy i cztery place; stan majątkowy spółki jest dobry, ale widząc zarobek w sprzedaży, spółka stopniowo wyzbywała się domów. W 1873 r. pojawił się projekt towarzystwa budowlanego, zatwierdzony przez rząd. Zadaniem towarzystwa miało być budowanie domów na własny rachunek, lub na zlecenie, urządzenie targów, ogrodów i t. d. pośrednictwo przy kupnie i sprzedaży ruchomości i t. p. Towarzystwo do skutku nie doszło.

W literaturze sprawa nie przedstawia się lepiej. Pierwszy początek dała „Biblioteka Warszawska“, drukując w roku 1849 T. 3, str. 482 — 495, rozprawkę tłómaczoną z francuzkiego „O mieszkaniach dla klas robotniczych“.

Po zaburzeniach czerwcowych r. 1848 w Paryżu, generał Cavaignac, wówczas prezydent władzy wykonawczej we Francyi, wezwał Akademię nauk moralnych i politycznych, aby przyłożyła się do usiłowań rządu, walczącego w obronie zasad porządku społecznego. Akademia, dążąc do uspokojenia umysłów przez oświecenie, ogłosiła w zakresie potrzeb społecznych mnóstwo pism ulotnych; dla skuteczniejszej zaś działalności w tym kierunku, zapragnęła poznać rzeczywisty stan położenia i stosunków materialnych i moralnych klas robotniczych w całej Francyi. W tym celu wydelegowała jednego ze swoich członków, p. Blanqui, aby objechał kraj cały a szczególnie departamenty rękodzielniczo. Powróciwszy z tój wyprawy, odczytał Blanqui szczegółowy raport na posiedzeniu akademii dn. 2-go grudnia 1848 r., w którym jako przyczynę zaburzeń, trapiących od tylu lat Francją, uznawał pauperyzm i utopie, a za jedną z najwięcej stanowczych przyczyn tój plagi zaznaczył „niezdrowe mieszkania klas robotniczych“, o której usunięcie błagał

w imieniu ludzkości i moralności. Raport Blanqui'go, zawierający bardzo wiele gruntownych spostrzeżeń, przedstawiła „Biblioteka Warszawska“ w przekładzie polskim ku nauce i dalszemu postępowaniu na wskazanej drodze dla społeczeństwa naszego. Głos ten nie poruszył jednak innych pism polskich. Luźne artykuły, jeżeli były, nie pozostawiły po sobie śladu. Autor słusznie to nazywa wymownym dowodem naszej apatii; że nic nie robimy, to jest mniej-sza, ale że zgoła nad tak ważną kwestyą się nie zastanawiamy, a co zatem idzie, wcale téj kwestyi nie rozumiemy, czego już niczem usprawiedliwić ani wytłomaczyć nie można.

Na pytanie co robić? pan S. zwraca przedewszystkiem uwagę na potrzebę rewizyi przepisów policyi budowlanej; uzupełnienie ich w kierunku mieszkań i ich zdrowotności, ustanowienie organów kontrolujących i t. p. Najskuteczniejszą ulgę przyniosłaby pomoc społeczna, nie w formie dobroczynności, lecz w skierowaniu środków materialnych na budowę domów dla niezamożnych i na ulepszenie ich mieszkań za stosownem za to wynagrodzeniem. Założyć zatem trzeba dwa towarzystwa budowlane, jedno dla kupowania placów i budowania domów, drugie dla zakupywania domów w złym stanie i ulepszania znajdujących się w nich mieszkań. Co do kapitałów, zacząć na razie trzeba z mniejszym, pozyskać pożyczkę towarzystwa kredytowego m. Warszawy, rozszerzając działalność stopniowo w miarę powodzenia. Jednocześnie powinna się rozwinąć działalność indywidualna, czerpiąca przykłady we wzniosłych czynach, które powyżej przedstawiono.

Niemniej ważne są środki najbliższe, które przedewszystkiem użyte być winny. Pierwszym z nich jest przeprowadzenie szczegółowego badania stanu mieszkań biedniejszych, drugim zaprowadzenie wczasopismach stałej rubryki dla badań kwestyi mieszkań, a zarazem dla zbierania faktów życia codziennego z téj dziedziny. Prasa zaspala sprawę—niech więc, choć późno przyzna jęj należne miejsce i otworzy dyskusyą.

Na tém kończy się praca p. Suligowskiego, praca którą nie tylko z przyjemnością, ale i z niemałym pożytkiem przeczyta każdy. Kwestya zupełnie nieznaną a pierwszorzędnego znaczenia nietylko dla Warszawy ale dla wszystkich miast naszych, gdzie stosunki mieszkalne są oplakane, znalazła wyjaśnienie w pracy rozumnie, źródłowo, przystępnie napisanej. Niechbyśmy więc tego rodzaju prac mieli w sprawach innych naszych trosk i naszej biedy, możeby prędyj świadomość zadań społecznych i energia w ich wykonywaniu wszczepiły się w zbyt apatyczny organizm narodu.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wystąpienie cesarza Wilhelma II-go z projektem reformy stosunków ekonomiczno-socyalnych. Reskrypty cesarskie z dnia 5 lutego r. b. a) do ks. Bismarcka, b) do bar. Berlepscha, ministra handlu, robót publicznych i przemysłu. Pogląd na ogólne znaczenie wystąpienia cesarskiego. — Zagajenie przez Wilh. II posiedzeń pruskiej „Rady Stanu“ (dn. 14 lutego), zwołanej dla wypracowania szczegółowego programu wprowadzenia w wykonanie zamiarów cesarskich.—Przygotowania dyplomatyczne do zwołania konferencji międzynarodowej do Berlina.—Spisek bułgarskiego majora Panicy w celu wyrócenia rządów ks. Ferdynanda Koburskiego w Bułgarii.—Wystąpienie Filipa ks. Orleańskiego, jako „rekruta“ do wojska republikańskiego.—Ponowny wybór bulanżystów przez m. Paryż.—Nowe wybory do parlamentu rzeszy niemieckiej: porażka na całej linii dotychczasowej większości bismarckowskiej.—Sprawozdanie komisji kolonizacyjnej za rok 1889 z operacji zakupna i parcelacji dóbr polskich w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich.—Posiedzenie Akad. Nauk w Petersburgu dn. 23 stycznia r. b.—Posiedzenie publiczne nowo założonego Towarzystwa historycznego przy uniwersytecie petersburskim.—Przepisy egzaminacyjne dla nauczycieli szkół powiatowych oraz nauczycieli i nauczycielek szkół domowych, elementarnych i początkowych.—Widoki reorganizacji szkół gimnazjalnych. — Posiedzenie komisji historii sztuki w Akad. Um. w Krakowie dnia 3 grudnia 1889 r.—Posiedzenie komisji historycznej Akad. Um. w Krakowie dn. 6 grudnia 1889 r.—Posiedzenie Wydziału histor. filoz. dn. 16 grudnia.—Posiedzenie komisji histor. Akad. Um. dn. 28 grudnia 1889 r.—Posiedzenie komisji historii sztuki dnia 4 stycznia 1890 r.—Posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. w lutym r. b.—Zjazd gospodarczy w Toruniu.—Spis referatów, zapowiedzianych na II-gi zjazd historyków polskich we Lwowie, przy odezwo Komitetu o wczesno zgłaszanie się z udziałem.—Walne zebranie Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie dn. 2 lutego 1890 r.—Odezwy Komitetu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Polskiem: konkurs malarski im. prof. Wojciecha Gersona i stypendyum z zapisu ś. p. Ign. Ciszewskiego dla uczniów sztuki rzeźbiarskiej.—Archeologia: Wykopaliska w Galilei w Palestynie.

Uwagę prasy europejskiej w miesiącu lutym r. b. zajmowało przeważnie wystąpienie cesarza niemieckiego Wilhelma II z ini-

cyatywą uregulowania z pomocą władzy państwowej burzących się coraz gwałtowniej interesów ekonomiczno - społecznych a w szczególności robotniczych. W chwili agitacji przedwyborczej do parlamentu rzeszy niemieckiej nie odzywało się już ze strony rządowej hasło „walki z socjalistami“ tak głośno, jak się można było spodziewać po odrzuceniu w sejmie projektowanej przez rząd obostrzonej nowej ustawy „antysocjalnej“.—Tym miłą niespodzianką były dwa reskrypta cesarskie, (ogłoszone dn. 5-go lutego r. b.), tętnące pieczołowitością o losy klasy robotniczej, i zapowiadające zwrot w dotychczasowej polityce socjalnej Niemiec. Pierwszy z tych reskryptów, zwrócony do kanclerza państwa, ks. Bismarcka, opiewa:

„Postanowiłem przyczynić się do polepszenia losu robotników niemieckich, o ile tylko będę w stanie pogodzić to z dbałością moją o pomyślne współzawodnictwo produkcji niemieckiej na rynkach wszechświatowych. Pojmuję dobrze, że złe warunki takiego współzawodnictwa, pozbawiając przemysł nasz możności odbytu zagranicą, nietylko by zrujnowały przemysłowców (pracodawców), lecz pozbawiłyby i robotników chleba. Mniemam zatem, że trudności, płynące z tego współzawodnictwa, ograniczające możność poprawienia losu robotników, należałoby, jeśli nie usunąć, to przynajmniej zmniejszyć w drodze porozumienia międzynarodowego. W przekonaniu, że rządy zagraniczne podzielią chętnie zapatrywania moje i poddadzą wspólnemu rozbirowi te same sprawy, któremi się zajmują międzynarodowe kongresy robotnicze, chcę ażeby dyplomacyjni przedstawiciele mojego rządu we Francyi, Anglii, Belgii i Szwajcaryi zapytali urzędownie tamtejsze rządy, czy się zgadzają na wejście z nami w porozumienie i zwołanie konferencji międzynarodowej celem zadośćuczynienia potrzebom i życzeniom klas pracujących. Gdy tylko nastąpi zgoda na moją propozycyą, upoważniam Pana zaprosić wszystkie gabinety rządów europejskich, interesowanych w sprawie socjalnej, na konferencyą, mającą się zająć rozbiorem i rozstrzygnięciem pytań, odnoszących się do sprawy robotniczej“.

Drugi reskrypt cesarski, równocześnie ogłoszony, zwraca się do nowomianowanego (po zrezygnowaniu tego portfelu przez ks. Bismarcka) ministra handlu i przemysłu, barona Berlepsza, i opiewa:

„Wstępując na tron, zapowiedziałem, iż starać się szczególnie będę o rozwój prawodawstwa socjalnego, w duchu zasad moralności chrześcijańskiej, popieranym przez ś. p. dziada mojego. Lubo dotychczasowe reformy, ustawodawcze i rządowe, przedsiębrane w celu poprawienia losu robotników, są wielce cenne, mimo to nie czynią jeszcze całkowicie zadość programowi, który sobie zakresiłem. Obok dalszego rozwijania ustaw, dotyczących zabezpieczenia robotników przeciw wypadkom losowym i skutkom starości, należy dokładnie zbadać i ulepszyć istniejące ustawy przemysłowe, odnoszące się do stosunków robotniczych, tak iżby zaspokoić w tej mierze żale i życzenia, o ile one są uzasadnione. W badaniu tém należy wziąć za punkt wyjścia zasadę, że władza państwowa obowiązana jest uregulo-

wać czas i rodzaj roboty w ten sposób, aby dogodzić warunkom utrzymania zdrowia, przykazaniom moralności, ekonomicznym potrzebom robotników i słusznemu domaganiu się ich o równouprawnienie. Dla osiągnięcia prawidłowych stosunków między pracodawcami a robotnikami, należy obmyślić i prawnie określić stałe formy obrony robotników, ażeby za pośrednictwem wybranych przez siebie i zaufanych ludzi porozumiewać się oni mogli z pracodawcami i organami rządu. Organ taki służyłby robotnikom do swobodnego wyrażania swych skarg i życzeń, dając zarazem rządowi możność posiadania stałych i dobrych informacji o biegu spraw robotniczych oraz podtrzymywania ciągłego porozumiewania się z nimi. Pragnę, aby państwowe zakłady górnicze stały się w przedmiocie opieki nad robotnikami, wzorem dla zakładów prywatnych, względem których życzę sobie, aby między ich zarządami a dyrekcjami kopalni państwowych wytworzył się związek stały i aby dyrekcje rządowe spełniały wobec prywatnych funkcje inspektorów fabrycznych. Dla przeprowadzenia obrad wstępnych w całej tej sprawie zebrać się ma pod Mojem przewodnictwem rada stanu, przy współudziale rzeczoznawców, których wybór i wezwanie sobie zastrzegam. Jedną z największych trudności rozwiązania sprawy robotniczej we wskazanym kierunku stanowią względy, płynące z potrzeby ochronienia produkcji krajowej w jej walce współzawodniczej z zagranicą, dla tego poleciłem kanclerzowi, aby zaprojektował rządowi zebranie konferencji, celem wspólnego obmyślenia i przeprowadzenia granic, w których obrębie mogłyby się pomieścić wymagania stawiane w sprawie robotników. Kanclerz udzieli Panu odpisu rozporządzenia, które do niego wystosowałem“.

Powołane co tylko dokumenta poruszają sprawy tak doniosłe i szerokie, że dokładny ich rozbiór w sprawozdaniu kronikarskiem jest niemożliwy, tymbardziej, że ogólnikowe ich brzmienie nie odsłania dostatecznie zasadniczej myśli, kryjącej się w intencjach władzcy tak potężnego państwa, jak dzisiejsze Niemcy. W obec potężnego wzrostu socjalizmu występuje tu państwo w charakterze czynnika przewodniczącego, a zarazem miarkującego w tej walce kapitału i pracy, grożącej obaleniem dotychczasowych podstaw życia, gdyby jej pozwolono rozwijać się dalej w obranym raz kierunku. Ta to konieczność interwencji państwowej, różniącej się jednak wielce od socjalizmu państwowego, propagowanego przez ks. Bismarcka, stanowi wskazówkę dalszego rozwoju stosunków socjalnych w kierunku wyzwolenia stanu robotniczego z twardej dotychczasowej zależności od kapitału. Czy państwo, opierające się na idei „Siły przed prawem“ zdoła sprawiedliwie przeprowadzić to zadanie lub nie, od tego zależeć będzie historyczne znaczenie reskryptów cesarskich, które mogą być tém, czém się stało zwołanie „Stanów generalnych“ we Francji r. 1789.

Znaczenie ogólne tych odezwo cesarskich jest ważne nie tylko pod względem ekonomiczno-socjalnym, ale i politycznym, narodowym.

Wobec zbliżającego się końcowego terminu obowiązujących dziś traktatów handlowych Niemiec z Rosyą i Francją (1892 r.),

zawartych w chwili nader korzystnej dla Niemiec, tryumfujących nad Francją i admiirowanych przez sąsiadów, troszczy się cesarz Wilhelm II—(może nawet w zgodzie z ks. Bismarckiem, mimo wszelkich manifestacyjnych przeciwnych pozorów), o przedłużenie i, o ile podobna, o wzmocnienie orazo międzynarodowskodyfikowanie przeważnego wpływu Niemiec nawet i w sferze idei ekonomiczno-socyalnych,—wpływu i stanowiska, mogącego i w przyszłości podtrzymać ekonomiczną i finansową przewagę niemiecką, z której pragną się otrząsnąć nie tylko Francya i Rosssya, ale wszyscy—nawet „zligowani“ — i słabsi sąsiedzi.

Oprócz tego, występuje socyalizm dzisiejszy pod hasłem idei kosmopolitycznych, bo przyczyny, które wywołują to gorączkowe wrzenie socyalistyczne od lat już bardzo dawnych, jak np. monstualny stosunek między kapitałem a pracą, uposledzone stosunki życia towarzyskiego rodzin robotniczych, wobec przewagi roboty maszynowej, trudność dostatecznego zarobku, nakoniecinaga bięda w mieszkaniach zaniedbanych, przy milionach armii, pochłaniających miliardy,—bo, mówię, przyczyny tego oburzenia klas uboższych nie płyną ze źródeł jednego lub drugiego narodu; ale są wyrazem doli i niedoli ogólnoludzkiej. Dla idei narodowych, które za przykładem Niemiec zepchnięto do znaczenia zwierzęcych instynktów zawiści i zaciekłości rasowej, miejsca tu niema; a tymczasem ten wielki „Vaterland“ jeszcze nie zupełnie skonsolidowany, robotnicy niemieccy „fraternizują“ z wszystkimi innymi i psują uprawę gruntu na którym, według „patryotów“ germanii, powinna wyrosć potężna i bezpieczna hegemonia rasy niemieckiej!

W tych momentach kryją się główne przyczyny owęj podejrzliwości, która, wobec dawniej zapowiedzianego i przez wiele państw zaakceptowanego kongressu, zwołanego przez Szwajcaryą do m. Bern, wolałaby dyskutować nad sformułowanym już programem reformy stosunków robotniczych przy niepokąźnym stole szwajcarskim, aniżeli pod naciskiem przemożnej potęgi władcy Niemiec i jego biegłych w sprawach międzynarodowych pomocników, bez sformułowanego wyraźnie programu.

Nieco słabego światła rzuca na intencje rządu pruskiego przemówienie, którém cesarz zagał zapowiedziane w odezwie do bar. Berlepsza posiedzenia zwołanej ad hoc „Rady Stanu“, organu, funkcjonującego tylko wyjątkowo w Królestwie Pruskiém. Osnowa tego przemówienia cesarskiego opiewa:

„Poważném i pełném odpowiedzialności jest zadanie, do którego panów tu powołałem. Przynależna robotnikom opieka przeciwko samowolnemu i bezgranicznej wyszkowi siły roboczej: nicodzowne, po uwzględnieniu uczucia ludzkości i naturalnych praw rozwoju, ograniczenie pracy dzieci; zajęcie się tak ważném, z uwagi na moralne i materialne warunki życia familijnego, stanowiskiem kobiety w rodzinie robotnika i inno z powyższemi łączące się stosunki stanu robotniczego,

moga, zdaniem mojem, być polepszone i uregulowane. Należy jednak z fachową znajomością rzeczy zważyć, do jakich granic nasza industria może znieść wynikające z ścisłych przepisów na korzyść robotników obciążenie, nie tracąc na rynku wszechświatowym nic ze swojej siły konkurencyjnej. W tym bowiem razie zamiast polepszyć, pogorszyłoby się jeszcze położenie robotników. Aby tego uniknąć, potrzeba wielkiej roztropności, gdyż szczęśliwe rozwiązanie tych dominujących w naszych czasach zagadnień, stoi w związku z poruszoną przezemnie sprawą międzynarodowego porozumienia się w tym względzie.

„Niemniej ważne dla zapewnienia pokojowego stosunku pracujących do pracodawców—mówił dalej cesarz—są formy, w których robotnicy znajdą się w możności przy pomocy posiadających ich zaufanie pełnomocników, brać udział w uregulowaniu działalności bezpośrednio ich obchodzącej i w strzeżeniu ich interesów wobec pracodawców. Pożądanemby było, aby przedstawiciele robotników weszli w stosunek z inspektorami górniczymi i fabrycznymi i tym sposobem, aby mogli swobodnie i spokojnie wyrażać swoje życzenia i interesa, władze zaś państwowe, aby były ustawicznie przez tychże robotników dobrze informowane i utrzymywały z nimi tak pożądane a ciągłe stosunki. Również i wydoskonalenie państwowych przedsiębiorstw na wzorowe zakłady, potrzebuje głębszej rozważi“.

W końcu wreszcie dodał jeszcze cesarz: „Przyznaję, że na tém szcęgólniej polu nie wszystkie pożądane ulepszenia dadzą się osiągnąć na drodze tylko państwowej działalności. Miłosierdziu, Kościołowi i Szkole otwiera się obok tego błogosławione pole do rozwinięcia swojej pracy, w której wszelkie ustawy muszą znaleźć poparcie i żywotność, aby wydały pożądane owoce. Jeżeli tedy przy pomocy Bożej zaspokoicie słuszne życzenia pracującego ludu przez projekta, których wygotowanie panom powierzam, wówczas możecie być pewni nie tylko mojej królewskiej wdzięczności, ale i uznania całego narodu“

Do udziału w pracach zgromadzonej Rady Stanu, powołał cesarz nie tylko fachowych dostojników rządowych, ale i znamienitszych reprezentantów z kół przemysłowych, handlowych i rzemieślniczych. Dla łatwiejszego i gruntowniejszego rozbiornu rozlicznych szczegółów, członkowie Rady Stanu postanowili pracować w dwóch departamentach, mianowicie: a) w departamencie spraw zarządu wewnętrznego; b) w departamencie handlu i przemysłu.

Nie przesądając owoców tej zabiegliwości cesarza Wilhelma II-go co do uporządkowania stosunków robotniczych, zwłaszcza, że prace Rady Stanu trzymane są z woli cesarza w największej tajemnicy, przyznać trzeba że cesarz Wilhelm II-gi otacza kwestyą socyalną inną, szlachetniejszą opieką aniżeli to pragnął zrobić t. zw. socyalizm państwowy, szukający jedyne go skutecznego ratunku we wszechwładzy państwowej, która za pomocą prowokacyjnych policyantów myślała najprzód wytropić socyalistów, a za pomocą przymusowego ubezpieczenia robotników chciała zabezpieczyć Niemcy przed furiami socyalizmu. Socyalizm państwowy obracał się wyłącznie w kole samych materyalnych inte-

resów a nie troszczył się bynajmniej o najstraszniejszą otchłań niedoli moralnej, zabijał wszelką samodzielność obywateli kraju; gdy tymczasem proklamowana przez cesarza intencja reformy stosunków socyalnych nie zamyka się w pętach niewoli wszechwładzy państwowej; ale wybiega na szerokie pole działalności i zbawiennego wpływu Kościoła, Szkoły, Miłosierdzia publicznego i praktycznej samopomocy. Przy tém wszystkim sądzimy, że pierwszym warunkiem trwałego powodzenia zamierzeń cesarskich na powszechnym warsztacie pracy międzynarodowej, okaże się jeszcze niunikniona konieczność stanowczego rozbratu z polityką protekcyjną, obezwładniającą wszelkie uczciwe współzawodnictwo, niemniej z narzucającą się zbyteczną pieczołowitością nad robotnikami pełnoletnimi, zdrowymi i pilnymi, którzy bez uszczerbku zdrowia chcą i mogą dłużej pracować na zapewnienie nie tylko bytu, ale i przyszłości sobie i rodzinie swojej.

Zgodnie z wolą cesarza, przystąpiła już dyplomacya niemiecka do rokowań z mocarstwami co do zwołania w tym celu konferencyi międzynarodowej. Można się było spodziewać, że gabinet berliński spotka się na razie z niektórymi trudnościami, wynikającymi z pobudek, na któreśmy wyżej uwagę już zwrócili; ale dzisiaj jest już rzeczą niewątpliwą, że konferencya projektowana zawad nieprzechydzonych nie tylko u drugorzędnych, ale i u pierwszorzędnych państw nie znajdzie. Prócz Rossyi i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, mniej w tej sprawie zainteresowanych, odpowiedziały już wszystkie państwa przychylnie na zaproszenie pruskie.

Wobec tej sprawy, górującej nad ogólnem położeniem chwili, mało zajmowała się opinia publiczna spiskiem Panicy przeciwko rządowi bułgarskiemu, który, pochwycawszy w ostatniej niemal godzinie szare nici zbrodniczego knowania, zajmuje się zbadaniem istotnego stanu rzeczy, trzymając całą sprawę w tajemnicy, aż do ukończenia śledztwa.

Przeszło téż niemal bez śladu otwarcie parlamentu angielskiego, chociaż przydłuższa deklaracya królowej co do zatargu z Portugalią, niemniej i zadowolenie z poprawienia się stosunków irlandzkich, mogło być silniej oddziaływać na opinię europejską.

Smiałe wystąpienie młodego Filipa ks. Orleańskiego, jako gotowego „rekruta“ do wojska republikańskiego, niemniej i ponowny wybór do Izby francuzkiej wypchniętych co tylko bulanzystów—przez miasto Paryż, naraził gabinet Tirarda na niespodziewane kłopoty, będące owocem fakcyjnych antagonizmów w dawniejszym „parlamencie“. Wypadek z księciem Orleańskim, jego więzienie, proces, wyrok skazujący rzekomego pretendenta

na dwuletnie zamknięcie w twierdzy, a potem zapowiedziane wywiezienie z Francji, zelektryzują nie tylko skompromitowane stronnictwo hr. Paryża, ale w postaci tego męczennika przypomną narodowi sztandar monarchii.

Dokonane w końcu lutego w Prusach wybory do sejmiku rzeszy niemieckiej zaświadczyły porażkę dotychczasowej większości bismarckowskiej na całej linii. W części zapewne pod wpływem samodzielniejszego wystąpienia cesarza w kwestyi reformy stosunków socyalnych, w części też i z niezadowolenia ogółu ze zbyt uciążliwej dla wszystkich gospodarki bismarckowskiej, przyniatającej nadmiernym ciężarem podatkowym uboższe warstwy narodu, wreszcie i pod wpływem powszechnego rozgoryczenia, które coraz liczniejsze „ustawy wyjątkowe“ w całym kraju budzić musiały.—zwyciężyli stanowczo: katolicy (89), konserwatyści nie kartelowcy (67); wolnomyslni (21) i demokraci socyalistyczni (20), przy skróconej znacznie cyfrze t. zw. liberałów narodowych (18). Polacy zdołali przeprowadzić 14 swoich zapasników, broniących w tak utrudnionych warunkach naszych interesów najżywotniejszych: Szkoły, Języka, Kościoła, niemniej i materyalnych interesów społeczeństwa, podkopywanych coraz silniej przez t. zw. komisję kolonizacyjną, która właśnie złożyła sejmowi pruskiemu sprawozdanie ze swoich czynności w roku ubiegłym.

Z rocznego obrachunku tej roboty germanizacyjnej pokazuje się, że w r. 1889 nabyła komisja kolonizacyjna ośm większych dóbr ziemskich i cztery samodzielne gospodarstwa włościańskie, czyli ogółem 4,838 hektarów ziemi za sumę 3,293,309 marek. Majątki i gospodarstwa położone są po części w W. Ks. Poznańskim, po części w Prusach zachodnich. Fakt, że w roku zeszłym mniej, niż w latach poprzednich komisja nabyła ziemi, objaśnia się przez to, że liczba dóbr, które po dostępnej cenie można było kupić, zmniejszyła się znacznie. W ciągu trzech lat działalności komisji, zakupiła ona ogółem w Ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich 70 dóbr większych i 30 gospodarstw włościańskich, obejmujących razem 42,225 hektarów za sumę ogólną 25,176,551 m. Z większych majątków zakupiła komisja 57 z wolnej ręki, a 13 na subhastacyi. Przykre wrażenie robią na każdego poważniej myślącego obywatela lekkomyślne tryumfy korespondentów gazeciarskich oraz polityków codziennych, którzy z miarowych bardzo kroków komisji kolonizacyjnej każą gromadzie wierzyć w swoje złudzenia, że robota wrogów na ziemi polskiej chybi celu zamierzonego, że nie wydrze nam ziemi ojczystej. Każdy ubytek 100 morgów waży już dzisiaj w naszym budżecie narodowym więcej, aniżeli przed 50 laty 1,000 lub nawet 10,000 morgów. Siły bowiem narodowe słabną z każdą morgą, na której Niemiec się zagospodaruje.

KATALOG NOWYCH KSIĄŻEK.

MIESIĘCZNIK DLA KUPUJĄCYCH I CZYTAJĄCYCH KSIĄŻKI.

№ 42.

Grudzień.

Rok 1889.

Cena roczna kop. 60, z przesyłką rs. 1 Osoby, pozostające w stałych stosunkach z księgarnią Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, Nowy-Świat 41, otrzymywać będą „Katalog nowych książek” co miesiąc regularnie, bezpłatnie.

Najnowsze książki.

(Książki poniżej wymienione nabywać można w Księgarni Teodora Paprockiego i S-ki, w Warszawie, Nowy-Świat 41.)

- | | rs. kop. | | rs. kop. |
|---|----------|--|----------|
| Bałucki Michał. Nowele. Tom I. Album kandydatek do stanu małżeńskiego. Góral na dolinach. Warszawa. 1889. | 1 — | polski przełożyła Antoszka. Z mapką i dwoma obrazkami. Warszawa. 1889. | — 10. |
| Botanik. Przechadzki fantastyczne po państwie roślinném dla młodzieży. Z 6-ma rycinami. Warszawa. 1890. | — 50. | Czerny Franciszek d-r. Ogólna geografia handlowa. Kraków. 1889. | 3 — |
| Botwiński St. Bibliografia prawnicza, obejmująca dzieła z dziedziny prawa, ekonomii, statystyki i nauk społecznych z ostatnich lat dwunastu (1878—1889). Na pamiątkę II-go Zjazdu prawników i ekonomistów polskich. Lwów. 1890. | — 60. | Dziurzyński Marceli ks. Głosy prasy zagranicznej wobec ostatnich wypadków rzymskich. Zebrali i opracował. Odbitka z „Wiadomości katolickich.” Lwów. 1889. | — 25. |
| Ceny środków lekarskich nieobjętych takszą wydaną w roku 1881, ułożone przez Towarzystwo Farmaceutyczne Warszawskie. Warszawa. 1889. | 1 — | Encyklopedia humoru. Z. 1—5. Warszawa. 1889. | po — 15. |
| Chmielowski Antoni ksiądz. Życie według wiary i rozumu. Warszawa. 1890. | 1 50. | Filochowski R. ks. Kościół i klasztor W W. PP. Sakramentek w Warszawie, albo historia Sakramentek warszawskich. Warsz. 1889. | — 50. |
| Chwał Gustaw. Buchalterya podwójna (włoska). Wykład popularny dla samouków, opracował nauczyciel buchalteryi. Warszawa. 1890. Zeszyt I. | — 20. | Gawalewicz Maryan. Komedye jednoaktowe i monologi. Serya druga. Warszawa. 1890. | 1 20. |
| Czechach (Jak żyją w). Zwyczajy i powiastki czeskie. Na język | | Grosglik S. Z fizjologii roślin. Fakty i przypuszczenia w dziedzinie asymilacyi. Warszawa. 1889. | — 25. |
| | | Grünfeld d-r med. Leczenie domowe. XVIII. Ginnastyka. Jój znaczenie i sposoby zastosowania. Poradnik dla wszystkich, przekład d-ra J. St., z 50-ma rycinami. Warszawa. 1889. | — 60. |

DLA DZIECI.

rs. k.

| | |
|--|-------|
| Amiciś Edmund de. Pamiętnik chłopca, przełożyła Marya z Siemiradzkich Obrępska. | 1 —. |
| W oprawie tekturkowej | 1 35. |
| W oprawie ozdobnej płóc. | 1 50. |
| Marrené Walerya. Kazio, powieść dla dzieci i młodzieży. W ozdobnej płóc. oprawie | — 75 |
| Świeżawski-Sulimczyk Ernest. Rozmowy o dawnych dziejach (Historya polska). | 2 — |
| W oprawie tekturkowej | 2 25. |
| W ozdobnej płóc. opr. | 2 50. |
| Zielińska Michalina (M...a). Teatrzyk amatorski. | 1 — |

DLA MŁODZIEŻY I DOROSŁYCH.

| | |
|--|-------|
| Flinzer T. Metoda nauki rysunku, oparta na zasadach naukowych, z 45 rysunkami w tekście i 21 litograficznymi tablicami. Przekład dokonany staraniem Redakcyi „Przeglądu pedagogicznego.” | 1 50. |
| W ozdobnej oprawie | 2 10. |
| Heine Henryk. Atta Troll. Sen nocy letniej, przełożyła z oryginału niem. Marya Konopnicka. | — 50. |
| W ozdobnej płóc. oprawie | 1 — |
| Meyer Wilhelm. M. W państwie gwiazd. Astronomia w pogadankach popularnych. Z niemieckiego tłumaczył Feliks | |

rs. k.

| | |
|--|-------|
| Wermiński. Z drzewor. w tekście i z dodaniem litograf. karty nieba. | 1 50. |
| W ozdobnej płóc. oprawie | 2 — |
| Seignobos Ch. d-r. Historia cywilizacji. Przełożył z najnowszego wydania franc. Adolf Dygasiński. Ze 177-ma drzeworytami w tekście. | 5 20. |
| W ozdobnej płóc. oprawie | 6 — |
| Shaler N. S. Dzieje ziemi czyli początki geologii. Przełożył z angiels. Henryk Wernic. Przejrzeli i dopełnili dopiskami Ant. Słosarski i J. Siemiradzki. | 1 50. |
| W ozdobnej płóc. oprawie | 2 10. |
| Siemiradzki Józef. Z Warszawy do równika. Wspomnienia z podróży po Ameryce południowej, odbytej w latach 1882—1883, z ilustracyami J. Ryszkiewicza i J. Owidzkiego. | — 75. |
| W onrawie tekturkowej | 1 — |
| Vrchlicki Jaroslav. Duch i świat. Poezye. Przeł. z czeskiego Miriam. | 1 — |
| W ozdobnej płóc. oprawie | 1 50. |
| Zdrowa dusza w zdrowem ciele. Podręcznik sportowy, zawierający naukę: gimnastyki, fechtunku, boksowania, pływania, łyżwiarstwa, wioślowania, jazdy konnej, jazdy wycypedowej i tańca, zebrane z rozmaitych autorów i objaśnione licznymi drzeworytami w tekście. | 2 — |
| W ozdobnej płóc. oprawie | 2 50. |

Księżdz J. Galicza:

| |
|---|
| Muzyka kościelna (nową metodą) z nut literalnych, zawierająca w sobie 3 msze światłe i 3 żałobne na organy, ze śpiewem i bez śpiewu. W oprawie kop. 75, z przes. poczt. — 90. |
| Pytania katechizmowe, na które każdy chrześcianin-katolik z łatwością odpowiedzieć powinien, kop 12, z przesyłką pocztową — 22 1/2. |
| Msza łacińska (op. 1) na organy ze śpiewem, w stylu łatwym ułożona—30 kop., z przes. poczt. — 40. |
| Msza polska (op. 5) na organy ze śpiewem, w stylu łatwym ułożona.— 40 kop. Z przesyłką pocztową — 50. |

Księżdz A. Kitkiewicza:

| |
|--|
| Konferencye, zawierające w sobie wyjaśnienie głównych artykułów religii chrześciańsko-katolickiej ze stanowiska liturgiczno-społecznego, kapłanom również osobom świeckim niezbędnie do wiedzy potrzebne. Treść: 1) O stworzeniu wszechświata, o królestwie łaski i miłosierdzia, tudzież o sakramentach. 2) O modlitwie z Browiarza i jej znaczeniu. 3) O bezżeństwie księży katolickich, o małżeństwie osób świeckich. 4) O ofierze Mszy świętej i jej skutkach,—75 kop., z przesyłką pocztową — 90. |
|--|

Adres Redakcyi: Warszawa, Nowy-Świat N-r 41, przy księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Redaktor i Wydawca Teodor Paprocki.

Z dziedziny naukowej zaznaczamy, o ile ciasne już ramy kroniki pozwalają fakta następujące:

W dniu 23 stycznia odbyło się uroczyste doroczne posiedzenie akademii nauk w Petersburgu. W odczytaném sprawozdaniu z roku ubiegłego, zaznaczono: że akademia przyznała dwie nagrody: nagrodę szlachty symbirskiej na uczczenie pamięci cesarza Aleksandra II, J. P. P. Siemionowi w sumie 1500 rubli za dzieło p. t.: „Oswobodzenie włościan za panowania cesarza Aleksandra II“, nagrodę hr. A. A. Tołstoja drugi złoty medal, wartości 250 rubli, Ponomarowowi, trzeci A. M. Sibiriakowowi; nagrodę w sumie 1500 rubli przyznano Andrejewiczowi za trzy szkice o Syberyi.

Założone w końcu roku zeszłego Towarzystwo historyczne przy uniwersytecie petersburskim, odbyło dnia 24 stycznia pierwsze posiedzenie publiczne, na którém postanowiono wydawać rozumowaną bibliografią dzieł historycznych i związek z historią mających, podług planu, mającego być wypracowanym przez osobną komisją, ze współudziałem znakomitszych historyków w téj liczbie i prof. Pawińskiego. Potém nastąpił obszerny komunikat prezesa, prof. Karijewa „O opracowywaniu kwestyi odnoszących się do naukowej teoryi historyi“. Teorya historyi, która zwykle odgrywa role służebnicy historyozofii, powinna, podług prof. K. zachować swoje znaczenie samoistne. Prof. Karijew dzieli naukowy system badań historycznych na cztery kategorie: 1) Wpływ natury na przebieg rozwoju historyi oraz znaczenie przymiotów przyrodzonych człowieka; 2) Wpływ psychiczny człowieka na człowieka i wpływ otoczenia; 3) Stosunek filologii do historyi i 4) Teorya przyczynowości historycznej oraz kwestya co do roli, odgrywanéj w historyi przez o s o b i s t o ś ć. Pierwsze trzy kategorie leżą w obrębie różnych specjalności, ostatnia może być opracowywaną przez samych historyków. W tym celu przedstawił też prof. Karijew pracę swoją pod tyt. „Istota procesu historycznego i rola osobistości w historyi“. Po komunikacie prezesa czytał jeszcze rozprawę p. S. Stepanow: „O uniwersytecie ateńskim w IV wieku po Chrystusie“. Następné posiedzenie wyznaczono na dzień 21 lutego.

Przepisy, postanowione dla egzaminów nauczycieli szkół powiatowych, nauczycieli i nauczycielek domowych lub szkół elementarnych, opiewają co następuje: Egzamina pomienione odbywają się w miastach, w których istnieją gimnazya lub progimnazya, przed radą pedagogiczną tych zakładów; w miastach, gdzie nie ma gimnazyów lub progimnazyów—przed radą pedagogiczną szkół powiatowych, lecz w szkołach tych można składać

egzamin tylko nauczyciela lub nauczycielki nauki początkowej. Podania o dozwolenie składania egzaminu z wyszczególnieniem w nich przedmiotów, które kandydat lub kandydatka zamierza wykładać, należy wnosić: w Warszawie—na imię kuratora okręgu naukowego, w innych zaś miastach—na imię dyrektorów gimnazyów, inspektorów progimnazyów lub zarządzających szkołami powiatowemi. Wiek dla przystępujących do egzaminów wymienionych oznaczony został: dla mężczyzn 17 lat, dla kobiet 16 lat skończonych. Przy podaniu należy dołączyć: metrykę, świadectwo pochodzenia, moralnego prowadzenia, które wydaje władza policyjna, krótki opis życia swego, a osoby, które ucześniewały do zakładów naukowych, winny dołączyć świadectwa szkolne

Osoby, nie mające patentu z ukończenia gimnazyum, szkoły realnej, lub innego zakładu naukowego średniego, a pragnące uzyskać stopień nauczyciela domowego, podlegają egzaminowi z przedmiotu głównego w zakresie kursu gimnazyalnego, z przedmiotów zaś ogólnych i dodatkowych w zakresie szkoły powiatowej. (Kurs szkoły powiatowej odpowiada 4 m klasom). Przedmioty ogólne są: religia, język ruski, z których składa się egzamin wstępny. Otrzymujący z tych przedmiotów stopień niedostateczny, nie składają już dalszego egzaminu, który, stosownie do woli składającego egzamin, obejmuje następujące przedmioty: 1) Przedmiot główny: matematyka; dodatkowe: religia, język ruski, geografia i historia; 2) przedmiot główny: historia; dodatkowe: religia, język ruski, arytmetyka i geografia; 3) przedmiot główny: geografia; dodatkowe: religia, arytmetyka i historia; 4) przedmiot główny: język ruski; dodatkowe: religia, arytmetyka, geografia i historia; 5) przedmiot główny: jeden z języków starożytnych lub nowożytnych; dodatkowe: religia, arytmetyka, historia i geografia. Egzamina z przedmiotów głównych odbywają się piśmienne i ustne, z dodatkowych zaś tylko ustne. W razie odpowiedzi dostatecznych, składający egzamin winni wykazać umiejętność wykładu obranego przedmiotu. Osoby, które nie ukończyły gimnazyów żeńskich, podlegają egzaminom narówni z mężczyznami, z wyjątkiem matematyki, z której arytmetyka stanowi przedmiot główny i składają z niej egzamin w zakresie gimnazyalnym; geometrya zaś liczy się jako przedmiot dodatkowy. Posiadający patenta z ukończenia zakładów naukowych średnich, podlegają na stopień nauczyciela domowego lub nauczycielki domowej, egzaminowi skróconemu, który składają tylko z przedmiotów głównych; zasadza się on na oddaniu odpowiedzi piśmiennej, objaśnieniu ustnych i t. zw. lekcyi próbnej. Ci, którzy nie złożą egzaminu, mogą składać powtórnie dopiero po upływie 6-ciu miesięcy.

Mężczyźni, nie mający świadectw z ukończenia szkoły powiatowej, 4 klas gimnazyum, progimnazyum lub szkoły realnej,

kobiety — z 4-ch klas gimnazyalnych lub całkowitego kursu progimnazjum, a pragnący uzyskać stopień nauczyciela lub nauczycielki szkoły początkowej wiejskiej, podlegają egzaminowi całkowitemu, który dzieli się na piśmienny i ustny. Przedewszystkiem składa się egzamin ustny z religii w zakresie szkoły powiatowej. Ci, których odpowiedzi z religii uznane zostaną za dostateczne, przystępują do egzaminu piśmiennego w zakresie kursu szkoły powiatowej z następujących przedmiotów: języka ruskiego, arytmetyki, geografii i historii Rosyi. Egzamin ustny składa się z tychże przedmiotów i zasadza się na oddaniu dwóch odpowiedzi z każdego przedmiotu. W razie odpowiedzi dostatecznych, składający egzamin winni wykazać znajomość nauczania dwóch przedmiotów, języka ruskiego i arytmetyki. Mężczyźni, mający wyżej wyszczególnione świadectwa szkolne, podlegają egzaminowi skróconemu, który składają ze wszystkich przedmiotów, wykładanych w szkole elementarnej miejskiej (kurs odpowiada 2 klasom gimnazyalnym). z wyjątkiem religii, z której odpowiedzi wymagane są w zakresie szkoły powiatowej. Egzamin ustny polega na kilku objaśnieniach, zwykle dotyczących się pomyłek w wypracowaniu piśmiennem popelnionych. Następnie składający egzamina odbywają t. zw. lekcją próbną. Posiadające patenta z ukończenia gimnazyów lub progimnazyów żeńskich, jeżeli przebędą przy szkole elementarnej przynajmniej pół roku w charakterze pomocnicy nauczycielki, uzyskują świadectwo na nauczycielkę bez składania egzaminu. Egzamin na nauczyciela lub nauczycielkę wiejskich i prywatnych szkół składa się z religii, języka ruskiego i arytmetyki w zakresie szkoły początkowej miejskiej. Dzieli się również na piśmienny i ustny. Ci, którzy nie złożą egzaminu, mogą przystępować ponownie dopiero po upływie 6-ciu miesięcy.

Dzienniki petersburskie donoszą, jakoby komissya, powołana do reorganizacyi klasycznych szkół gimnazyalnych, reorganizacyi niezbędnej w obec dzisiejszych potrzeb życia praktycznego (w zawodzie rolniczym, handlowym, przemysłowym, technicznym i rzemieślniczym) — miała projektować zmniejszenie liczby lekcyi języka greckiego i łacińskiego o 2 godziny, które mają być natomiast obrócone na 2 lekcye nauki języka ruskiego.

Z Akademii Umiejętności. Dnia 3-go grudnia 1889 r. odbyło się posiedzenie komisyi historii sztuki, na którym przewodniczący prof. Łuszczkiewicz przedłożył wyszły już przed niejakim czasem zeszyt 3 tomu IV Sprawozdań komisyi historii sztuki — Następnie p. Alfred Römer przedstawił i objaśnił zdjęty przez siebie widok rysunkowy cerkwi św. Trójcy w Wilnie, budynku

fundacyi ks. Konstantego Ostrogskiego. z bardzo oryginalnym zakończeniem części ołtarzowej. złożonem dołem z trzech absyd, które w górnej części przechodzą zewnętrznie w jedną absydę — przy czem w dyskusyi prof. Maryan Sokołowski zwrócił uwagę na pewne analogie zewnętrznej strony tego budynku z innymi cerkwiemi na wschodzie. Dalej przedstawił pan Römer średniowieczne spiżowe naczynie kościelne do wody, w kształcie Iwa, zw. aquamanile, wykopane w Bortkuskach, majątku hr. Broel Platera, niedaleko Wilna położonym; przyczem p. Leonard Lepszy przypomniał, że jeden okaz rzadkiego tego w naszym kraju zabytku romańskiej stylowej epoki znajdować się ma w skarbcu klasztoru OO. Dominikanów w Krakowie.—Prof. Maryan Sokołowski zawiadomił, że p. Ptaszyckiemu w bibliotece ces. w Petersburgu powiodło się znaleźć bardzo ważne księgi rachunkowe dworu polskiego z czasów Zygmunta Augusta, tudzież rachunki i inwentarze odnoszące się do spraw majątkowych Decyusza młodszego i jego żony. P. Ptaszycki ofiaruje się opracować do wydawnictwa komisji akta te, mające niemałe znaczenie, zwłaszcza dla historii kultury w Polsce. Także p. Ferdynand Bostel nadesłał kilka komunikatów, odnoszących się do historii sztuki w Polsce, które do objaśnienia i przygotowania do druku dano dwom członkom komisji.—Wreszcie prof. Łuszczkiewicz przedłożył jako komunikaty tablice rysunkowe, zawierające szczegóły architektoniczne kościoła ś. Jana Jerozolimskiego w Gnieźnie; drzwi do kapitułarza w Włocławku, fundacyi biskupa Drzewickiego z datą 1527; wczesno - gotycki z XIV wieku portal oraz odrzwia stylu przejściowego z datą 1520 z kościoła w Piasku Wielkim pod Stobnicą ruiny dziś może już zburzoné; wreszcie widok wieży kościoła Miechowskiego, robiony przez p. Wodzinowskiego. Poprzednie rysunki są prof. Łuszczkiewicza.

Z A k a d e m i i U m i e j ę t n o ś c i. Komisya historyczna odbyła dnia 6 grudnia 1889 r. pod przewodnictwem prof. hr. Tarnowskiego posiedzenie, na którym sekretarz przedstawił program dalszego wydawnictwa poetów łacińskich. W r. 1890 wyjdą poezye Janickiego w wydaniu prof. Ówiklińskiego. Następny tom będzie się składał ze zbioru poetów mniejszych, w części cudzoziemców o Polsce piszących. W tym celu dr. Jezieniecki w Berlinie opracował pieśni Wawrzyńca Corvinus'a i Lang'a, dr. Sternbach we Lwowie Leonarda Coxusa. Prócz tego prof. Kruczkiewicz we Lwowie rozpoczął prace przygotowawcze do wydania Royzius'a; p. Pelczar w Krakowie zajęty jest dziełami Hussowianus'a; p. Marcin Sas w Krakowie utworami Andrzeja Trzycieskiego. Poezye Kalimacha, nad którymi obecnie pracuje dr. Windakiewicz we Włoszech, zapewne już w r. 1890 będą przygotowane do druku. Następnie prof. Rostafiński, imieniem komisji, zaj-

mującej się zbieraniem materyałów do dziejów uniwersytetu krakowskiego, doniósł, że postanowiono przedewszystkiem zająć się wydaniem aktów rektorów (Rectoralia) i Conclusiones, a kierownictwo powierzono dr. Wisłockiemu.

Wydział historyczno-filozoficzny Akad. Um. w Krakowie, odbył dnia 16 grudnia 1889 r. posiedzenie pod przewodnictwem dr. Zolla, na którym prof. Ulanowski streścił wyniki swęj pracy o Synodzie łęczyckim r. 1487. Autor, pracując nad historią prawa kanonicznego w Polsce, szczególniejszą zwrócił bacność na synody prowincjonalne wieku XV i czynił skrzętne zabiegi w celu odszukania śladów niezmiernie wybitnej ich działalności w tęg epoce. Szcześliwym trafem udało mu się znaleźć między innymi nie ogłoszonymi dotychczas zabytkami także obszerniejsze akty, odnoszące się do synodu Łęczyckiego z r. 1487. W pierwszej części swęj pracy określa autor stanowisko duchowieństwa, jako odrębnego politycznego czynnika, który w walce z królem i szlachtą rozmaitych chwytą się środków, ażeby przywilejów swych i autonomii nie utracić. Objaśnienie aktów, będących w bezpośrednim związku z synodem r. 1487 oraz zestawienie ich treści z materyałem dotychczas znanym, stanowi drugą i główną część pracy.

Komisyja historyczna odbyła dnia 28 grudnia 1889 r. posiedzenie, na którym dr. St. Windakiewicz zdał sprawę z przeglądu Archiwum rządowego w Parmie, gdzie znajduje się obfita korespondencyja kardynała Aleksandra Farnese, protektora Polski 1535—1589, mieszcząca się wraz z korespondencyą innych Farnezych, mianowicie też Aleksandra, słynnego namiestnika Niderlandów, w 262 grubych tekach, ułożonych chronologicznie. Sumaryczny przegląd tymczasowy okazuje, że z lat późniejszych po 1549, znajduje się tam mniej listów, odnoszących się do spraw polskich, że natomiast z lat poprzedzających, kiedy kardynał Farnese był podkanclerzem papieskim za Pawła III, przechowały się ważne listy i akty, które należałoby szczegółowo rozpatrzyć; na pojedynczy rok wypada po 3 lub 4 teki do przejrzania. Dr. St. Krzyżanowski zdał sprawę z poszukiwań archiwalnych, głównie za dyplomatami Przemysława II i Bolesława Wstydlwego, których poznanie pozwala skonstantować znaczne różnice zachodzące między kancelaryą Wielkopolską i Małopolską; podał także wiadomość o innych dyplomatach z XIII i XIV w., które odszukał głównie w Poznaniu i Włocławku. Oznajmiono także komisyji o wynalezieniu nieznanego dotąd dyaryusza sejmu warszawskiego z roku 1556/7, którego odpis komisyja spodziewa się otrzymać. Poszukiwania archiwalne w Rzymie będzie prowadzić w dalszym ciągu dr. Feliks Koneczny. Nakoniec zajmowano się rozbiorem projektów

poszukiwań w innych także archiwach i zamierzonych przyszłych wydawnictw (regestrów polskich), a wreszcie roztrząsano ponownie sprawę zjazdu historycznego we Lwowie i przyszłych na nim referatów.

Komisyja historii sztuki odbyła dnia 4 stycznia 1890 r. pod przewodnictwem prof. Łuszczkiewicza posiedzenie, poświęcone sprawie udziału w zjeździe historyków polskich. Uchwalono przyjąć w nim najliczniejszy udział, a kilku członków komisji zgłosiło się z chęcią podjęcia referatów w przedmiotach z historią sztuki w związku będących.

Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego: dr. Br. Dembiński przeczytał rozprawę: „O stosunku Francyi do stolicy Apostolskiej w r. 1560“, a dr. St. Smolka przedłożył rzecz: „O projekcie ligi przeciw turkom w latach 1583 i 1584“. Z innych rozpraw na zaznaczenie zasługują: d-ra Wł. Ostrożyńskiego: „Ostatni projekt reformy praw i procesu karnego w Polsce“ i d-ra St. Krzyżanowskiego: „Dyplomy Bolesława Wstydliwego dla katedry krakowskiej, jako przyczynek do dyplomatyki polskiej XIII wieku“.

Na sejmiku gospodarczym w Toruniu p. Ludwik Ślaski mówił na temat: „Czy kształcenie się u nas gospodarzy jest dostatecznem i jak należy je pokierować, aby wydało praktyczne rezultaty“; p. Ulatowski „O sztucznych nawozach“; pan Donimirski „O nowjéj metodzie osuszania pól pana-Korzybskiego“.

Komitet II-go Zjazdu historyków Polskich we Lwowie zawiadomił Red. „Biblioteki Warszawskiej“, że zapowiedziano 41 referatów do rozpraw na posiedzeniach zjazdu, mianowicie:

1. Prof. dr. Władysław Abraham ze Lwowa: O potrzebie krytycznego wydania średniowiecznych pomników ustawodawstwa Kościoła polskiego.
2. Prof. dr. Oswald Balzer ze Lwowa: W sprawie wydania zbioru średniowiecznych ustaw polskich (Corpus iuris Polonici medii aevi).
3. Dr. Bronisław Czarnik ze Lwowa: Literatura w Galicyi od czasu jéj zajęcia przez Austryę; co na tém polu zrobiono i co jeszcze należałoby zrobić.
4. Aleksander Czołowski ze Lwowa: O położeniu starego Halicza.
5. Dr. Bronisław Dembiński z Krakowa: Kwestya soboru narodowego w Polsce w wieku XVI.
6. Dr. Włodzimierz Demetrykiewicz z Krakowa: Sprawa urzędów konserwatorskich w Galicyi; obowiązki, środki działania i prawa konserwatorów, oraz ulepszenia, jakich w tym względzie żądaćby należało.
7. Tadeusz Dowgird z Warszawy: Przegląd badań pamiątek z czasów przedhistorycznych, dokonanych w ostatniém pięćdziesięcioleciu na Litwie i Żmudzi.

8. Dr. Bolesław Erzepki z Poznania: O potrzebie zbiorowego i poprawnego wydania traktatów zawartych przez Rzeczpospolitą polską.

9. Dr. Ludwik Finkel ze Lwowa: Jakiego podręcznika historii polskiej koniecznie nam potrzeba i jaką drogą dojść do niego?

10. Wojciech Gerson z Warszawy: Nieprzerwalność uprawy sztuki w Polsce.

11. Aleksander Jabłonowski z Warszawy: Wołoszczyzna, Mołdawia i Multany.

12. Dr. Maksymilian Kawczyński ze Lwowa: Etymologia jako środek pomocniczy w badaniach historycznych.

13. Dr. Wojciech Kętrzyński ze Lwowa: O ludności miejskiej w Polsce pod względem narodowości.

14. Dr. Józef Korzeniowski z Krakowa: Stan i program wydawnictw źródłowych XVI wieku.

15. Prof. Tadeusz Korzon z Warszawy: Wady historyografii naszej w budowie dziejów Polski.

16. Dr. Stanisław Krzyżanowski z Krakowa: O zadaniu paleografii i dyplomatyki w obec historii polskiej i historii prawa polskiego.

17. Prof. dr. Ludwik Kubala ze Lwowa: O wydawnictwie źródeł XVII wieku.

18. Leonard Lepszy z Krakowa: O potrzebie zajęcia się zebraniem i wydaniem słownika wyrazów technicznych polskich, odnoszących się do sztuki i rękodzieł z nią w związku stojących, tudzież jakie byłyby zasady takiej pracy i czego od niej wymagać należy?

19. Tenże: O potrzebie publikowania pieczęci miejskich i cechowych, oraz stanowisko i ważność numizmatyki i sfragistyki dla historii ogólnej, a zwłaszcza w dziejach sztuki.

20. Prof. dr. Anatol Lewicki z Krakowa: Jakie prace do dziejów XV wieku byłyby najbardziej pożądane?

21. Prof. dr. Ksawery Liske ze Lwowa: W jaki sposób dałby się rozbudzić i rozwinąć ruch naukowy na prowincyi?

22. Dr. Władysław Łebiński z Poznania: O potrzebie systematycznego opracowania osobnej nauki starożytności polskich.

23. Prof. Władysław Łuszczkiewicz z Krakowa: O potrzebie i środkach obudzenia żywszego interesu dla prac w zakresie historii sztuki.

24. Zygmunt Milkowski z Genewy: Rusini — mężowie stanu.

25. Dr. Fryderyk Papée ze Lwowa: Najważniejsze dezyderaty odnośnie do dziejów Rusi Czerwonej za czasów Rzeczypospolitej.

26. Prof. dr. Roman Pilat ze Lwowa: Zalety i niedostatki najnowszej krytyki historyczno-literackiej.

27. Dr. Antoni Prochaska ze Lwowa: O wydawnictwie pomników dziejopisarstwa litewsko-ruskiego.

28. Prof. dr. Józef Przyborowski z Warszawy: Chronologia zabytków przedhistorycznych w Polsce.

29. Dr. Aleksander Rombowski z Warszawy: Czy Ostroróg pisał swój traktat w wieku XV czy XVI?

30. Antoni Ryszard z Krakowa: Moneta obca w Polsce.

31. Prof. dr. Aleksander Semkowicz ze Lwowa: O potrzebie i sposobie wydania dyplomatów oraz innych ważniejszych źródeł, znajdujących się w miejskim archiwum we Lwowie.

32. X. dr. Eustachy Skrochowski z Krakowa: Sprawa zakładania muzeów dycecyjalnych zabytków sztuki i przemysłu artystycznego, ich potrzeba, cel korzyści i program.

33. Prof. dr. Stanisław Smolka z Krakowa: O pracach w przedmiocie dziejów Unii Korony z Litwą.

34. Prof. dr. Marian Sokołowski z Krakowa: O znaczeniu i potrzebie badań, dotyczących historii handlu w Polsce.

35. Maurycy Stankiewicz z Krakowa: W sprawie gromadzenia materiałów do dziejów piśmiennictwa litewskiego.

36. Dr. Leon Sternbach ze Lwowa: Wpływ poetów greckich na literaturę polską XVI i XVII wieku.

37. Ernest Sulimczyk Świeżawski z Warszawy: O związku niektórych zjawisk ekonomiczno-społecznych z dziejami politycznymi byłej Rzeczypospolitej.

38. Prof. dr. Stanisław hr. Tarnowski z Krakowa: O charakterze literatury politycznej polskiej XVII wieku.

39. Kazimierz Waliszewski z Paryża: O nieprawidłowości naszego ustroju politycznego i jej przyczynach.

40. Wincenty Juliusz Wdowiszewski z Krakowa: Jak przyspieszyć zebranie materiału archiwalnego do dziejów sztuki w Polsce?

41. Dr. Stanisław Windakiewicz z Krakowa: Znaczenie szkół i uniwersytetów dla umysłowości polskiej wieków średnich.

Powyższe referaty zostaną ogłoszone drukiem i wcześniej przed zjazdem rozslane bezpłatnie pomiędzy wszystkich uczestników zjazdu dla ułatwienia i przygotowania dyskusji nad poruszonymi pytaniami. Po ukończeniu zjazdu przystąpi Komitet do wydania Pamiętnika, zawierającego na podstawie zapisek stenograficznych cały dosłownie podany tok obrad przeprowadzonych na zjeździe. I ten Pamiętnik otrzymają uczestnicy zjazdu bezpłatnie. Ze względu na znaczne koszty; jakie poniesie za sobą druk referatów i Pamiętnika, ustanowiona została dla uczestników zjazdu składka w ilości 5 złotych=5 rubli rs.=10 marek=12 franków. Wkładki należy przysyłać na ręce sekretarza Komitetu d-ra Oswalda Balzera, Lwów ul. Zimorowicza 7. O wczesne nadsyłanie składek, uprasza się ze względu na to, iż referaty na zjazd drukowane będą w ograniczonej ilości egzemplarzy i Komitet nie bierze odpowiedzialności za to, jeżeli później zgłaszającym się uczestnikom referaty to nie będą mogły być dostarczone. Przy zgłoszeniu uczestnictwa uprasza się o dokładne podanie imienia i nazwiska, urzędu lub zajęcia, tudzież adresu. Każdy z uczestników otrzyma: „Kartę uczestnictwa“, która służyć będzie za legitymację do korzystania ze wszystkich ułatwień przyznanych uczestnikom zjazdu, zwłaszcza zaś ze niższych cen jazdy na kolejach żelaznych; dla tego we własnym interesie uczestników uprasza się o staranne przechowanie tejże karty. Zjazd odbędzie się z początkiem drugiej połowy lipca b. r. w dniach, które później podano zostaną do publicznej wiadomości. Czas ten wybrany został głównie ze względu na PP. profesorów szkół średnich, ażeby w obec rozpoczynających się właśnie ferij umożliwić im przybycie na II zjazd historyków polskich.

Towarzystwo tatrzańskie odbyło dnia 2 lutego w Krakowie, pod przewodnictwem ks. Eustachego Sanguszki, swe XVII doroczne walne zgromadzenie. Tow. liczy obecnie 2025 członków (między tymi 195 członków oddziału kołomyjskiego i stanisławowskiego). Na budowę schronisk, dróg i ścieżek, jakoteż naprawę linii telegraficznej między Nowym Targiem a Zakopanem wydało łączną kwotę 1146 zł. 56 ct., rozpoczęło wydawnictwo albumu widoków tatrzańskich, zajmowało się dalszemi pomiarami stawów Gąsienicowych, badaniami grot i jaskiń w Tatrach. Przyjęto z wdzięcznem uznaniem do wiadomości doniosłą uchwałę sejmową z d. 26 listopada 1889 w sprawie dróg tatrzańskich, dalej, że Towarzystwo zakupiło na własność około $\frac{1}{6}$ części hal około Morskiego Oka, na który to cel znana z patriotyzmu p. Emilia Szczaniecka z Pakosławia ofiarowała 100 marek. Dochód Tow. wynosił r. z. 9067 zł. 2 ct., rozchód 8715 zł. 50 ct. Wniosek wydziału względem zaciągnięcia pożyczki na budowę drugiego domu gościnnego przy Morskiem Oku, przedstawił p. Eliaasz.—Dom ten ma zawierać według planu p. Beringera 25 pokoi. Zgromadzenie upoważniło wydział do zaciągnięcia pożyczki w kwocie 3500 zł.—Przy rozbiorze preliminarza budżetu, przy pozycyi XVIII domagał się p. Heppe, delegat Tow. ze Lwowa, aby korzystający z dobrodziejstwa telegrafu przyczynili się jakąś kwotą do preliminowanej sumy, lecz wniosek ten się nie utrzymał. Resztę pożyczki przyjęto bez dyskusyi. Dochód obliczono na 10,821 zł. 52 ct., a rozchód na 10.775 złr.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszem dla pp. artystów-malarzy konkurs imienia Wojciecha Gersona na obraz historyczny (religia, historia, allegorya, mitologia), wykonany w ciągu trzech lat ostatnich i któryby nie znajdował się, czy to na wystawie Towarzystwa, czy na innej wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu żadne kopie, ani kompozycye autorów zmarłych na trzy lata przed 1 stycznia 1891 roku. Życzący stanąć do konkursu, winien nadesłać komitetowi Towarzystwa przed 15 grudnia r. b. deklaracyą w formie listu z wymienieniem tytułu obrazu, imienia i nazwiska i dokładnego swojego adresu. Obrazy winny być nadesłane do lokalu Towarzystwa najpóźniej dnia 30 grudnia r. b. Przed rozstrzygnięciem konkursu, obrazy podlegają rewizyi cenzury rządowej. Autor obrazu, uznanego przez komitet Towarzystwa wspólnie z profesorem Gersonem, za najlepszy, otrzyma w nagrodę rubli sześć set. Obrazy nadesłane i przyjęte na konkurs, pozostawać będą na wystawie Towarzystwa przez tygodni sześć.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje także do wiadomości, iż z zapisu ś. p. Ign. Ciszewskiego wakować będzie od dnia 1 kwietnia r. b. stypendyum dla młodzieńca, poświęcającego się sztuce rzeźbiarskiej, podług wyboru komitetu Towarzystwa. Kandydaci, ubiegający się o powyższe stypendyum winni uczynić podanie do komitetu Towarzystwa do dnia 1 kwietnia r. b. z treściwym opisem biegu życia, t. j. gdzie i kiedy się urodzili, gdzie i u kogo kształcą się w sztuce rzeźbiarskiej i gdzie mają miejsce stałego zamieszkania w Królestwie Polskiem, oraz przedstawić komitetowi na dowód kwalifikacji odpowiednią pracę swoją, jeżeli nie była umieszczona na wystawie Towarzystwa przed podaniem się proszącego na stypendystę.

Wykopaliska w Galilei. Edmund Durighello ogłasza w „Cour. de l'Art“ owoce swoich poszukiwań na ziemi galilejskiej, które nie małe powinny wywołać zajęcia w świecie archeologicznym. Durighello odkrył mianowicie stare fenickie grobowce, godne uwagi nie tylko z tego względu, że dają pojęcie o zupełnie nieznanych dotąd obrządkach pogrzebowych u fenicyan, ale nadto przez to, że zawierają w sobie wiele klejnotów, amuletów, skarabeów i grup wyrzeźbionych w terrakocie. Obok zwłok umieszczone są naczynia, w których widocznie znajdowały się niegdyś potrawy i napoje. Wiadomości te wymagałyby jeszcze pewnego potwierdzenia, nie można jednak wątpić o autentyczności odkryć dokonanych w Saidzie, gdzie Durighello natrafił na wielkie cmentarzysko, albowiem sarkofagi ztamtąd przewieziono już do muzeum w Konstantynopolu. Pośród grobów, sięgających epoki helleńskiej, znaleziono nienaruszony sarkofag któregoś z władców sydońskich. Cmentarzysko rozkopano obecnie i owe podziemne sklepienia, które oparły się tyłu trzęsieniom ziemi, dziś stały się łupem ogrodnika, który sprzedaje je na kamienie budowlane. Rząd turecki mało się bowiem troszczy o podobne rzeczy naukowe.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

„Review of Reviews“ (Przegląd przeglądów).—Międzynarodowe czasopismo etnograficzne „*Folklore*“ wyd. w Peszcie.—Podania białoruskie zebrał Wład. Weryho wyd. J. Karłowicz. — Przyczynek do historii kłeski Władysława Warneńczyka (1444).—B. Fagniez „Le Pere Joseph et Micheliou—le projet de croisade 1616—1625.“—Sz. Szymonowicz, jako filolog.—Walenty Ćwik (pseudon.). Rys dziejów poczty i telegrafów. Lwów 1890.—Gustaw Chwat „Bachalteryi podwójnej (włoskiej) zesz. 2.

Z początkiem roku bieżącego począł wychodzić w Londynie miesięcznik oryginalny w swoim rodzaju a zarazem, w obec nadzwyczajnie rozwielnionej prasy peryodycznej, bardzo pożądany i pożyteczny: mówiny o miesięczniku p. t. „The Review of Reviews“, wydawany i redagowany przez p. W. T. Stead, dotychczasowego redaktora londyńskiej gazety „Pall Mall Gazette“. Czasopismo to ma być, jak sam tytuł opiewa, „Przełgdem przegłgdów“ t. j. sprawozdaniem treściwem z wszystkich, wychodzących na kuli ziemskiej kwartalników, miesięczników, tygodników i wszelkich publikacyi najważniejszych, które się w czasie miesiąca ukazują w prasie peryodycznej, słowem: ma to być klucz dla ludzi nauki do swobodnego korzystania z całego ogromnego materiału naukowego, który się w osobnych, i często gruntownych, specjalnych studyach i monografiach po nieprzejrzaniem morzu czasopism bezładnie rozprasza i dla nauki ginie. „Przegląd Przeglądów“ około 10-go każdego miesiąca zdaje sprawę z tego, co w sobie zawierają pisma peryodyczne wyszłe dnia 1-go i pisma poprzedniego miesiąca, wyszłe po 5-tym. Prócz gołosłownej treści, przytacza „Przegląd przeglądów“ w treściwem skróceniu najważniejsze i najlepsze artykuły, poświęcając im około 20 do 25 kart dwuszpaltowych in 4-to m. Oprócz tego podaje „Review of Reviews“ tytuły nowych dzieł, ogłoszonych w minionym miesiącu, z krótszemi lub dłuższemi uwagami nad każdym, według jego wartości naukowej i literackiej. Ro-

zumie się, że najobszerniej uwzględnią Redakcyja czasopisma angielskie i amerykańskie, ponieważ co do obcych sobie literatur zależną jest od skrzętności, zbiegliwości i naukowego niemniej i literackiego uzdolnienia specjalnych z każdej literatury referentów. Sprawozdań z piśmiennictwa polskiego podjął się, w poczuciu obywatelskiego obowiązku, współpracownik nasz p. Edmund Nagowski (12 Fitzroy Road, Regents Park, London, N. W.), który jednak o tyle tylko zdola być dokładnym referentem z naszego ruchu umysłowego, o ile Redakcyje, dbałe o rozwój naszej myśli, zechcą mu przez jaknajwcześniejsze nadsyłanie wydawnictw swoich, pracę tę umożliwić.

W zeszytach 1-ym (84 stronice tekstu i 40 stronice inseratów, zapewniających materyalny byt pisma) podaje „Review of Reviews“ portret p. H. Johstona, konsula brytyjskiego w Mozambiku, bohatera chwili. Dalej 11 stronice autografów in facsimili—listów z wyrazami zachęty i uznania za tak pożyteczną pracę, pisanych przez pierwsze znakomitości naszego czasu, jak: Gladston, Salisbury, Derby, Hartington, Randolph Churchill, Wolseley, Tennyson, Dufferin, kard. Manning, arcyb. Walsh, arcyb. anglik. z York, historyk Froude, Michał Davitt, Huxley, Olga Nowikow i Juliette Lambert (M-me Adam) i w. i.

Z pomiędzy czasopism słowiańskich czytamy w I-szym zeszytach 3 sprawozdania z literatury rosyjskiej („Wiestnik Ewropy“, „Posłaniec Północy“ i „Starożytności ruskie“), z niemieckich „Rundschau“, „Unsere Zeit“, dwa francuzkie, dwa włoskie i. i.

W programie, który Redakcyja ogłosiła w tym zeszytach usprawiedliwia p. W. T. Stead potrzebę takiego czasopisma w naszej epoce — i zapowiada, że każdy zeszytach następny zawierać będzie: 1) Starannie napisany przegląd wypadków krajowych i zagranicznych, których wiadomość niezbędną jest dla trafnego ocenienia ruchu prasy peryodycznej; 2) Spis świeżo ogłoszonych „ksiąg niebieskich“ i dzieł nowych z dodaniem uwag choćby najtreściwszych; 3) Streszczenie najlepszej powieści ubiegłego miesiąca, angielskiej lub obcej, czasem powiastkę oryginalną; 4) rys charakteru kobiety lub mężczyzny, odznaczonego na widowni minionego miesiąca i t. d.

Cena pojedynczego zeszytu „Review of Reviews“ z przesyłką do krajów związku pocztowego wynosi 80 fenigów, czyli 1 frank. Abonament roczny z przesyłką 12 fr. półroczny 6 fr. kwartalny 3 fr.

Prof. uniwers. w Peszcie, Antoni Herrmann i Ludwik Katona zamierzili wydawać w Peszcie etnograficzny Przegląd międzynarodowy pod tyt. „Folklore“, który ma zastąpić dotychczasowe „Ethnologische Mittheilungen aus Ungarn“, wychodzące od r. 1887-o, pod redakcją dr. Herrmanna. W ogłoszeniu tego wydawnictwa twierdzą wzmiankowani uczeni, że geograficzne położenie Węgier niemniej i tradycyje historyczne czynią Węgry

naturalném ogniskiem takiej publikacji międzynarodowej. „Prze-
gląd nasz, czytamy w programie wydawców, obejmować będzie
wszystkie pomocnicze nauki etnologii. Otwiera on swoje karty
dla wszystkich badań specjalnych zarówno jak i dokumentów nie-
znanych, zasługujących na uwagę szczególniejszą. Do wszyst-
kich artykułów, o ile tylko zajdzie potrzeba, dodawane będą ilu-
stracye, a do pieśni ludowych dodatki muzyczne. „Folklore“ ogłaszać
będzie artykuły, w języku francuzkim, angielskim, niemieckim,
włoskim, hiszpańskim, rasyjskim i węgierskim. Zabytki „Mowy
ludowej,, „Folklore“ ogłaszać zawsze będzie woryginalie.

Podania białoruskie zebrana przez Władysława
Weryhę, poprzedzone wstępem przez Jana Karłowicza. Lwów
1889. (cz. Bibl. W. 1889. Zesz. 12). Język białoruski, oraz pieśni,
podania, przysłowia i zagadki ludu nim mówiącego, zasługują na ba-
czną uwagę naszą przez wzgląd na to, że językiem tym mówi prze-
szło pięć milionów ludzi, i że plemię białoruskie stanowi na ogro-
mnej przestrzeni tło ludowe dla badań etnograficznych. „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej“ podawał już w tomach V i X
przysłowia białoruskie, zebrane przez p. Dybowskiego. Władysław
Weryha w r 1884 zebrał w okolicy Nowego dworu i Ostryny w po-
wiece lidzkim wiązkę bajek i pieśni ludu białoruskiego. Z tych
bajek dwadzieścia i trzy wydał p. Jan Karłowicz w powyższej bro-
szurze, w języku białoruskim, poprzedzając je wstępem w mowie
białoruskiej, której naznacza odrębne stanowisko obok mowy
ukraińskiej i wielkoruskiej. Do poszczególnych wyrazów, któ-
rych zrozumienie mogłoby nastęrczyć pewną trudność czytelnikowi
polskiemu, dodał wydawca objaśnienia, przy czém niejednen czytel-
nik, jak niemał zawsze przy podobném postępowaniu, żalować bę-
dzie, że niejedno objaśnienie jest zbyteczne, a niejednego bardzo
pożądanego brakuje.

Zr.

Nadzwyczajne zainteresowanie pomiędzy historykami obu-
dziła naukowa polemika, którą z niezwykłym zapalem prowa-
dzili dwaj uczeni węgierscy, pp. Horvath de Rona i Dr. Fraknői,
w kwestyi, dotyczącej także i naszych dziejów, bo zajmują-
cej się osobą króla naszego Władysława Warneńczyka i klę-
ską warneńską z r. 1444-go. — P. Horvath de Rona wystąpił
z gwałtowną napaścią przeciwko zacności charakteru Władysława,
dowodząc, że król polski i węgierski dopuścił się w r. 1444-ym
krzywoprzysięstwa względem sułtana Murada, z którym był zawarł
pokój w Szegedynie, a zaprzysiężonego jak najuroczyściej nie do-
trzymał, ale go złamał i dalszą wojnę lekkomyślnie rozpoczął.
Zgodnie z tym poglądem uważa też p. Horvath de Rona poniesioną
przez Władysława straszną klęskę pod Warną 1444 r., w której

sam poległ i legat papieski Cesarini zabity został, tylko za chłostę i karę zasłużoną.

Przeciwnie dr Fraknői, z wiarogodnemi współczesnemi dokumentami w rękę, rozbiera i waży jak najtroskliwiej wszystkie momenta daniej kwestyi, a zbadawszy wszystkie okoliczności, nie może ciskać takiej plamy na charakter szlchetnego Jagiellończyka, nie może obciążać taką zbrodnią Władysława ani jako króla ani téż jako człowieka, a to dla następujących przyczyn i niewątpliwych dowodów faktycznych. — Już od r. 1443-go przygotowywał papież Eugeniusz IV wielką krucyatę przeciwko niewiernym. Pozyskawszy dla tego przedsięwzięcia rzeczpospolitą Wenecką, zdołał także przyciągnąć do tego związku i Władysława Jagiellończyka, który jako król węgierski często bywał niepokojony przez nawałę turecką, walącą się coraz większym ciężarem na ziemi królestwa Arpadowego. — Murad przerażony tak groźnym niebezpieczeństwem, szukał tedy wszelkich środków, żeby tę nadciągającą burzę od Jslamu odwrócić. Za pośrednictwem despoty (rządzący) serbskiego, Jerzego Brankowicza, ofiarował téż Władysławowi tak korzystne warunki pokoju, że żaden panujący węgierski nie mógłby ich odrzucić. Władysław, mając na uwadze dobro Węgier i Polski, w ogóle dobro królestw chrześcijańskich, z Turcyą się bezpośrednio stykających, zgodził się na propozycyę Murada, mimo energicznego oporu legata Cesarinięgo. Tymczasem uzbrojona już przez papieża i Rptą Wenecką piękna i do boju gotowa flota wenecka w dniu umówionym rozpuściła swe żagle i wyruszyła na morze; Murad zaś w o ciężalności swojej pozwolił upłynąć terminowi umówionych dni 8-iu, w przeciągu których zobowiązał się względem Władysława do wydania w ręce chrześcian warowni Schendroe i Colombacz. Zbieg tych 2-óch okoliczności, mianowicie: gotowości do boju floty weneckiej z jednej strony, pobudzającej także i Władysława do kroków wojennych; z drugiej zaś niedopełnienie przez Murada w umówionym terminie warunku ugody Szegeedyńskiej wydania chrześcianom wskazanych warowni, zbieg, mówię, tych okoliczności nastęrczył legatowi Cesariniemu sposobność do przeciągnięcia Władysława na stronę ligi papieskiej z Wenecyanami i do rozpoczęcia dalszych kroków wojennych przeciwko turkom. Naznaczono tedy wojsku punkt zborny, w Orsowie, zkąd postanowiono wtargnąć do Bułgarii. Wśród takiego zbiegu okoliczności łatwo sobie wytłómaczyć pozorną dwulicowość postąpienia Władysławowego; lecz czego nikt nie pojmie i nie wytłómaczy, to zachowania się i postępowania w tej chwili Wenecyan, którzy, zmusiwszy w sposób wskazany Węgrów do rozpoczęcia kroków wojennych, zatrzymali się ze swoją imponującą flotą przy wyspie Tenedos, przez co pozwolili Muradowi

wtargnąć do Europy ze wszystkimi jego wojskami, nie pokusiwszy się nawet choćby o pozór stawienia mu jakiegokolwiek w tym pochodzie oporu.

Uczony francuzki M. B. Fagniez ogłosił wczasop. francuzkiem „Revue des questions historiques“ artykuł p. tyt. „Le Pere Joseph et Richelieu — le projet de croisade, 1616 — 1625“. Wiadomo, że nieustajacem usiłowaniem w całym życiu O. Józefa było knucie planu wydarcia z rąk niewiernych Ziemi Ś-těj. Równocześnie rozpoczął był także Karol Gonzaga, ksiązę Nevers, zapewne w tym samym celu układy z Grecyą i ze Słowianami (około r. 1609), które jednak zostały zwichnięte przez zaburzenia francuzkie w r. 1614. Tymczasem zbliżyli się do siebie ksiązę Gonzaga i O. Józef. Ksiązę Gonzaga odkrywa O. Jozefowi swoje plany, na które zgodziły się już niektóre kraje, mianowicie Hiszpania. Nawet z Richelieu'em zawarł Gonzaga układ odpowiedni: ksiązę Gonzaga zobowiązuje się względem biskupa z Luçon (Richelieu) do ułatwienia mu wstępu do władzy publicznej, biskup zaś zobowiązuje się popierać widoki księcia. Termin wyjazdu do Ziemi Ś-těj postanowiono na jesień r. 1616-go. Ksiązę Gonzaga pragnął zapewnić sobie pomoc i poparcie także i w Niemczech: ale przeszkodziło mu w tych zamiarach aresztowanie księcia Condé (1-go września 1616). Ojciec Józef dotarł w tym celu aż do Rzymu, z zamiarem pozyskania dla projektowanej wyprawy nawet i papieża Pawła V-go. Tymczasem papież, zapewne nieufny dla projektów zanadto już zużytych i niemal poszarzanych, zadługo zwlekał odpowiedź stanowczą. Podczas tych zabiegów, które od wielu lat niepokoiły także i Rptę polską, król nasz Zygmunt III-i, napastowany w tój chwili przez Turków, poskromił ich pod Chocimem (1621). „Zwycięstwo chocimskie zapewniło krajom chrześcijańskim bezpieczeństwo i wróciło im wolność szarpania się wzajemnego“. (Sa victoire „rendit á la republique chretienne la securité et la liberte de se dechirer elle même“). O. Józef począł też głosić, że z r. 1625 okoliczności nakazują, aby odtąd zawiesić stanowczo i odroczyć wszelkie projekty krucyat!

Sz. Szymonowicz jako filolog. Na posiedzeniu berlińskiej Akademii umiej. 19 grudnia 1889 czytano rozprawę profesora uniwersytetu strasburskiego, E. Heitza, o rzekomej metafizyce Herenniosa. Wbrew dotychczasowym uczonym, którzy ową metafizykę odnosili do VI wieku po Chrystusie, uważając ją za jeden z późniejszych wytworów szkoły nowoplatonńskiej, prof. Heitz dowodzi, że jestto nędzny falsyfikat, sporządzony dość bezczelnie

(„f r e c h“) dopiero w wieku XVI. Moglibyśmy więc i my pominąć tę sprawę milczeniem, gdyby nie to, że pierwszym wydawcą owej metafizyki był nasz dzielny poeta Szymon Szymonowicz (Simonides), który ją przetłumaczył na język łaciński i wydał wraz z oryginałem greckim w Zamościu około r. 1604. Dwa egzemplarze tego wydania, nieznane nawet Estrejcherowi ¹⁾, znajdują się w bibliotece Jagiellońskiej i im. Ossolińskich; lecz szerszy świat uczonych europejskich o nich nie wiedział, a Herenniosa czytano głównie podług wydania, które w naszym wieku sporządził znany kardynał A. Mai (w IX tomie „autorów klasycznych“). Jak widać z rozprawy wzmiankowanego profesora, Szymonowicz przy redakcyi tekstu greckiego okazał w niektórych miejscach większą bystrość, aniżeli piszący w naszym wieku uczoney kardynał. Domyśla się też prof. Heitz, że poeta nasz prawdopodobnie dlatego nie wykończył całkowicie swojego wydania i zaprzestał go drukować w większej liczbie egzemplarzy, ponieważ się przekonał, iż ma do czynienia z falsyfikatem. Ciekawa praca Heitza mieści się w „Sitzungsberichte der kgl. preuss. Akad. d. Wissensch. zu Berlin T. LIII, str. 1167—1190.

M. R.

„Rys dziejów poczt i telegrafów“, pierwsze w piśmiennictwie polskim dzieło o tym przedmiocie, napisał Walenty Ćwik (pseudon.) i wydał je nakładem Towarzystwa czynnej pomocy c. k. urzędników pocztowych w Galicyi. Autor, korzystając z wielu prac w języku niemieckim i francuskim, przedstawił nadzwyczaj

¹⁾ F. M. Sobieszcański w Encyklop. powsz. Orgelbranda s. v. powołuje to dzieło Szymonowicza b. m. i r. dr. a twierdzenie prof. niemieckiego, jakoby prof. Estreicher nie znał go zupełnie upada wobec str. 111-a T-u 8-go „Bibliografii polskiej“, gdzie jest wymienione pomiędzy dziełami, „Bez wyrażenia roku i nie wykrytemi“: „Herenius. Enarratio per Sim. Simonid.“ W bibliotece ordyn. Zamoyskiej znajduje się kodeks grecki, w skórę oprawny— w formie wielkiego arkusza, zawierający kart 183— a obejmujący właśnie tego Hereniusza (str. 1 — 98) i Homilie Originesa. Rękopism ten z podpisem „Simonides“ ręką Szymonowicza był jego własnością, z niego skutocznym też swoje tłumaczenie. W edycyi tego tłumaczenia (str. 1—160), drukowanego w 2 szpaltach (w jednej tekst grecki, a obok tłum. łacińskie) nie ma karty tytułowej i ostatniej str. 161/162. Musiały także być jeszcze „Adnotaciones“, bo je zapowiada Szymonowicz na str. 15. Z korespondencyi J. Zamoyskiego z Szymonowiczem można wnosić, że istotnie książka ta mogłaby być ogłoszoną w r. 1604— i zapewne taki nieuszkodzony egzemplarz miał w ręku prof. Heitzo.

Red.

czaj zajmująco dzieje jednej z najważniejszych instytucji, odgrywającej ogromną rolę w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości, sięgającej skromnymi początkami aż do zamierzchłej starożytności, a tak olbrzymio rozwiniętej w czasach najnowszych. Autor uwzględnił wszystkie narody, kraje i wieki, najobszerniej zaś przedstawił rozwój poczt i telegrafów w Galicji w bieżącym stuleciu.

Wyszedł z druku 2-gi zeszyt *Buchalteryi Podwójnej* (włoskiej) w opracowaniu dla samouków przez nauczyciela buchalteryi *Gustawa Chatai* i zawiera: określenie *Debet'u* i *Credit'u*, o inwentarzu, bilansie, otwarciu i księgach: kasie, memoriale i dzienniku. Tegoż autora w krótkce opuści prasę *Rachunkowość handlowa*.

Zapowiedzianej w końcu r. zeszłego „Wielkiej Encyklopedyi powszechniej ilustrowanej“, (nakład i druk S. Sikorskiego) wyszedł zeszyt I-szy, obejmujący arkuszy 9 druku (str. 72) z artykułami od litery *A.* do *Absorpsya*. Zeszyt pierwszy zaleca bardzo korzystnie wydawnictwo tak poważnych rozmiarów, bo pomijając już piękną stronę zewnętrzną (papier, druk, ilustracje), trzeba przyznać redakcyi staranność w obrobieniu pojedynczych artykułów. Na podstawie 1-go zeszytu nie można wydawać sądu o naukowej wartości przedsięwziętego wydawnictwa, któremu jak najlepszego powodzenia życzymy. Redakcyja słusznie postąpiła, że nie uprzedzając postanowienia Akademii Um. w Krakowie co do ujednostajnienia pisowni, o które się u niej z tylu stron dopominają, pozostała w zasadzie na stanowisku, zaleconem przez tyloletnią praktykę naszej pięknej literatury z epoki Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

N e k r o l o g i a.

Dnia 31-go stycznia r. b. umarł w Warszawie na chorobę serca **Jan Kryński**, utalentowany artysta—rzeźbiarz. S. p. Kryński urodził się w Warszawie 1850 r. i po odbyciu nauk szkolnych wyjechał do Petersburga, celem kształcenia się w tamtejszej Akademii sztuk pięknych. Ukończywszy ją ze złotym medalem 1870 r., jako laureat, wysłany został kosztem rządu za granicę. Ze studyów artystycznych w Rzymie, Florencyi i Paryżu powrócił do Warszawy 1875 r. Z licznych dzieł tego pracowitego artysty wymienić należy: pomniki Sobieskiego, Kraszewskiego, pastora Otto'na, oraz rzeźby na nowym froncie kościoła św. Aleksandra. Postać zmarłego Otto'na, w postawie stojącej więcej, niż naturalnej wielkości, odlano z brązu w odlewni, którą Kryński własnym kosztem i staraniem założył. Jest to pierwsze podobnych rozmiarów dzieło, odlane z brązu w pracowni miejscowej. S. p. Jan odznaczał się nader wybitną działalnością na polu sztuki stosowanej do przemysłu. Twórca nader licznych modeli dla zakładów jubilerskich, fabryk wyrobów platerowanych i t. d. położył s. p. Jan niepospolite zasługi dla sztuki krajowej. Cześć jego pamięci!

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1890.

stron.

Poezya.

Wieża Eiffel. Wyjątek z poematu „Mefisto“. Przez T. L. 1

Krajoznawstwo.

Wzmianka o bibliotece ś. p. Juliana Biergiela, pastora w Słucku. (Opis charakterystycznych osobliwości, łączących się z miejscowościami, które, jadąc do Słucka, spotykamy. — Sadyba Ciepłej. — Mikołka. — Dołhnicze (Czczotów). — Pereszew. — Pereszewska Słoboda. — Przewoz. — Starzyca. — Hrozowo. — Koniuchy. — Kopyle. — Chrzanów. — Uszałowicze. — Siołko. Wzmianka o zakładzie wychowawczym p. Heleny Kowalnickiej. — Słuck. Opis miasta z rzutem oka na jego dzieje. — Dynastia Olelkowiczów. — Cerkiew w Trojczanach. — Grobowiec jenerała Kreczetnikowa. — Grobowiec Zofii z Olelkowiczów Radziwiłłowej. Ciekawe o niej wspomnienie. — Słuck za Radziwiłłów. Widoczne chylenie się miasta ku upadkowi. — Biblioteka J. Biergiela. — Szkoły słuckie. — Leopold Wannowski. — Fara słucka. — Hieronim ks. Radziwiłł. — Ks. Stanisław Szantyr, eks-jezuita).
Podał Aleksander Jelski. 7, 222

Powieść.

Z depeszą. Opowiadanie starego kapitana. Przez Kajetana Kraszewskiego. 28
Z krwawych dni. Nowela. Przez K. G. 250

Sprawy społeczne.

- O miastach i mieszczaństwie w Królestwie Polskiem. (c. d). 41, 239, 385
 Najstarszy dom poprawy w Warszawie. Przez Z. Z. 214

Historya literatury.

- Zarysy ruchu literackiego Słoweńców. Przez Piotra Mikławca. 64

Ekonomika.

- Konkurencya amerykańsko-europejska w handlu zbożowym.
 Przez C. R. 114
 O drogach bocznych. 420

Kronika zagraniczna.

- Kronika wiedeńska.—Architektura.—Muzea cesarskie.—Weilen.
 Hamerling.—Teatr ludowy.—Anzengruber.—Skandal literacki.—P. Orth. 86
 Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Leleweł
 w Brukselli“ przez Henryka Merzbacha.—„Pator“ (Ojczcie nasz!) dramat
 Franciszka Coppée.—„Joanna d'Arc“, misterjum Juliusza Barbier z muzyką
 Gounoda.—„Pamiętniki Talleyranda“.—„Kwiaty zimowe“, przez Ernesta
 Legouvé. 268

Historya.

- Wojna Rzeczypospolitej polskiej z Turcyą w latach 1672 i 1673-im.
 Upadek Kamieńca. (Z mapą warowni Kamienieckiej z r. 1672 o i Planem
 obozu pod Chocimem). — Pogrom Tatarów. (Z mapką do wojny Polski
 z Turcyą w latach 1672 i 1673).—Przez Konstantego Górskiego. 163, 367

Odkrycia i podróże.

- Stanley i Emin. Przez Eugeniusza Lipnickiego. 184
 Serpa Pinto. (Przyczynek do dziejów kolonizacyi w Afryce).
 Przez Eugeniusza Lipnickiego.

Filozofia.

O konieczności odróżniania uczuć wyższych od niższych. (Studyum psychologiczne). Napisał Zdzisław Dębski. 323

Archeologia i przemysł.

Wystawa sztuki starożytnej i nowożytnej stosowanej do przemysłu, urządzona w Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie 1889-o. Opisał Tadeusz Dowgird. 356

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

„Prawa, konstytucje i przywileje Królestwa polskiego, w. ks. litewskiego i wszystkich prowincji należących, na walnych sejmach koronnych od sejmku wiślickiego roku pańskiego 1347, aż do ostatniego sejmku uchwalone.“— Volumina Legum Volumen (IX) nonum ab anno 1782 ad annum 1792 Acta Reipublicae continens. Wydawnictwo Komisji prawniczej Akademii Umiejętności w Krakowie (Z funduszu ś. p. Ks. Adama Jakubowskiego). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności 1889, 8-o m. str. 503. Przez J. K. Plebańskiego. 123

„Poezye J. I. Kraszewskiego“. Lwów 1888. Przez Bronisława Biełkowskiego. 132

„Podręcznik metryki łacińskiej i greckiej do użytku szkolnego“ Ułożył Marcin Sas. Kraków. Nakładem autora. 1889. str. 39. Przez M. Rowińskiego. 137

Połączenie Rusi Czerwonéj z Polską przez Kazimierza Wielkiego. Napisał Kazimierz J. Górzycki. Lwów, nakładem Drukarni polskiej 1889. Przez Dr. Zygmunta Lisiewicza. 293

Dr. Witold Załęski. Zasady Ekonomiki (nauki gospodarstwa narodowego). Dzieło wydane z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia Dr. Józefa Mianowskiego. Warszawa 1889 r. str. 389. Przez J. K. Dworzaczka. 298

Deotyma. Branki w jasyrze. Tom I—III. Warsz. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o w. str. 213, II; 422 i II; 448, II i 1 nl. z ilustracyami E. M. Andriollego. Przez J. K. Dworzaczka. 427

Rodziewiczówna Marya. „Kwiat Lotosu“, powieść. Warszawa. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o min. str. 320. Przez J. K. Dworzaczka. 438

„Kwestya mieszkań“. Napisał Adolf Suligowski. Warszawa 1889 r. 8-o m. str. 86, 2 nl. 445

Kronika miesięczna.

Styczeń. — Pokojowe widoki na polu stosunków międzynarodowych. — Przyjazne zbliżenie Rosyi z Niemcami. — Rzpta francuzka umacnia instytucye republikańskie. — Anormalne stosunki na półwyspie bałkańskim. — Wpływ ligi „pokojowej“ środkowo-europejskiej na sprawy międzynarodowe: reminiscencye św. przymierza. — Stosunek polityki wewnętrznej do kierunku polityki międzynarodowej. — Nowa próba gabinetu hr. Taaffe wytworzenia pożądanego modus vivendi między Niemcami a Czechami w królestwie Św. Wacława. — Nieprzyjazne postęпки rządu włoskiego względem interesów kościoła. Groźba bankructwa finansowego we Włoszech. — Zatarg angielsko-portugalski w Afryce. — Przeciwności na kongresie antiniewolniczym w Brukseli. — Projekt E. Laveley'a. — Niepewność co do rozwoju stosunków w Rzptej brazylijskiej. — Konkurs imienia ś. p. Kuryerowa, rozstrzygnięty na korzyść dzieła p. Piotra Chmielowskiego p. tyt. „J. I. Kraszowski. Zarys literacko-biograficzny“. — Stała wystawa prób i wzorów towarów eksportowych w Muzeum przemysłu i handlu w Warszawie. — Posiedzenie wydziału matematycznego Akad. Um. w Krakowie. — Posiedzenie komisji antropologicznej Akad. w Krakowie d. 6-go grudnia. — Odezwa drugiego Zjazdu historyków polskich do Lwowa. — Odezwa komisji, wybranej z grona drugiego Zjazdu prawników i ekonomistów polskich we Lwowie dla zbadania kwestyi emigracyi. — Ruch polskiej własności ziemskiej podług „Wileńskiego Wiestnika“ w gubernii wileńskiej, grodzieńskiej i kowieńskiej oraz obraz stosunków agrarnych w gub. mińskiej i podolskiej. — Z archeologii: Wykopaliska w okolicach Gdańska, — pod Grimlingshausen w Niemczech, w starożytnej Babilonii.

140

Luty. — Rzut oka na ważniejsze wypadki polityki międzynarodowej. — Zatarg angielsko-portugalski. — Polityka finansowa rządu bułgarskiego wobec dyplomacyi europejskiej. — Fizjognomia republiki francuzkiej. — Budząca się opozycya reprezentatów narodu w sejmie niemieckim. — Uгода Czechów z Niemcami o konstytucyjny modus vivendi obydwóch narodowości w granicach korony Św. Wacława. — Czeska Akademia Umiejętności w Pradze. — Włochy nieustające w walce z Kościołem katolickim: ustawa o fundacyach dobroczynnych. — Uniwersytety katolickie w państwach protestanckich. — Rosya zajęta sprawami wewnętrznymi: sprawa finansów, wojskowości, szkół. — Ósmy zjazd naturalistów i lekarzy w Petersburgu. — Zjazd w sprawie szkół technicznych i profesjonalnych. — Uniwersytet Warszawski. Tomata konkursowo na wydziale prawnym. — Objąsnienie ogłoszonego przez uniwersytet tematu konkursowego z zapisu Ad. Chojnackiego („Warunki urodzajności roli“). — Posiedzenie Wydziału historyczno-filoz. Akad. Um. w Krakowie. — Posiedzenie Wydziału filologicznego tejże Akademii. — Walne zebranie Tow. Mickiewiczowskiego we Lwowie. — Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiej. — Wystawa konkursowa architektury, zapowiadzana przez Komitet Tow. Zach. Sztuk pięknych w Warsza-

wie na styczeń 1891-o r.—Likwidacya Spółki sprzedaży owoców w Warszawie.

Marzec.—Wystąpienie cesarza Wilhelma II go z projektem reformy stosunków ekonomiczno-socyalnych. Reskrypty cesarskie z dn. 5 lutego r. b. a) do ks. Bismarcka, b) do bar. Berlepscha, ministra handlu, robót publicznych i przemysłu, Pogląd na ogólne znaczenie wystąpienia cesarskiego.—Zagajenie przez Wilhelma II posiedzeń pruskiej „Rady Stanu“ (dn. 14 lutego), zwołanej dla wypracowania szczegółowego programu wprowadzenia w wykonanie zamiarów cesarskich.—Przygotowania dyplomatyczne do zwołania konferencyi międzynarodowej do Berlina.—Spisek bułgarskiego majora Panicy w celu wywrócenia rządów ks. Ferdynanda Koburskiego w Bułgarii.—Wystąpienie Filipa ks. Orleańskiego jako „rekruta“ do wojska republikańskiego. — Ponowny wybór bulanżystów przez m. Paryż.—Nowe wybory do parlamentu rzeszy niemieckiej: porażka na całej linii dotychczasowej większości bismarckowskiej.—Sprawozdanie komisji kolonizacyjnej za r. 1889 z operacyi zakupna i parcelacyi dóbr polskich w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich.—Posiedzenie Akad. Nauk w Petersburgu dn. 33 stycznia r. b.—Posiedzenie publiczne nowo założonego Towarzystwa historycznego przy uniwersytecie petersburskim.—Przepisy egzaminacyjne dla nauczycieli szkół powiatowych oraz nauczycieli i nauczycielek szkół domowych, elementarnych i początkowych.—Widoki reorganizacyi szkół gimnazyalnych. — Posiedzenie komisji historii sztuki w Akad. Um. w Krakowie dn. 3 grudnia 1889 r.—Posiedzenie komisji historycznej Akad. Um. w Krakowie dn. 6 grudnia 1889 r.—Posiedzenie Wydziału histor. filoz. dn. 16 grudnia.—Posiedzenie komisji histor. Akad. Um. dn. 28 grudnia 1889 r.—Posiedzenie komisji historii sztuki dn. 4 stycznia 1890 r.—Posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. w lutym r. b.—Zjazd gospodarczy w Toruniu.—Spis referatów, zapowiedzianych na II gi zjazd historyków polskich we Lwowie przy odezwie Komitetu o wczesno zgłaszanie się z udziałem.—Walne zebranie Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie dn. 2 lutego 1890 r.—Odezwy Komitetu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Polskiem: konkurs malarski im. prof. Wojciecha Gersona i stypendyum z zapisu ś. p. Ign. Ciszewskiego dla uczniów sztuki rzeźbiarskiej.—Archeologia: Wykopaliska w Galilei w Palestynie.

Wiadomości bibliograficzne.

Styczeń. — Stein „Les travaux bibliographiques de 1878 — 1888. — Katalog rękop. greckich we wrocławskiej bibliot. miejskiej. — J. Korzeniowski „Katalog dokumentów do historii polskiej“ z bibliotek włoskich (155). — Katalog bibliot. uniwers. peszteńskiego. — „Zapiski archeologiczne Tow. Prz. N. Poznańskiego“ zesz. 5-ty. — Luczkiewicz „Dwie księgi Hippokratesa“ (156). — J. Kowalczyk „Bieg ciał niebieskich“. — D. Wierzbicki „J. Howeliusz“, „Herkules Dembowski“. — J. Nep. Franke

- „Mechanika teoretyczna“ — M. Baraniecki „Ks. T. Kłosa Algorithmus“.
 J. K. Plebański „Geografia, jęj znaczenie w szkole i literaturze“ (157).
 S. Dickstein „Geometria elementarna“.— „Prace matematyczne“ T. II,
 zes. 1-szy.— Dr. Ferd. Źródłowski „Reforma szkół w Austrii“ (158).
 Łuczakowski „Nauka języka niemieckiego w szkołach galicyjskich“.— Fr.
 Pietzker i P. Treutlin „Natłok młodzieży do zawodów naukowych. — Fr.
 Paulsen „Gimnazjum realne i wykształcenie humanistyczne“ (159).—Fr.
 Pietzker „Humanizm i zadanie szkoły“. — A. J. Wiśniakowski „Koloro-
 wane tablice do nauki o rzeczach“.— „Rocznik Tow. Przyj. Nauk Poznań-
 skiego“ T. XVI.—E. T. Breiter „Bartos z Wissemburga“.—Ks. Pier-
 ling „Papes et tzars 1547— 1597“.—G. Juritsch „Otto I, apostoł Pom-
 orza“.— G. Froehlich „Biskupstwo Chełmińskie i Zakon Niemiecki“.
 — „Słownik geograficzny“ zes. 119. 161
- Luty.* — Archiwum konsystorskie w Wilnie. — Archiwum lu-
 belskie przewiezione do Wilna i wcielone do tamtejszego Archiwum
 akt starożytnych. — W. Czermak „O archiwach galicyjskich“. — Ks.
 A. Arndt S. J. „O bibliotece pisarzy jezuiickich“. — „Zbiór doku-
 mentów histor. z XVI-go do końca XVIII-go wieku“ E. Korwin-Pio-
 trowskiego złożony w bibliotece Jagiellońskiej. — Dokumenta do historii
 Rumunii z bibliotek polskich, zebrane staraniem Akad. rumuńskiej, przy-
 gotowane do druku przez p. Józefa Skupiewskiego.— „Economista Polski“
 z „Tygodnikiem ekonomicznym“ Lwów. 1890. Zesz. 1. 318
- Marzec.*— „Review of Reviews“ (Przegląd przeglądów).— Międzyna-
 rodowe czasopismo etnograficzne „Folklore“ wyd. w Peszcie. — Podania
 białoruskie zebrał Wład. Weryho, wyd. J. Karłowicz.—Przyczynek do hi-
 stori klęski Władysława Warneńczyka (r. 1444).—B. Fagniez „Le Pere
 Joseph et Richelieu—le projet de croisade 1616—1625“.— Sz. Szymo-
 nowicz, jako filolog. — Walenty Ówik (pseudon.) „Rys dziejów poczt
 i telegrafów“. Lwów 1890. — Gustaw Chwat „Buchalteryi podwójnej
 (włoskiej) zes. 2.—Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana S. Si-
 korskiego. Warszawa 1890. Zesz. I. 469

Nekrologia.

Ś. p. Władysław Wiślicki.—Ś. p. hr. Tomasz Ordynat Zamoyski.
 (str. 162). — Ś. p. Władysław Taczanowski. (str. 322). — Ś. p. Jan
 Kryński. 476

Ogłoszenia.

Prospekt „Biblioteki Warszawskiej“ na rok 1890. — „Kraj“
 wraz z „Przeglądem literackim“

Mapa
Do wojny Polskiej z Turcją w latach 1672 i 1673.

